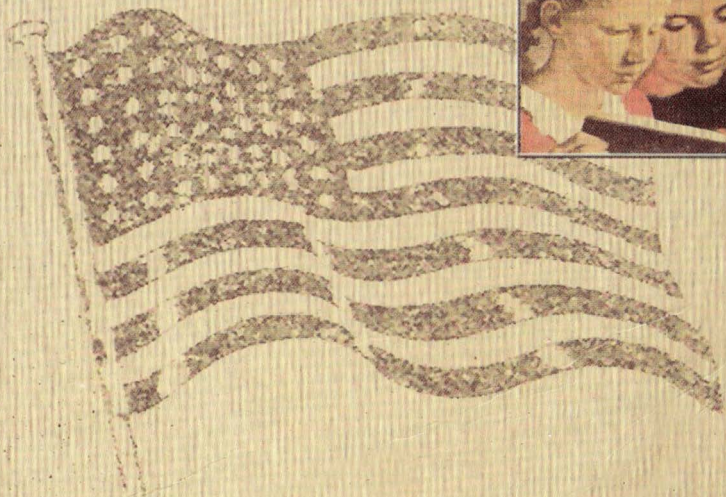


Charles Bukowski

Z szynką raz!



NOIR SUR BLANC

CHARLES BUKOWSKI

Z SZYNKĄ RAZ!

Przełożył

Michał Kłobukowski

NOIR SUR BLANC

Wszystkim ojcom

Rozdział I

Pierwsze, co pamiętam, to że siedzę pod czymś, pod spodem. Był to stół, widziałem stołową nogę, nogi kilku osób i kawałek zwisającej serwety. Pod stołem było ciemno, fajnie się tam siedziało. Musiało to być w Niemczech, w dwudziestym drugim. Miałem niecałe dwa lata. Dobrze się czułem pod tym stołem. Nikt chyba nie wiedział, że tam siedzę. Słońce padało na dywan i na nogi tych paru osób. Podobało mi się, że tak świeci. Ludzkie nogi mnie nie ciekawiły – ciekawiła mnie zwisająca serweta, noga stołowa, słońce.

Potem długo nic... i wreszcie świąteczna choinka. Świeczki. Ozdoby w kształcie ptaków: ptaki z gałązkami jagód w dziobach. Gwiazda. Dwoje dużych ludzi klóci się i wrzeszczy. Ludzie jedzą, w każdym z tych wspomnień są ludzie, którzy jedzą. Ja też jadłem. Miałem łyżkę wygiętą w taki sposób, że musiałem ją trzymać prawą ręką. Jeśli ją brałem do lewej, łyżka celowała nie w moje usta, tylko odwrotnie. A ja właśnie chciałem jeść lewą ręką.

Dwoje ludzi: ten większy miał kręcone włosy, duży nos, duże usta, gęste brwi; chyba stale o coś się złościł, często

krzyczał; ta mniejsza była cicha, twarz miała okrągłą, bledszą, wielkie oczy. Bałem się obojga. Czasem przychodził ktoś trzeci, jakaś gruba w sukienkach z koronkami pod szyją. Nosiła wielką broszkę, a na twarzy miała pełno brodawek z krótkimi włoskami. Mówili na nią Emily. Ci ludzie nie byli chyba ze sobą szczęśliwi. Emily była matką ojca, moją babką. Ojciec miał na imię Henry, a matka Katherine. Nigdy nie mówiłem im po imieniu. Na mnie mówili „mały Henry”. Wszyscy przeważnie rozmawiali po niemiecku, ja zresztą też na początku.

„Jeszcze was wszystkich pochowam!” – to pierwsze słowa babki, jakie zapamiętałem. Pierwszy raz powiedziała tak, nim usiedliśmy do stołu, i później też wiele razy przed jedzeniem. Jedzenie było chyba bardzo ważne. Jedliśmy tłuczone kartofle z sosem mięsnym, zwłaszcza w niedzielę, a do tego kotlety wołowe, kielbasę, kapustę kiszoną, zielony groszek, rabarbar, marchewkę, szpinak, fasolkę szparagową, kurczęta, pulpety i makaron, sam albo z pierożkami, gotowaną cebulę i szparagi, a co niedziela placek biskopowy z truskawkami i kremem waniliowym. Na śniadanie były grzanki francuskie i parówki, naleśniki albo gofry, a na dodatek jajecznica z boczkiem. No i zawsze kawa. Ale najlepiej pamiętam tłuczone kartofle z sosem mięsnym i babkę Emily, która mówi: „Jeszcze was wszystkich pochowam!”.

Kiedy się przenieśliśmy do Ameryki, babka często nas odwiedzała. Przyjeżdżała do Los Angeles czerwonym tramwajem z Pasadeny. My tylko czasem do niej zaglądaliśmy. Zawsze wtedy jeździliśmy naszym fordem T.

Lubiłem dom babki. Był mały i stał w cieniu pieprzowców o gęstych koronach. Emily hodowała kanarki. Każdy

siedział w osobnej klatce. Najlepiej pamiętam jedną wizytę. Wieczorem babka zrobiła obchód i poprzykrywała wszystkie klatki białymi kapturkami, żeby ptaki mogły zasnąć. Ludzie siedzieli w fotelach i rozmawiali. Usiadłem do pianina. Wszyscy rozmawiali, a ja uderzałem w klawisze i słuchałem, jak to brzmi. Najbardziej podobały mi się dźwięki spod klawiszy z samego brzegu, tam gdzie już prawie nic nie było słychać, tylko takie nutki, jakby sople lodu uderzały o siebie.

– Przystaniesz? – głośno spytał ojciec.

– Niech chłopiec sobie pogra – rzekła babka.

Matka się uśmiechnęła.

– Kiedyś chciałam go wyjąć z kołyski i pocałować – ciągnęła babka – a on podniósł rękę i uderzył mnie w nos!

Wrócili do swojej rozmowy, a ja dalej sobie grałem.

– Może byś je wreszcie kazała nastroić? – powiedział ojciec.

Potem usłyszałem, że jedziemy do dziadka. On i babka mieszkali osobno. Mówiono mi, że dziadek jest niedobry i cuchnie mu z ust.

– Czemu cuchnie mu z ust?

Nie odpowiedzieli.

– Czemu cuchnie mu z ust?

– A bo pije.

Wsiedliśmy w forda T i pojechaliśmy do dziadka Leonarda. Dziadek stał na ganku. Zdążył się już zestarzeć, ale trzymał się bardzo prosto. W Niemczech był oficerem w wojsku, a do Ameryki przyjechał, bo słyszał, że tam złoto leży na ulicy. Nie leżało, więc został szefem przedsiębiorstwa budowlanego.

Rodzice jakoś nie wysiadali z auta. Dziadek kiwnął na mnie palcem. Ktoś otworzył drzwiczki, więc się wygramoliłem z wozu i wszedłem na ganek. Dziadek miał długie, całkiem siwe włosy i długą, całkiem siwą brodę, a kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że oczy mu błyszczą. Zupełnie jakby na mnie patrzyły dwie niebieskie latarnie. Przystanąłem.

– Henry – powiedział. – Przecież my jesteśmy starzy znajomi. Chodź do środka.

Wyciągnął do mnie rękę. Kiedy podszedłem całkiem blisko, poczułem, jak cuchnie mu z ust. Cuchnęło strasznie, ale dziadek był najpiękniejszym człowiekiem, jakiego widziałem w życiu, i wcale się go nie bałem.

Wszedłem z nim do domu. Zaprowadził mnie do fotela.

– Siądź, proszę – powiedział. – Bardzo się cieszę, że przyjechałeś.

Wyszedł do innego pokoju. Wrócił z jakąś puszczką w ręku.

– To dla ciebie. Otwórz.

Nie mogłem sobie dać rady z wieczkiem. Nie umiałem otworzyć tej puszki.

– Zaraz – powiedział dziadek. – Daj, niech spróbuję.

Obluzował wieczko i oddał mi puszkę. Zajrzałem do środka i zobaczyłem krzyż, niemiecki krzyż ze wstążką.

– Oj – powiedziałem. – Niech lepiej zostanie u dziadka.

– Weź go sobie – rzekł. – Kawał blachy i tyle.

– Dziękuję.

– Idź już, bo zaczną się denerwować.

– Już idę. Do widzenia.

– Do widzenia, Henry. Zaraz, czekaj no...

Przystanąłem. Sięgnąłem dwoma palcami do kieszonki z przodu spodni, drugą ręką wyciągnąłem stamtąd długi złoty łańcuszek i podałem mi złoty zegarek z dewizką.

– Dziękuję, dziadku...

Tamci już na mnie czekali. Wsiadłem do forda T i zaraz odjechaliśmy. Po drodze rozmawiali o tym i owym, tak jak zawsze. Tym razem też gadali przez całą drogę do domu babki. Mówili o wielu sprawach, ale o dziadku ani słowa.

Rozdział 2

Pamiętam tego forda T. Stopnie nadwozia oglądane z wysokich siedzeń budziły zaufanie. W zimne dni – rano, a często i o innych porach – ojciec musiał wtykać z przodu korbę i kręcić raz za razem, żeby samochód zapalił.

– Rękę można sobie złamać. Taka korba kopie jak koń.

Kiedy babka nas nie odwiedzała, jeździliśmy formem T na niedzielne wycieczki. Rodzice lubili pomarańczowe sady, ciągnące się całymi kilometrami. Na gałęziach zawsze pełno było kwiatów albo owoców. Rodzice zabierali koszyk z prowiantem i metalową skrzynkę z suchym lodem. W skrzynce trzymało się mrożone owoce w puszkach, a w koszyku serdelki, kanapki z wątrobianką i z salami, frytki, banany i wodę sodową. Woda sodowa co chwila wędrowała ze skrzynki do kosza i z powrotem. Szybko zamarzała i trzeba ją było znowu rozmrażać.

Ojciec palił camele. Wyczytniał z pudełkami różne sztuczki. Ile piramid jest na obrazku? Policz. Liczyliśmy, a on zawsze umiał znaleźć więcej.

Robił też sztuczki z wielbłądzimi garbami i ze słowami na opakowaniach. Camele to były czarodziejskie papierosy.

Pamiętam zwłaszcza jedną taką niedzielę. Kosz po prowiancie był pusty, ale myśmy wciąż jechali przez pomarańczowe sady, coraz dalej od domu.

- Nie zabraknie nam benzyny, tatuśku? – spytała matka.
- Nie – odparł ojciec. – Mamy od cholery i trochę.
- Dokąd jedziemy?
- Narwać tych cholernych pomarańczy!

Matka siedziała całkiem bez ruchu. Ojciec zjechał na pobocze i zatrzymał wóz pod płotem z drutu. Przez chwilę nasłuchiwalśmy. Potem ojciec kopnął drzwiczki i wysiadł.

- Przynieś koszyk.

Wszyscy troje przeleźliśmy między drutami.

- Chodźcie za mną – powiedział ojciec.

Znaleźliśmy się między dwoma rzędami drzew pomarańczowych. Ich korony zasłaniały nas przed słońcem. Ojciec przystanął, podniósł ręce i zaczął rwać owoce z dolnych gałęzi najbliższego drzewa. Targał nimi, jakby był o coś zły, i gałęzie też szamotały się w górę i w dół, jakby rozłoszczone. Matka trzymała kosz, a ojciec rzucał do niego pomarańcze. Czasem nie trafiał i wtedy biegł za upuszczonym owocem i wkładał go do kosza. Chodził od drzewa do drzewa, szarpał za dolne gałęzie i wrzucał pomarańcze do kosza po prowiancie.

- Już wystarczy, tatuśku – powiedziała matka.

- Diabła tam.

I dalej rwał.

Raptem pomiędzy drzew wyszedł jakiś mężczyzna. Był bardzo wysoki i miał dubeltówkę.

– Facet, co ty wyprawiasz?

– Rwę pomarańcze. Jest ich tu od cholery.

– To moje pomarańcze. Powiedz swojej babie, żeby je wysypała na ziemię.

– Przecież masz ich do diabła i trochę. Nic ci się nie stanie, jak parę ubędzie.

– A właśnie że nie ubędzie. Powiedz swojej babie, niech je wysypie.

Mężczyzna celował w ojca z dubeltówki.

– Wysyp – powiedział ojciec do matki.

Pomarańcze poturlały się po ziemi.

– A teraz – rzekł nieznajomy – wnocha z mojego sadu.

– Nie potrzeba ci aż tylu pomarańczy.

– Sam wiem, czego mi potrzeba. Jazda stąd.

– Takich facetów jak ty to by warto wieszać!

– Na razie ja tu rządzę. No, dalej, jazda.

Znowu podniósł dubeltówkę. Ojciec odwrócił się i ruszył w stronę drogi. My za nim, a za nami nieznajomy. Wsiadliśmy, ale wóz akurat nie chciał zapalić. Ojciec wysiadł i dwa razy zakręcił korbą. Nic to nie pomogło. Zaczynał już się pocić. Właściciel sadu stał na poboczu.

– Zrób coś, żeby ten gruchot wreszcie zapalił! – powiedział.

Ojciec właśnie się zamachnął, żeby jeszcze raz zakręcić korbą.

– Wyszliśmy z twojego cholernego sadu, więc nie masz nic do gadania! Możemy sobie stać, ile nam się spodoba!

– Akurat! Zjeżdżaj stąd do wszystkich diabłów, ale już!

Ojciec zakręcił korbą. Silnik prychnął i zgasł. Matka siedziała z pustym koszem na kolanach. Bałem się spojrzeć na właściciela sadu. Ojciec znowu zakręcił korbą, wóz wreszcie zapalił, a on wskoczył do środka i zaczął naciskać różne dźwignie przy kierownicy.

– Żeby ci tu więcej nie widział – rzekł właściciel sadu. – Na drugi raz tak łatwo ci się nie upiecze.

Ojciec dał gazu i ruszyliśmy. Nieznajomy wciąż stał na poboczu. Strasznie pędziliśmy. Po chwili ojciec zwolnił i zawrócił. Minęliśmy to miejsce, gdzie przedtem stał nieznajomy. Już sobie poszedł. Jechaliśmy drogą, która miała nas wyprowadzić spomiędzy pomarańczowych sadów.

– Jeszcze tu kiedyś wrócę i załatwię tego drania – powiedział ojciec.

– Zjemy smaczną kolację, tatuśku. Na co masz ochotę?
– spytała matka.

– Na wieprzowe kotlety – odparł.

Pędził jak nigdy.

Rozdział 3

Ojciec miał dwóch braci. Młodszy nazywał się Ben, a starszy John. Obaj alkoholicy i nicponie. Rodzice często o nich rozmawiali.

– Nic nie są warci – mówił ojciec.

– Pochodzisz z wiejskiej rodziny, tatuśku – mówiła matka.

– Ten twój braciszek też ni cholery nie jest wart!

Brat matki mieszkał w Niemczech. Ojciec często źle o nim mówił.

Miałem jeszcze jednego wuja. Wujek Jack był mężem siostry ojca, ciotki Elinore. Nigdy wujostwa nie widywałem, bo źle żyli z moim ojcem.

– Widzisz, jaką mam bliznę na ręce? – pytał. – Jak byłem mały, Elinore dźgnęła mnie ostrym ołówkiem. Na zawsze została mi blizna.

Ojciec nie lubił ludzi. Mnie też nie lubił.

– Dzieci powinno być widać, a nie słychać – powtarzał.

Była niedziela, wczesne popołudnie bez babci Emily.

– Warto by pojechać do Bena – powiedziała matka.
– Przecież on umiera.

– Pożyczył od Emily kupę forsy i wszystko przehułał.
Tylko mu w głowie hazard, baby i gorzała.

– Wiem, tatuśku.

– Jak Emily umrze, to nie będzie miała ani centa.

– Tak czy owak powinniśmy go odwiedzić. Podobno zostały mu tylko dwa tygodnie.

– Dobrze, dobrze! Pojedziemy!

Wsiadliśmy do forda T i pojechaliśmy. Trochę to potrwało. Musieliśmy jeszcze przystanąć, żeby matka mogła kupić kwiaty. Jechaliśmy w stronę gór, kawał drogi. Kiedy zaczęły się wzniesienia, ruszyliśmy wąską, krętą szosą pod górę. Stryj Ben leżał w sanatorium i umierał na gruźlicę.

– Emily musi chyba wydawać kupę forsy na to sanatorium Bena – powiedział ojciec.

– Może Leonard jej pomaga.

– Sam jest goły. Wszystko przepił i porozdawał.

– Lubię dziadka Leonarda – powiedziałem.

– Dzieci powinno być widać, a nie słyhać – stwierdził ojciec. – Ach, ten Leonard. Tylko po pijanemu był dobry dla własnych dzieci. Wygłupiał się z nami i dawał nam pieniądze. A ledwo na drugi dzień wytrzeźwiał, robił się wredny jak nikt.

Ford T gładko sunął pod górę. Powietrze było czyste, dzień słoneczny.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział ojciec i wjechał na parking. Wsiadliśmy. Rodzice weszli do gmachu, a ja za nimi. Stryjek Ben siedział oparty o poduszki i patrzył

w okno. Stanęliśmy na progu. Stryj spojrzął w naszą stronę. Był bardzo przystojnym, chudym brunetem. Oczy mu lśniły, wręcz promieniały migotliwym światłem.

– Jak się masz, Ben – powiedziała matka.

– Jak się masz, Katy – odparł. Spojrzął na mnie. – Czy to Henry?

– Tak.

– Siadajcie.

Ojciec i ja usiedliśmy.

Matka dalej stała.

– Przyniosłam ci kwiaty, Ben, ale coś nie widzę wazonu.

– Bardzo ładne. Dziękuję ci, Katy. Nie, nie ma wazonu.

– Pójdę i przyniosę – powiedziała matka.

Wyszła z pokoju, zabierając kwiaty.

– No i co, Ben? Gdzie się podziały twoje dziewczyny?

– spytał ojciec.

– Czasem do mnie zagłądają.

– No chyba.

– Mówię ci, że zagłądają.

– Przyjechaliśmy, bo Katherine chciała cię odwiedzić.

– Wiem.

– Ja też chciałem cię odwiedzić, stryжку. Jesteś bardzo ładny.

– Ładny jak mój tyłek – powiedział ojciec.

Weszła matka z kwiatami w wazonie.

– Postawię na stoliku przy oknie.

– Piękny bukiet, Katy.

Matka usiadła.

– Niedługo musimy jechać – rzekł ojciec.

Stryj Ben sięgnął pod materac po paczkę papierosów. Wyciągnął jednego i zapalił zapalną. Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym.

– Przecież nie wolno ci palić – powiedział ojciec.
– Wiem, skąd bierzesz papierosy. To te twoje prostytutki ci przynoszą. Powiem lekarzom. Powiem, żeby przestali tu wpuszczać te prostytutki!

– Akurat, gówno zrobisz – odparł stryjek.

– Zaraz zrobię dobry uczynek, bo ci wyrwę z ust tego papierosa! – rzekł ojciec.

– To byłby twój pierwszy dobry uczynek – stwierdził stryj.

– Ben – powiedziała matka. – Nie powinieneś palić.

Wykończysz się.

– I tak nieźle sobie pożyłem.

– Co to za życie? – powiedział ojciec. – Nic tylko kłamstwa, chłanie, wyłudzenie, kurwy i picie. Nie przepracowałeś ani jednego dnia! A teraz umierasz, chociaż masz dopiero dwadzieścia cztery lata!

– Ja tam nie żałuję – rzekł stryj. Głęboko się zaciągnął camelem i wypuścił dym.

– Chodźmy stąd – powiedział ojciec. – Ten facet zwirował!

Ojciec wstał. Potem wstała matka. A potem ja.

– Do widzenia, Katy – powiedział stryj. – Do widzenia, Henry.

Patrzył na mnie, żeby nie było wątpliwości, o którego Henry'ego mu chodzi.

Ruszyliśmy za ojcem i przez korytarze sanatorium wyszliśmy na parking. Wsiadliśmy, silnik zapalił i pojechaliśmy w dół krętą górską drogą.

– Trzeba było zostać dłużej – stwierdziła matka.
– Nie wiesz, że gruźlica jest zakaźna? – spytał ojciec.
– Moim zdaniem bardzo ładnie wyglądał – powiedziałem.

– To przez tę chorobę – rzekł ojciec. – Gruźlicy zawsze tak wyglądają. A on złapał wiele różnych świństw, nie tylko gruźlicę.

– Co na przykład? – spytałem.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł. Dalej prowadził fordą T krętą górską drogą, a ja się zastanawiałem, co też takiego mógł złapać stryj Ben.

Rozdział 4

W inną niedzielę wsiedliśmy w forda T i pojechaliśmy do stryja Johna.

– On nie ma żadnej ambicji – powiedział ojciec. – Ni cholery nie rozumiem, jak w ogóle może patrzeć ludziom w oczy.

– Mógłby przestać żuć tytoń – rzekła matka. – Pluje gdzie popadnie.

– Gdyby w tym kraju byli sami tacy faceci jak on, to kitajce dorwałyby się do władzy, a my prowadzilibyśmy pralnie...

– John miał trudny start – powiedziała matka.
– Wcześniej uciekł z domu. Ty masz przynajmniej maturę.

– Skończyłem studia – rzekł ojciec.

– Gdzie? – spytała matka.

– Na uniwersytecie stanowym w Indianie.

– Jack mówił, że masz tylko maturę.

– Sam ma tylko maturę. Właśnie dlatego robi u bogaczy za ogrodnika.

– Czy ja kiedyś zobaczę wuja Jacka? – spytałem.

– Najpierw spróbujmy znaleźć stryja Johna – powiedział ojciec.

– Czy kitajce naprawdę chcą się dorwać do władzy?

– Te cholerne żółtki od wieków czekają na okazję. Jeżeli dotąd się nie dorwali, to tylko dlatego, że są zajęci naparzaniem się z japońcami.

– A kto się lepiej bije, kitajce czy japońce?

– Japońce. Sęk w tym, że kitajców jest za dużo. Zabijesz jednego, to pęka na pół i zaraz robi się dwóch.

– A czemu mają żółtą skórę?

– Bo zamiast wody piją własne siuski.

– Tatuśku, nie wmawiaj chłopcu takich rzeczy!

– To niech przestanie pytać.

Dalej jechaliśmy przez miasto. Był ciepły dzień – taki, jakie często się zdarzają w Los Angeles. Matka miała na sobie jedną z najładniejszych sukienek i fikuśny kapelus. Kiedy była taka wystrojona, zawsze siedziała prosto, z wyprężoną szyją.

– Szkoda, że nas nie stać, żeby pomóc Johnowi i jego rodzinie – powiedziała.

– Nie moja wina, że nie mają nawet w co się wyszczać – rzekł ojciec.

– Tatuśku, John walczył na wojnie tak jak i ty. Coś mu się chyba należy?

– Ani razu nie dostał awansu, a ja doszedłem aż do sierżanta.

– Henry, nie możesz wymagać, żeby twoi bracia byli tacy jak ty.

– Nie mają nic pary. Myślą, że wszystko samo spadnie z nieba!

Znów ujechaliśmy kawałek. Rodzina stryja Johna mieszkała w wąskim zaułku. Podeszliśmy splekanym chodnikiem do koślawego ganku. Ojciec nacisnął guzik dzwonka. Dzwonek nie zadzwonił. Ojciec mocno zastukał.

– Otwierać! Policja! – ryknął.

– Przestań, tatuśku! – powiedziała matka.

Po chwili, która wydała mi się bardzo długa, drzwi lekko się uchyliły. Potem otworzyły się szerzej. Zobaczyliśmy ciotkę Annę. Była strasznie chuda, miała zapadnięte policzki i ciemne wory pod oczami. Mówiła głosem cienkim jak ona sama.

– A, to wy... proszę, proszę, wejdźcie.

Poszliśmy za nią. W domu prawie nie było mebli. W niszy kuchennej stał stół i dwa krzesła, a w sypialni dwa łóżka. Ojciec i matka usiedli na krzesłach. Dwie dziewczynki (potem się dowiedziałem, że mają na imię Katherine i Betsy) stały przy zlewie i podawały sobie z rąk do rąk prawie pusty słoik po maśle orzechowym. Raz jedna, raz druga usiłowała coś wyskrobać z dna.

– Właśnie jadłyśmy lunch – powiedziała ciotka Anna.

Dziewczynki podeszły z kromkami czerstwego chleba, na których próbowały rozsmarować odrobinę masła orzechowego. Wciąż zaglądały do słoja i skrobały nożem po dnie.

– Gdzie John? – spytał ojciec.

Ciotka usiadła. Była wyraźnie zmęczona, bardzo słaba i blada. Miała brudną sukienkę, rozczochrane włosy, minę znużoną i smutną.

– Czekamy na niego. Dawno go nie widziałyśmy.

– Dokąd pojechał?

– Nie wiem. Wsiadł na motor, odjechał i tyle.
– O niczym nie myśli – rzekł ojciec – tylko o tym swoim motocyklu.

– Ten chłopiec to mały Henry?

– Tak.

– Patrzy i nic nie mówi.

– Tak żeśmy go nauczyli.

– Cicha woda brzegi rwie.

– On rwie tylko ubrania.

Dziewczynki wzięły swoje kromki, wyszły przed dom, usiadły na ganku i zaczęły jeść. Ani razu się do nas nie odezwały. Wydały mi się całkiem miłe. Były tak samo chude jak ich matka, ale jeszcze dosyć ładne.

– Jak się czujesz, Anno? – spytała matka.

– Może być.

– Źle wyglądasz. Powinnaś się lepiej odżywiać.

– Czemu ten wasz chłopak nie siada? Siadaj, Henry.

– Kiedy on woli stać – powiedział ojciec. – W ten sposób nabiera sił. Szykuje się, żeby bić kitajców.

– Nie lubisz Chińczyków? – spytała ciotka.

– Nie – odparłem.

– No to powiedz, Anno – rzekł ojciec – co u was właściwie słychać?

– Tak naprawdę, to same straszne rzeczy... Gospodarz wciąż się upomina o czynsz. Robi się nachalny. Boję się go. Już sama nie wiem, co robić.

– Słyszałem, że policja szuka Johna – powiedział ojciec.

– Wcale tak znów bardzo nie narozrabiał.

– A co zrobił?

– Natłukł fałszywych dziesięciocentówek.
– Dziesięciocentówek? Rany Boga, to ma być ambicja?

– John właściwie nie chce być złym człowiekiem.
– Wygląda mi na to, że w ogóle nikim nie chce być.
– Byłby, gdyby mógł.
– No. Jakby żaba miała skrzydła, toby nie wlokła dupą po ziemi!

Przez chwilę milczeli. Odwróciłem się i wyrzałem przed dom. Dziewczynki gdzieś sobie poszły z ganku.

– Chodź, Henry, usiądź z nami – powiedziała ciotka Anna.

Nie ruszyłem się z miejsca.

– Dziękuję, dobrze mi się stoi.
– Anno – spytała matka – jesteś pewna, że John wróci?
– Wróci, jak mu się znudzą panienki – powiedział ojciec.

– John kocha swoje dzieci... – rzekła Anna.

– Słyszałem, że policja ściga go nie tylko za fałszerstwo.

– A za co jeszcze?

– Za gwałt.

– Gwałt?

– Tak, Anno. Podobno jechał na motorze i wziął młodą autostopowiczkę. Usiadła na tylnym siodełku. Gdzieś po drodze John zobaczył pusty garaż. Wjechał do środka, zamknął drzwi i zgwałcił dziewczynę.

– Skąd wiesz?

– Skąd wiem? Przyszli gliniarze i mi powiedzieli. Pytali się, gdzie John może być.

– Powiedziałeś?

- A po co? Żeby poszedł siedzieć i wymigał się od obowiązków? Przecież tylko o to mu chodzi.
- Nigdy tak na to nie patrzyłam.
- Nie żebym chciał chronić gwałcicieli...
- Czasem mężczyzna nic nie poradzi, że go przyparło.
- Co takiego?
- No bo po dzieciach i przy takim życiu, z tymi wszystkimi zmartwieniami... Nie jestem już taka ładna. Więc jak zobaczył młodą dziewczynę i mu się spodobała... no, sam pomyśl: wsiadła na motor, objęła go w pasie...
- Co ty wygadujesz? – spytał ojciec. – A jakby tak ciebie ktoś gwałcił, byłabyś zadowolona?
- Chyba nie.
- Tamta dziewczyna też na pewno nie była zachwycona.
- Nadleciała mucha i zaczęła krążyć nad stołem. Patrzyliśmy, jak lata.
- Nie ma tu nic do jedzenia – powiedział ojciec. – Pomyliła adresy.
- Mucha robiła się coraz bardziej bezczelna. Zataczała coraz ciaśniejsze kręgi i bzyczała. Im bliżej przelatywała, tym głośniejsze było bzykanie.
- Nie powiesz na policji, że John może zejść do domu? – spytała ciotka.
- Nie dam mu tak łatwo się wymigać – rzekł ojciec.
- Matka szybko machnęła ręką. Zaciśnęła ją w pięść i położyła na stole.
- Mam ją – powiedziała.
- Co masz? – spytał ojciec.
- Muchę – z uśmiechem odparła matka.

- Nie wierzę...
- A widzisz ją gdzieś? Popatrz, nigdzie jej nie ma.
- Odleciała.
- Nie, mam ją w ręku.
- Nikt nie jest taki szybki, żeby dał radę złapać muchę.
- Właśnie że mam ją w ręku.
- Gówno prawda.
- Nie wierzysz?.
- Nie.
- No to otwórz usta.
- Dobra.

Ojciec otworzył usta, a matka przytknęła do nich zwinętą dłoń. Podskoczył i złapał się za szyję.

– RANY BOGA!

Mucha wyskoczyła mu z ust i znów zaczęła krążyć nad stołem.

– Mam już dość – powiedział ojciec. – Wracamy!

Wstał, wyszedł z domu i ruszył chodnikiem. Wskoczył do forda T i usiadł sztywno wyprostowany, z groźną miną.

– Przywieźliśmy wam trochę puszek – powiedziała matka do ciotki. – Przepraszam, że nie pieniądze, ale Henry się bał, że John wszystko przepije albo wyda na benzynę do motoru. Niewiele tego jest: zupa, mięso z jarzynami, groszek...

– Och, dziękuję, Katherine! Bardzo wam dziękuję...

Matka wstała i wyszła, a ja za nią. W aucie stały dwa pudła konserw. Ojciec siedział, sztywny ze złości.

Matka podała mi mniejsze pudło i wzięła większe. Poszedłem za nią z powrotem w głąb zaułka. Ustawiliśmy pudła w niszy ze stołem i krzesłami. Ciotka Anna podeszła

i wzięła do ręki jedną puszkę. Trafiła na groszek konserwowy. Na etykiecie wymalowane były okrągłe zielone ziarna.

– Pycha – powiedziała ciotka.

– Musimy już jechać, Anno. Henry się obraził.

Ciotka zarzuciła matce ręce na szyję.

– Tak nam się strasznie źle układa. Ale ta wasza wizyta to po prostu marzenie. Ach, kiedy dziewczynki wrócą do domu i zobaczą tyle jedzenia!

Matka też uściskała ciotkę. Potem odsunęły się od siebie.

– John wcale nie jest zły – powiedziała ciotka.

– Wiem – rzekła matka. – Do widzenia, Anno.

– Do widzenia, Katherine. Do widzenia, Henry.

Matka odwróciła się i wyszła, a ja za nią. Podeszliśmy do samochodu i wsiedliśmy. Ojciec przekręcił kluczyk w stacyjce.

Kiedy odjeżdżaliśmy, ciotka stała w progu i machała nam ręką. Matka też jej pomachała. Ojciec nie pomachał. Ani ja.

Rozdział 5

Zacząłem nie lubić ojca. Wciąż był o coś zły. Gdzie tylko poszliśmy, zaraz się kłócił. Ale prawie nikt się go nie bał; ludzie spokojnie patrzyli, a on jeszcze bardziej się wściekał. Kiedy czasem jedliśmy na mieście, zawsze się czepiał, że z jedzeniem coś jest nie tak, albo nie chciał płacić rachunku.

– Muchy nasrały do bitej śmietany! Co to za jakaś cholerna speluna?

– Bardzo pana przepraszam. Nie musi pan płacić. Ale proszę stąd wyjść.

– Pewnie, że wyjdę! Ale jeszcze tu wrócę! Spalę tę cholerną budę!

Pewnego razu robiliśmy zakupy, matka i ja staliśmy z boku, a ojciec się wydzierał na sprzedawcę. Inny sprzedawca spytał matkę:

– Kim jest ten okropny człowiek? Za każdym razem, kiedy tu przychodzi, wybucha awantura.

– To mój mąż – powiedziała matka.

Ale pamiętam też inne zdarzenie. Ojciec był mleczarzem i wczesnym rankiem jeździł po swoim rejonie. Kiedyś zbudził mnie i powiedział:

– Chodź, coś ci pokażę.

Wyszedłem z nim przed dom. Byłem w piżamie i w kapciach. Na dworze jeszcze się nie rozwidniło. Świecił księżyc. Podeszliśmy do wozu z mlekiem. Wóz był zaprzężony w konia. Koń stał całkiem bez ruchu.

– Patrz – powiedział ojciec. Wziął kostkę cukru, położył ją sobie na dłoni i podał koniowi. Koń zjadł mu ją z ręki.
– Teraz ty spróbuj...

Ojciec położył mi na dłoni kostkę cukru. Koń był bardzo duży.

– Podejdź bliżej! Podstaw mu rękę!

Bąłem się, że koń mi ją odgryzie. Spuścił łeb; zobaczyłem jego nozdrza; ściągnął wargi, odsłaniając język i zęby, i kostka cukru znikła.

– Masz. Spróbuj jeszcze raz...

Spróbowałem. Koń znów zjadł cukier i potrząsnął łbem.

– Odprowadzę cię do domu, bo jeszcze cię koń obesra – powiedział ojciec.

Nie wolno mi było bawić się z dziećmi.

– To niedobre dzieci – twierdził ojciec. – Ich rodzice są biedni.

– Właśnie – przytakiwała matka. Oboje chcieli być bogaci, więc sobie wyobrażali, że już są.

Pierwszych rówieśników poznałem w przedszkolu. Wydali mi się bardzo dziwni: śmiali się i rozmawiali, i mieli wesołe miny. Nie lubiłem ich. Stale czułem się tak, jakbym miał się pochorować, dostać torsji, a powietrze było dziwnie białe i nieruchome. Malowaliśmy akwarelami. Sialiśmy w ogrodzie rzodkiewkę i po kilku tygodniach jedliśmy po-

soloną. Lubiłem przedszkolankę. Wolałem ją niż własnych rodziców. Miałem tylko kłopoty z chodzeniem do łazienki. Wciąż mi się chciało, ale wstydziłem się dać to po sobie poznać, więc wytrzymywałem. Okropne uczucie. Powietrze było białe, chciało mi się wymiotować, chciało mi się kupę i siku, ale nic nie mówiłem. A kiedy jakieś inne dziecko wracało z łazienki, myślałem: „Ty świntuchu, coś ty tam robił...”.

Dziewczynki były ładne, miały długie włosy i piękne oczy, ale ja myślałem tylko o tym, że one też chodzą do łazienki i robią tam to samo co wszyscy, chociaż udają, że wcale nie.

Przedszkole to było głównie białe powietrze...

W podstawówce czułem się trochę inaczej. Było sześć klas i niektórzy chłopcy mieli po dwanaście lat. Wszyscy mieszkaliśmy w biednych dzielnicach. Zacząłem wreszcie chodzić do łazienki, ale tylko na siku. Jak raz stamtąd wychodziłem, to zobaczyłem, że jakiś mały chłopczyk pije wodę z kranu. Większy chłopak zaszedł go od tyłu i pchnął twarzą prosto w kran. Kiedy mały podniósł głowę, miał połamane zęby i krew lała mu się z ust. Nawet woda była pokrwawiona.

– Tylko spróbuj się wygadać – powiedział starszy chłopak – to dopiero oberwiesz.

Mały wyjął chusteczkę i przytknął do ust. Wróciłem do klasy. Pani opowiadała nam o George’u Washingtonie i wiosce Valley Forge. Na głowie miała kunsztowną siwą perukę. Często biła nas po łapach linijką, kiedy uznała, że jesteśmy niegrzeczni. Chyba nigdy nie chodziła do łazienki. Nienawidziłem jej.

Codziennie po lekcjach jacyś dwaj starsi chłopcy zaczęli się bić. Bili się pod samym płotem za szkołą, tam gdzie nauczyciele w ogóle nie zaglądali. Szanse nigdy nie były równe; zawsze większy bił mniejszego, okładał pięściami i wgniatał w płot. Mniejszy próbował się bronić, ale nie miał startu. Już po chwili krew płynąca z twarzy zalewała mu koszulę. Ci mniejsi zbierali cięgi w milczeniu, nigdy nie prosili o litość, nie skamlali. W końcu większy chłopak cofał się i było po sprawie. Wszyscy szli do domu razem ze zwycięzcą. Ja wracałem sam, szybkim krokiem, z kiszkami pełnymi kupy. Póki trwały lekcje, a potem bójka, ani razu sobie nie ulżyłem. Zwykle mi się zresztą odechciewało, zanim wróciłem do domu. Przez jakiś czas nawet mnie to niepokoiło.

Rozdział 6

W szkole nie miałem kolegów i nawet nie chciałem ich mieć. Lepiej się czułem, kiedy byłem sam. Siedziałem na ławce, patrzyłem, jak tamci się bawią, i myślałem o tym, jak głupio wyglądają. Kiedyś w czasie dużej pauzy podszedł do mnie jeden nowy. Ubrany był w bryczesy, miał zeza i stopy zwrócone palcami do wewnątrz. Nie podobał mi się. Wyglądał jakoś nie tak. Usiadł obok na ławce.

– Cześć, jestem Dawid.

Nie odpowiedziałem.

Otworzył torbę z drugim śniadaniem.

– Mam kanapki z masłem orzechowym – powiedział.

– A ty?

– Kanapki z masłem orzechowym.

– Mam jeszcze banana. I frytki. Chcesz frytek?

Wzięłem parę. Miał ich pełno. Były kruche i słone. Przeświecały, kiedy się na nie patrzyło pod słońce. Smakowały mi.

– Mogę jeszcze trochę?

– Bierz.

Wziąłem więcej. Nowy miał kanapki nie tylko z masłem orzechowym, ale nawet z galareta. Galareta wyciekła z kanapek i płynęła mu po palcach. Nie zwracał na to uwagi.

– Gdzie mieszkasz? – spytał.

– Na Virginia Road.

– A ja na Pickford. Możemy razem wrócić po lekcjach. Weź jeszcze frytek. Kto cię uczy?

– Pani Columbine.

– A mnie pani Reed. Spotkajmy się po lekcjach, wrócimy razem do domu.

Po co nosił te głupie bryczesy? Czego ode mnie chciał? Wziąłem jeszcze trochę frytek z jego torby.

Po lekcjach odszukał mnie i zaczął iść razem ze mną.

– Nie powiedziałeś, jak masz na imię – przypomniał mi.

– Henry.

Zauważyłem, że idzie za nami cała banda pierwszaków. Z początku szli w odległości kilku domów, ale potem skrócili dystans do paru metrów.

– Czego oni chcą? – spytałem Dawida.

Nie odpowiedział. Szedł dalej, nic nie mówiąc.

– Te, galociarz! – wrzasnął któryś chłopak. – Matka każe ci srać w galoty?

– Platfus, platfus!

– Zezowaty na straty! Zezowaty na straty!

Otoczyli nas.

– Co on za jeden, ten twój kumpel? Lize ci rumpel?

Któryś złapał Dawida za kołnierz. Przewrócili go na trawnik. Dawid się podniósł. Jeden chłopak stanął za nim

na czworakach. Drugi popchnął Dawida, a on upadł na wznak. Któryś przewrócił go na brzuch i wgniótł mu twarz w ziemię. Odsunęli się. Dawid wstał. Ani pisnął, ale łzy płynęły mu po policzkach. Podszedł do niego największy.

– Nie potrzeba nam w szkole takich mięczaków! – powiedział. – Wynocha z naszej szkoły!

Uderzył Dawida pięścią w brzuch. Dawid zgiął się w pół, a wtedy inny chłopak kopnął go kolanem w twarz. Dawid upadł. Z nosa ciekła mu krew.

Tamci otoczyli mnie.

– Teraz twoja kolej!

Okrażali mnie, a ja obracałem się wkoło. Zawsze miałem kilku za plecami. Wiedziałem, że będę musiał się bić, i to z kiszkami pełnymi kupy. Byłem równocześnie przerażony i spokojny. Nie rozumiałem, o co im chodzi. Otaczali mnie kręgiem, a ja obracałem się w miejscu. Trwało to dość długo. Wywrzaskiwali jakieś świństwa, ale nie słyszałem słów. Wreszcie cofnęli się i odeszli ulicą. Dawid już na mnie czekał. Poszliśmy w stronę jego domu na Pickford Street.

Po jakimś czasie stanęliśmy przed drzwiami.

– To cześć. Muszę już iść.

– Cześć, Dawid.

Wszedł do środka. Od razu usłyszałem głos jego matki:

– Dawid! Jak ty wyglądasz! Spodnie i koszula podarte, całe poplamione trawą! I tak prawie dzień w dzień! Wytłumacz mi, czemu to robisz?

Dawid nie odpowiedział.

– Nie słyszysz? Pytam, po co tak niszczysz ubranie?

– Nic na to nie poradzę, mamoo...

– Nic na to nie poradzisz? Ty głupku!

Usłyszałem, że matka go bije. Rozpłakał się, a ona zaczęła go bić jeszcze mocniej. Stałem na trawniku przed ich domem i słuchałem. Wreszcie lanie się skończyło. Słyszałem, jak Dawid szlocha. Potem przestał.

– A teraz idź ćwiczyć na skrzypcach – powiedziała jego matka.

Usiadłem na trawniku i zaczekałem. Po chwili usłyszałem skrzypce. Był to bardzo smutny dźwięk. Nie podobało mi się, jak Dawid gra. Jeszcze trochę posłuchałem, ale muzyka wcale się nie poprawiła. Kupa zastygła mi w kiszkaach. Odechciało mi się srać. Popołudniowe słońce raziło mnie w oczy. Zbierało mi się na wymioty. Wstałem i poszedłem do domu.

Rozdział 7

Chłopcy ciągle się bili. Nauczyciele udawali, że nic nie wiedzą. W czasie deszczu regularnie wybuchały bójkі. Kto przychodził do szkoły z parasolem albo w płaszczu, zaraz podpadał. Rodziców większości z nas nie było stać na takie luksusy. Jeśli komuś kupiono parasol albo płaszcz, chował go w krzakach. Każdy, kogo przyłapano z parasolem albo w płaszczu, wychodził na mięczaka i po lekcjach obrywał. Dawidowi matka kazała zabierać parasol, choćby się tylko trochę chmurzyło.

Codziennie były dwie pauzy. Pierwszaki spotykały się na swoim własnym boisku do baseballu i dwaj najlepsi dobierali składy. Dawid i ja staliśmy obok siebie. Za każdym razem było to samo. Mnie wybierano przedostatniego, a Dawida na samym końcu, więc zawsze graliśmy w przeciwnych drużynach. Dawid grał gorzej niż ja. Miał zeza, więc nawet nie widział wyraźnie piłki. Mnie też bardzo brakowało treningu. Nigdy nie grałem z chłopakami z sąsiedztwa. Nie umiałem łapać piłki ani trafiać w nią kijem. Ale chciałem, podobała mi się ta gra. Dawid bał się piłki. Ja się

nie bałem. Walilem w nią z całej siły, najmocniej ze wszystkich. Tylko że nigdy nie trafiałem. Wciąż mijałem się z piłką. Ale raz udało mi się tak rzucić, że pałkarz wybił na aut. To było ekstra. Kiedy indziej wygrałem spacer, bo złapałem pomocnika tamtych na spalonym. Jak już doszedłem do pierwszej bazy, to bazalt powiedział:

– Bez spalonego w życiu byś się nie załapał.

Spojrzałem na niego. Żuł gumę. Z nosa wyrastały mu długie, czarne kłaki, a włosy na głowie aż się lepily od wazeliny. Przez cały czas szyderczo się uśmiechał.

– Co się gapisz? – spytał.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie przywykłem do rozmów.

– Chłopaki mówią, że jesteś wariat – ciągnął tamten – ale ja się ciebie wcale nie boję. Kiedyś zaczekam na ciebie po lekcjach.

Nie spuszczałem go z oka. Miał okropną twarz. Wtem pomocnik wziął rozmach, a ja rzuciłem się biegiem. Pędziłem jak prawdziwy wariat i ślizgiem wszedłem w drugą bazę. Piłka wpadła po czasie. Zawadziła o mnie, ale za późno.

– Skucha! – krzyknął chłopak, na którego akurat wypadła kolej sędziować. Wstałem, nie wierząc własnym uszom.

– SKUCHA, mówię! – wrzasnął sędzia.

Zrozumiałem, że mnie nie chcą. Nie chcieli mnie ani Dawida. Uznali, że zrobiłem skuchę, bo według nich skucha mi się należała. Wiedzieli, że się koleguję z Dawidem. Właśnie przez niego nie chcieli mnie przyjąć do paczki. Schodząc z boiska, spojrzałem w stronę trzeciej bazy, tam gdzie akurat grał Dawid. Był w tych swoich galotach, a pończochy w nie-

biesko-żółte paski opadały mu do kostek. Dlaczego właśnie mnie sobie upatrzył? Przez niego byłem napiętnowany. Tego dnia po lekcjach szybko wyszedłem z klasy i wróciłem do domu sam, bez Dawida. Nie chciałem znowu patrzeć, jak biją go chłopaki z naszej klasy, a potem matka. Nie chciałem słuchać jego smutnych skrzypiec. Ale kiedy nazajutrz usiadł koło mnie, jadłem jego frytki.

Nadszedł wreszcie mój dzień. Stałem na płycie i czułem w sobie wielką siłę. Byłem wysoki, nie mogłem przecież być tak beznadziejny, jak się tamtym wydawało. Wiedziałem, że jestem silny, a może naprawdę wariat. Ale czułem, że naprawdę mam coś w sobie. Niechby tylko stężałe gówno. I tak było to więcej, niż mieli tamci. Kiedy przyszła moja kolej, wziąłem kij do ręki.

– Halo, uwaga, na stanowisku Król Wymiataczy! Żywy wiatrak!

Nadleciała piłka. Zamachnąłem się i poczułem, że kij wchodzi w nią tak, jak mi się od dawna marzyło. Wzbiła się hen do góry, poleciała na lewe pole i przemknęła wysoko nad głową lewego polnego. Lewy polny nazywał się Don Brubaker. Stał i patrzył bezradnie, jak piłka nad nim przelatuje. Leciała, jakby nigdy nie miała spaść. Brubaker za nią pobiegł. Chciał mnie wywalić z boiska. Nie miał szans. Piłka spadła wreszcie i potoczyła się na boisko piątoklasistów. Wolno podbiegłem do pierwszej bazy, klepnąłem teczkę, spojrzałem na bazalta, wolniutko podbiegłem do drugiej, znowu klepnąłem, podbiegłem do trzeciej – stał tam Dawid, ale go olałem – klepnąłem teczkę i noga za nogą wróciłem na płytę. Był to nie lada wyczyn. Nigdy przedtem się

nie zdarzyło, żeby pierwszak zaliczył pełne okrążenie w jednym biegu! Stając z powrotem na płycie, usłyszałem, jak Irving Bone mówi do kapitana naszej drużyny, Stanleya Greenberga:

– Weźmy go do pierwszego składu.

Pierwszy skład rozgrywał mecze z reprezentacjami innych szkół.

– Nie – powiedział Stanley Greenberg.

Miał rację. Nigdy więcej nie udał mi się taki numer. Przeważnie w ogóle nie trafiałem w piłkę. Ale wszyscy pamiętali, że kiedyś za jednym obejściem zrobiłem pełną rundę, więc chociaż dalej mnie nienawidzili, było to trochę bardziej znośne – jakby sami niezupełnie wiedzieli, za co właściwie tak mnie nie cierpią.

Z futbolem było jeszcze gorzej. Graliśmy w klepanego, bez ostrych wejść. Nie umiałem łapać ani rzucać piłki, ale na jeden mecz dostałem się do składu. Chłopak z przeciwnej drużyny nadbiegł z piłką, złapałem go za kołnierz i przewróciłem na ziemię. Zaczął się podnosić, ale mu dokopałem. Nie lubiłem go. To był ten z pierwszej bazy, któremu kłaki sterczały z nosa, a włosy na głowie lepiły się od wazeliny. Podszedł Stanley Greenberg. Był z nas wszystkich największy. Mógłby mnie zabić, gdyby chciał. To on rządził w naszej klasie. Jego słowo było święte.

– W ogóle nie kumasz, o co chodzi w futbolu – powiedział do mnie. – Nie będziesz więcej z nami grał.

Przeniesiono mnie do siatkarki. Grałem w siatkówkę z Dawidem i paroma innymi chłopakami. Do niczego taka gra. Wszyscy tylko się darli i okropnie napalali, a tamci

przez ten czas grali w futbol. Ja też chciałem grać w futbol. Brakowało mi tylko trochę treningu. W siatkówkę wstyd było grać. W siatkówkę grały dziewczyny. W końcu urwałem się siatkarzom. Podczas pauzy stawałem na środku boiska, tam gdzie nikt w nic nie grał. Właściwie to tylko ja jeden w nic nie grałem. W ten sposób codziennie oczekiwałem obie pauzy, od początku do końca.

Pewnego dnia stałem sobie jak zwykle i nagle znów narobiłem sobie nieprzyjemności. Futbolówka spadła z wysoka i rąbnęła mnie w potylicę. Padłem na ziemię. Kręciło mi się w głowie. Wszyscy stanęli kołem i zaczęli się wyśmiewać.

– Patrzcie, Henry zemdłał! Zemdłał jak baba! Patrzcie!

Wstałem, chociaż słońce kołysało mi się przed oczami. Po chwili znieruchomiało. Niebo przybliżyło się i spłaszczyło. Czuję się jak w klatce. Wszyscy stali dookoła mnie. Same twarze, nosy, usta i oczy. Pomyślałem, że skoro tak się ze mnie nabijają, to pewnie specjalnie przyłożyli mi piłkę. Byłem wściekły.

– Który to? – spytałem.

– Chcesz wiedzieć, kto kopnął piłkę?

– Tak.

– A co zrobisz, jak się dowiesz?

Nie odpowiedziałem.

– Billy Sherril – rzekł jeden.

Billy Sherril był pulchny, a właściwie tłusty, i nawet fajniejszy niż większość, ale należał do ich paczki. Ruszyłem na niego. Ani drgnął. Kiedy byłem już blisko, zamachnął się. Prawie nie poczułem. Uderzyłem go za lewym uchem, a kiedy się za nie złapał, walnąłem w brzuch. Upadł i nie wstawał.

– Wstawaj i bij się, Billy – powiedział Stanley Greenberg. Podniósł go z ziemi i pchnął w moją stronę. Rąbnąłem Billy’ego prosto w usta, a on złapał się za nie obiema rękami.

– Dobra – rzekł Stanley. – Jak tak, to ja wchodzę.

Reszta zaczęła go dopingować. Postanowiłem uciec. Wcale nie chciałem umierać. Ale nagle podszedł nauczyciel, pan Hall.

– Co tu się dzieje?

– Henry zaczął z Billym – rzekł Stanley.

– Tak było, chłopcy?

– Tak.

Pan Hall wziął mnie za ucho i zawlókł do sekretariatu. Pchnął mnie na krzesło przy wolnym biurku i zapukał do drzwi gabinetu dyrektora. Wszedł tam, a po powrocie nawet na mnie nie spojrział. Przesiedziałem tak pięć albo i dziesięć minut, zanim dyrektor wyszedł i usiadł za biurkiem. Był to bardzo czcigodny pan o bujnych siwych włosach. Pod szyją miał zawiązaną niebieską muszkę. Wyglądał jak prawdziwy dżentelmen. Nazywał się Knox. Założył ręce i przyjrzał mi się bez słowa. Przestałem być pewien, czy jest dżentelmenem. Wyglądało na to, że chce mnie poniżyć, zrobić ze mną to samo co wszyscy.

– No – rzekł w końcu – mów, co się właściwie stało.

– Nic.

– Pobiłeś Billy’ego Sherrila. Jego rodzice zażądają wyjaśnień.

Nie odpowiedziałem.

– Myślisz, że możesz sam wymierzać sprawiedliwość, kiedy coś ci się nie podoba?

– Nie.

– No więc dlaczego to zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem.

– Wydaje ci się, że jesteś lepszy od innych?

– Nie.

Pan Knox siedział i nic nie mówił. Miał długi nóż do papieru i jeździł nim po zielonym filcu, którym pokryty był blat biurka. Na biurku stał wielki kałamarz z zielonym atramentem i stojak do piór, a w nim cztery pióra. Zastanawiałem się, czy dyrektor mnie zbije.

– No więc dlaczego to zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem. Pan Knox suwał po blacie nożem do papieru. Zadzwoił telefon. Dyrektor podniósł słuchawkę.

– Halo? Pani Kirby? Zaraz, zaraz, co pani mówi, że on zrobił? Co takiego? Nie umie pani sama zaprowadzić dyscypliny? Jestem zajęty. Dobrze, zadzwonię, jak tylko się rozprawię z tym tutaj...

Odłożył słuchawkę. Jedną ręką odgarnął z oczu piękne siwe włosy. Spojrzał na mnie.

– Dlaczego sprawiasz mi tyle kłopotów?

Nie odpowiedziałem.

– Myślisz, że taki z ciebie twardy chłop?

Milczałem.

– Twardziel, co?

Wokół biurka pana Knoksa latała mucha. Zawisła nad kałamarzem z zielonym atramentem. Potem usiadła na czarnej zakrętce kałamarza i zaczęła sobie czyścić skrzydełka.

– Dobra. Ty jesteś twardy i ja jestem twardy. Możemy sobie podać ręce.

Wcale nie uważałem, że jestem twardy, więc mu nie podałem ręki.

– No, dawaj rękę.

Wyciągnąłem dłoń, a on wziął ją w swoją i zaczął potrząsać. Po chwili przestał. Popatrzył na mnie. Miał czyste niebieskie oczy, jaśniejsze niż muszka pod brodą. Były prawie piękne. Wciąż na mnie patrzył, trzymając mnie za rękę. Wzmocnił uścisk.

– Chcę ci pogratulować, że jesteś taki twardy.

Ścisnął jeszcze mocniej.

– A ja jestem twardy? Jak ci się zdaje?

Nie odpowiedziałem.

Zgniół mi palce, aż ból przeniknął do kości. Czulem, że kość każdego palca wcina się jak ostrze w skórę sąsiedniego. Czerwone błyski migotały mi przed oczami.

– No i co, jestem twardy facet?

– Zabiję cię – powiedziałem.

– Co proszę?

Pan Knox ścisnął jeszcze mocniej. Miał dłoń jak imadło. Widziałem wszystkie pory w jego twarzy.

– Twardziele nie krzyczą z bólu, co?

Nie mogłem już patrzeć mu w oczy. Oparłem się twarzą o blat biurka.

– Jestem twardziel czy nie? – spytał pan Knox.

Ścisnął mocniej. W końcu musiałem krzyknąć, bo już nie dawałem rady, ale krzyknąłem najciszej, jak się dało. Nie chciałem, żeby mój krzyk było słychać w klasach.

– No więc jak, jestem twardziel?

Jeszcze czekałem. Nie chciało mi to przejść przez gardło. W końcu powiedziałem:

– Tak.

Pan Knox puścił moją rękę. Bałem się na nią spojrzeć. Zwiesiłem ją bezwładnie. Zobaczyłem, że mucha gdzieś tymczasem odleciała, i pomyślałem sobie, że być muchą to wcale nie jest taki zły układ. Pan Knox pisał coś na kartce.

– Piszę krótki list do twoich rodziców, Henry. Masz im go oddać. Oddasz, prawda?

– Oddam.

Włożył kartkę do koperty i mi podał. Koperta była zaklejona, a ja wcale nie miałem ochoty jej otwierać.

Rozdział 8

Zaniósłem kopertę do domu, dałem matce i poszedłem do sypialni. Do swojej sypialni. Najlepsze w niej było to, że stało tam łóżko. Lubiałem leżeć w nim godzinami, nawet w dzień. Kładłem się i podciągałem kołdrę pod brodę. Dobrze się wtedy czułem. Nic się nie działo, nie było ludzi ani nic. Matka często przytapywała mnie w łóżku za dnia.

– Wstawaj, Henry! Chłopcu w twoim wieku to szkodzi, jak się wyleguje przez cały dzień! No, wstawaj! Rób coś!

Ale ja nie miałem nic do roboty.

Tamtego dnia nie położyłem się do łóżka. Matka czytała list od dyrektora. Usłyszałem jej płacz. A potem zawozenie.

– O mój Boże! Zhańbiłeś ojca i mnie! To po prostu hańba! Co będzie, jak się sąsiedzi dowiedzą? Co sobie pomyslą?

Rodzice nigdy nie rozmawiali z sąsiadami.

Drzwi otworzyły się i matka wbiegła do pokoju.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego swojej matce?

Łzy ciekły jej po twarzy. Zaczęło mnie gryźć sumienie.

– Czekaj, czekaj, niech no tylko ojciec wróci!

Trzasnęła drzwiami. Siedziałem na krześle i czekałem. Sumienie jednak mnie gryzło...

Usłyszałem, że wraca ojciec. Zawsze trząsał drzwiami, chodził ciężkim krokiem i głośno mówił. Poznałem, że jest już w domu. Otworzył drzwi mojego pokoju. Był wysoki, miał prawie metr dziewięćdziesiąt. Wszystko znikło: krzesło, na którym siedziałem, tapety, ściany, wszystkie moje myśli. Ojciec był mrokiem przesłaniającym słońce, wobec jego brutalności wszystko znikało bez śladu. Składał się już tylko z uszu, nosa, ust. Nie mogłem spojrzeć mu w oczy. Widziałem tylko twarz czerwoną ze złości.

– Jazda do łazienki.

Weszliśmy tam obaj. Ojciec zamknął drzwi. Ściany były białe. Na jednej wisiało lustro. Niewielkie okno zasłaniała pęknięta czarna siatka. Poza tym w łazience była wanna, sedes i kafelki na posadzce. Ojciec zdjął z haka w ścianie pas do ostrzenia brzytwy. Czekają mnie lanie, pierwsze z całej serii. Potem zacząłem częściej dostawać w skórę, i to za nic. Przynajmniej ja nigdy nie widziałem powodu.

– No jazda. Ściągaj portki.

Zdjąłem spodnie.

– Spuść majtki.

Spuściłem.

Ojciec przyłożył mi pasem. Przy pierwszym uderzeniu szok był silniejszy od bólu. Drugie już bardziej mnie zabolalo. Ból wzrastał się z każdym ciosem. Na początku jeszcze widziałem ściany, sedes, wannę. W pewnej chwili wszystko jakby znikło. Ojciec lał mnie i mieszał z błotem, ale nie rozu-

miałem ani słowa. Myślałem o różach, które hodował za domem. Myślałem o tym jego aucie, które stało w garażu. Nie chciałem krzyczeć. Wiedziałem, że gdybym krzyknął, to może by przestał, ale wiedząc o tym – wiedząc, jak bardzo chce usłyszeć mój krzyk – zaciskałem zęby. Z oczu płynęły mi łzy, ale milczałem. Po pewnym czasie wszystko zaczęło wirować i koziołkować. Przede mną była już tylko ta potworna możliwość, że będę tak stał do końca życia. Aż wreszcie – jak urządzenie nagłym szarpnięciem puszczone w ruch – zacząłem szlochać, krztusząc się i dławiąc słonymi glutami, które spływały mi do gardła. Ojciec przestał mnie bić.

Gdzieś sobie poszedł. Znów zobaczyłem lustro i okienko. Z haka zwisał pas do ostrzenia brzytwy – długi, brązowy, kręty. Nawet nie mogłem się schylić, żeby podciągnąć spodnie i majtki. Ruszyłem niezdarnie do wyjścia, spętany w kostkach spodniami. Otworzyłem drzwi do hallu. Stała tam matka.

– To było niesprawiedliwe – powiedziałem. – Dlaczego mi nie pomogłaś?

– Ojciec – odparła – zawsze jest sprawiedliwy.

I poszła sobie. Zamiatając spodniami podłogę, wróciłem do swojego pokoju i usiadłem na brzegu łóżka. Zabolalo, kiedy dotknąłem materaca. Przez siatkę w oknie widziałem rosnące za domem róże mojego ojca. Były czerwone, białe i żółte – dorodne, pełne kwiaty. Słońce stało już całkiem nisko, ale jeszcze nie zaszło. Przez okno wychodzące na tyły domu wpadały ostatnie promienie. Czułem, że nawet słońce jest własnością ojca, a ja nie mam do słońca żadnych praw, bo ono pada na jego dom. Tak jak róże należałem do ojca, a nie do samego siebie...

Rozdział 9

Kiedy mnie zawołali na kolację, jakoś dałem radę podciągnąć spodnie i poszedłem do niszy, w której jadaliśmy w dni powszednie. Na moim krześle leżały dwie poduszki. Usiadłem na nich, ale nogi i pupa i tak mnie zapiekły. Ojciec jak zwykle opowiadał o swojej pracy.

– Powiedziałem Sullivanowi, żeby z trzech rewirów zrobił dwa i zwolnił po jednym człowieku z każdej zmiany, bo tak, jak jest teraz, to wszyscy się objijają...

– Powinien cię posłuchać, tatuśku – rzekła matka.

– Przepraszam – wtrąciłem – przepraszam, ale nie chce mi się jeść.

– A właśnie że ZJESZ! – odparł ojciec. – Matka ugotowała, więc zjesz.

– Tak jest – powiedziała matka. – Zjedz pieczeń wołową i karczochy.

– I tłuczone kartofle z sosem – dodał ojciec.

– Nie jestem głodny – powtórzyłem.

– Wszystko ma mi tu być zjedzone! – rzekł ojciec.

– Pieczeń wołowa i karszczochoy też!

Miał to być dowcip, jeden z jego stałych numerów.

– TATUSKU! – powiedziała matka, nie wierząc własnym uszom.

Zacząłem jeść. To było straszne. Czułem się, jakbym zjadał ich oboje, jakbym zjadał wszystko, w co wierzyli i czym byli. Łykałem, nie gryząc, byle prędzej. Tymczasem ojciec mówił, jakie to smaczne jedzenie i jak nam się poszczęściło, że jemy takie dobre rzeczy, kiedy większość ludzi na świecie, a i w Ameryce niemało, cierpi głód i niedostatek.

– Mamuśka, co na deser? – spytał.

Twarz miał po prostu okropną, wargi wywinięte, umazane tłuszczem i aż mokre z zadowolenia. Zachowywał się jakby nigdy nic, jakby mnie wcale nie zbił. Kiedy wróciłem do swojego pokoju, pomyślałem: „To nie są moi rodzice. Na pewno tylko mnie adoptowali, a teraz im się nie podobają, co ze mnie wyrosło”.

Rozdział 10

Lila Jane była w moim wieku i mieszkała zaraz obok. Wciąż nie pozwalano mi się bawić z dziećmi z sąsiedztwa, ale kiedy siedziałem u siebie w pokoju, często się nudziłem, więc wychodziłem na dwór. Łaziłem po podwórku za domem i popatrywałem na to i owo, głównie na różne roboty. Albo siadałem w trawie i coś sobie wyobrażałem. Na przykład że jestem wspaniałym baseballistą, kiedy biorę kij do ręki, to zawsze trafiam i w każdej chwili mogę zaliczyć pełną rundę w jednym biegu. Czasem specjalnie wybijałem byle gdzie, żeby zmylić przeciwnika. A kiedy mi przyszła ochota, to znowu trafiałem. W którymś sezonie na początku lipca miałem tylko sto trzydzieści dziewięć punktów i jedną jedyną zaliczoną rundę. JUŻ PO HENRYM CHINASKIM, pisano w gazetach. A ja nagle zacząłem znowu trafiać. I to jak! W jednym meczu pozwoliłem sobie na szesnaście pełnych rund pod rząd. Innym razem przez dwadzieścia cztery rundy nie wypuszczałem kija z rąk. Do końca sezonu zbierałem pięćset dwadzieścia trzy punkty.

Lilę Jane widywałem w szkole, tak jak wiele innych ładnych dziewczynek. Właściwie to była najładniejsza, albo prawie. Mieszkała zaraz w sąsiednim domu. Kiedyś wyszedłem na podwórko, a ona podeszła do płotu i zaczęła się na mnie patrzeć.

– Nie bawisz się z chłopakami, co?

Spojrzałem na nią. Miała długie kasztanowe włosy i piwne oczy.

– Nie – powiedziałem. – Nie bawię się.

– Czemu?

– Wystarczy, że ich widuję w szkole.

– Na imię mi Lila Jane.

– A mnie Henry.

Wciąż na mnie patrzyła, a ja siedziałem w trawie i też na nią patrzyłem. W końcu spytała:

– Chcesz zobaczyć moje majtki?

– No chyba – powiedziałem.

Zadarła sukienkę. Majtki miała różowe i czyste. Spodobały mi się. Nie spuszczać sukienki, odwróciła się, żeby mi pokazać tyłek. Też mi się spodobał. Spuściła sukienkę.

– To na razie – powiedziała i odeszła.

– Na razie – odparłem.

Powtarzało się to każdego popołudnia.

– Chcesz zobaczyć moje majtki?

– No chyba.

Majtki prawie za każdym razem były w innym kolorze i co dzień bardziej mi się podobały.

Kiedyś Lila Jane jak zwykle pokazała mi majtki, a ja powiedziałem:

– Chodźmy się przejść.

– Dobra.

Zaczekałem na nią przed domem i razem poszliśmy ulicą. Lila Jane naprawdę była ładna. Szliśmy, nic nie mówiąc, aż stanęliśmy przed pustą, zachwaszczoną działką. Chwasty były wysokie i zielone.

– Wejźmy tam – powiedziałem.

– Dobra.

Zapusciliśmy się w gąszcz chwastów.

– Pokaż mi jeszcze majtki.

Podniosła sukienkę. Były niebieskie.

– Wyciągnijmy się na chwilę – zaproponowałem.

Położyliśmy się w zielsku. Chwyciłem ją za włosy i pocałowałem. Zadarłem jej sukienkę i jeszcze raz obejrzałem majtki. Złapałem ją za tyłek i znów pocałowałem. Długo ją całowałem i macałem po tyłku. Wreszcie powiedziałem:

– Zróbmy to.

Nie byłem pewien, co właściwie trzeba zrobić, ale czułem, że coś jeszcze zostało do zrobienia.

– Nie, nie można – odparła.

– Dlaczego?

– Jeszcze nas zobaczą ci faceci.

– Jacy znowu faceci?

– Tamci! – powiedziała, wskazując palcem.

Spojrzałem przez chaszczę. O parę domów dalej jacyś mężczyźni łatali nawierzchnię.

– Przecież nas stamtąd nie widać!

– Właśnie że widać!

Wstałem.

– Cholera by to wzięła! – zakląłem. Wyszedłem spo-
między chwastów i wróciłem do domu.

Przez jakiś czas Lila Jane nie przychodziła po połud-
niu. Wcale mnie to nie obeszło. Trwał sezon piłkarski, a ja –
w wyobraźni – byłem wspnianym rozgrywającym. Potrafi-
łem rzucić piłkę na dziewięćdziesiąt metrów, a kopnąć na
osiemdziesiąt. Ale rzadko musieliśmy kopać – przynaj-
mniej wtedy, kiedy to ja biegłem z piłką. Najlepiej mi szło,
gdy całym swoim ciężarem taranowałem dorosłych face-
tów. Robiłem z nich miazgę. Potrzeba było pięciu albo i
sześciu, żeby mnie zatrzymać. Czasem – tak samo jak przy
baseballu – robiło mi się ich żal i dawałem sobie odebrać
piłkę po jakichś ośmiu czy dziesięciu metrach. Zwykle ob-
rywałem wtedy solidną kontuzję i trzeba mnie było znosić z
boiska. Moja drużyna zaczynała tracić punkty. Kiedy prze-
grywaliśmy, powiedzmy, siedemnaście do czterdziestu, a
mecz miał się skończyć raptem za trzy, cztery minuty, wr-
całem do gry, wściekły, że mnie kontuzjowano. Kiedy do-
stawałem podanie, za każdym razem przedzierałem się z
piłką pod samą bramkę tamtych. Gol! Tłum wył. Grając
w obronie, umiałem każdego pokryć, przechwycić każde
podanie. Byłem wszędzie naraz. Chinaski, „Amok” China-
ski! Lada chwila miał huknąć strzał oznaczający koniec
meczu. Wybijałem piłkę z głębi własnej połowy, wybiega-
łem naprzód, do linii autowych, cofałem się. obrońcy pa-
dali jeden za drugim, a ja przez nich przeskakiwałem. I to
wszystko bez żadnej asekuracji. W drużynie miałem samych
mięczaków. W ostatnich sekundach zawisało na mnie pię-
ciu obrońców, ale ja nie dawałem się zbić z nóg, tylko wło-

kąc za sobą całe to winogrono, przebiegałem przez linię bramkową i zdobywałem zwycięskiego gola.

Pewnego dnia na nasze podwórko wszedł tylną furtką jakiś duży chłopak. Podniosłem głowę i spojrzałem. Przystanął i też zaczął mi się przyglądać. Był może o rok starszy i na pewno nie chodził do mojej szkoły.

– Jestem z Marmount – oświadczył.

– Lepiej stąd zjeżdżaj – poradziłem mu. – Zaraz wróci mój ojciec.

– Co ty nie powiesz.

Wstałem.

– Po coś tu przylazł?

– Podobno wam tu w Delsey się zdaje, że jesteście straszni twardziele.

– Wygrywamy wszystkie mecze z innymi szkołami.

– Bo oszukujecie. A my w Marmount nie lubimy oszukańców.

Miał na sobie niebieską koszulę, starą i rozchełstaną, a na lewym przegubie rzemyk.

– Twardziel jesteś, co? – spytał.

– Wcale nie.

– Co trzymasz w garażu? Chyba sobie coś stamtąd wezmę.

– Nie włącz tam.

Garaż był otwarty. Chłopak minął mnie i wszedł do środka. Niewiele mógł tam znaleźć. Podniósł z ziemi starą piłkę plażową, z której uszło powietrze.

– Przyda się – powiedział.

– Nie rusz!

– Właśnie że ruszę, ale ciebie! – zawołał i rzucił piłką, celując w moją głowę. Uchyliłem się. Wyszedł z garażu prosto na mnie. Cofnąłem się.

Poszedł za mną na podwórko.

– Nie opłaca się oszukiwać! – powiedział i zamierzył się na mnie. Zrobiłem unik, ale aż mi dmuchnęło koło ucha. Zamknąłem oczy, rzuciłem się na niego i zacząłem łomotać. Chwilami czułem, że w coś trafiam. Nic nie mogłem poradzić na to, że też obrywam, ale w ogóle mnie nie bolało. Najgorszy był strach. Nie miałem jednak innego wyjścia: musiałem dalej młócić. Wtem usłyszałem, że ktoś woła:

– Przestańcie!

To była Lila Jane. Przeszła na moje podwórko. Przystaliśmy się bić. Lila Jane podniosła z ziemi starą puszkę i rzuciła nią w chłopaka z Marmount. Puszka trafiła go w sam środek czoła i się odbiła. Postać chwilę bez ruchu, a potem uciekł, płacząc i jęcząc. Przestraszył się małej puszką. Dziwiło mnie, że taki duży chłopak tak łatwo się rozbezczał. My w Delsey mieliśmy swój kodeks. Żaden nawet nie pisnął, kiedy dostawał baty. Choćby najgorszy mięczak. Kiepscy byli ci z Marmount.

– Wcale nie musiałaś mi pomagać – powiedziałem do Lili Jane.

– Przecież cię bił!

– Nic mnie nie bolało.

Lila Jane wybiegła tylną furtką z mojego podwórka, skręciła na własne i do domu.

„Jeszcze jej się podobam” – pomyślałem.

Rozdział 11

W drugiej i trzeciej klasie też nie pograłem sobie w baseball, ale czułem, że w jakiś sposób wyrastam jednak na zawodnika i jeśli znów dostanę kij do rąk, to strzelę aż nad dach szkoły. Kiedyś stałem sobie na boisku i nagle podszedł do mnie jeden nauczyciel.

– Co robisz?

– Nic.

– Mamy teraz wychowanie fizyczne. Powinieneś brać udział w lekcji. Coś ci dolega?

– Że co?

– Pytam, czy coś ci jest?

– Nie wiem.

– Chodź.

Zaprowadził mnie do chłopaków, którzy grali w kopany baseball. Gra się w to piłką od nożnej. Pomocnik turla ją w stronę płyty i wtedy trzeba strzelić. Jeżeli piłka polecą lobem i ktoś ją wyłapie, to ten, co kopnął, odpada. A jeżeli pójdzie płasko po ziemi i przetoczy się przez pole albo kopnie ją się górą między polnymi, to strzelec zalicza tyle baz, ile da radę.

– Jak masz na imię? – spytał mnie nauczyciel.

– Henry.

Podszedł do grających.

– Henry będzie stoperem – powiedział.

Wszyscy byli z mojej klasy. Dobrze mnie znali. Stoper to w tej grze najcięższa rola. Wszedłem na boisko. Wiedziałem, że będą chcieli dać mi w kość. Pomocnik wolniutko potoczył piłkę po ziemi i jeden chłopak ją kopnął. Wycelował prosto we mnie. Strzelił ostro, na wysokość piersi, ale gładko obroniłem. Piłka była duża, więc tylko wyciągnąłem ręce i z łatwością ją złapałem. Rzuciłem pomocnikowi. Drugi chłopak strzelił tak samo jak pierwszy, tylko trochę wyżej. Tym razem piłka leciała trochę szybciej. Też betka. Trzeci podszedł do płyty Stanley Greenberg. „Czyli po sprawie – pomyślałem. – Mój pech”. Pomocnik puścił piłkę po ziemi i Stanley rąbnął jak z armaty, prosto w moją głowę. Miałem zamiar zrobić unik, ale nie zrobiłem. Piłka huknęła mnie po rękach i jakoś ją utrzymałem. Poturlałem pomocnikowi. Trzy strzały obronione. Pobieglem truchcikiem do linii bocznej. Po drodze minąłem się z chłopakiem, który powiedział:

– Chinaski jak gra, to po nogach sra.

To był ten chłopak z włosami wysmarowanymi wazeliną, któremu z nosa sterczały czarne kłaki. Stałem jak wryty i obróciłem się na pięcie.

– Ty! – zawołałem. Przystanął. Spojrzałem na niego. – Żebyś się więcej do mnie nie odzywał.

W jego oczach zobaczyłem łęk. Poszedł na swoje miejsce na boisku, a ja oparłem się o płot. Nasza drużyna wchodziła na płytę. Nikt koło mnie nie stanął, ale było mi wszystko jedno. Pomału zyskiwałem grunt pod nogami.

Trudno było zrozumieć, czemu tak jest. Chodziliśmy do najbiedniejszej szkoły, mieliśmy najbiedniejszych, najmniej wykształconych rodziców, większość z nas fatalnie się odżywiała, a jednak wszyscy co do jednego wyrosliśmy dużo lepiej niż chłopaki z innych podstawówek. Nasza szkoła była sławna w mieście. Bano się nas.

Nasi szóstoklasiści zawsze spuszczaali straszne manto reprezentacjom szóstych klas z innych szkół. Zwłaszcza w baseballu. Wygrywaliśmy czternaście do jednego, dwadzieścia cztery do trzech, dziewiętnaście do dwóch. Umieiliśmy przyładować pałą.

Kiedyś naszą drużynę wyzwała reprezentacja ogólniaka Miranda Bell, który miał wtedy mistrzostwo Los Angeles w kategorii młodszych szkół średnich. Jakimś cudem udało się zebrać pieniądze i każdy z naszych dostał nową niebieską czapkę z białą literą D na przedzie. Ekstra wyglądali w tych czapkach. Jak przyszli ci z Miranda Bell, ci niby mistrzowie siódmych klas, to nasi tylko na nich spojrzeli i w śmiech. Byliśmy więksi, groźniej wyglądaliśmy, chodziliśmy innym krokiem, wiedzieliśmy coś, czego tamci nie wiedzieli. My z młodszych klas też parsknęliśmy śmiechem. Było jasne, że damy im radę.

Ci z Miranda Bell byli jacyś tacy za uprzejmi. Strasznie cisi. W ich drużynie rzucał największy. Strącił trzech pierwszych pałkarzy, najlepszych z naszego składu. Ale myśmy jeszcze mieli Płaskiego Johnsona i Płaski wyrównał. No i tak się to ciągnęło. Raz u nich, raz u nas ktoś mijał się z piłką, czasem komuś udawało się trafić mały rykoszet albo przebiec z bazy na bazę, ale nic poza tym. Wreszcie pod sam koniec siódmego seta dorwaliśmy się do kija. Niejaki Mo-

del Cappalletti przygrzmocił aż miło. Rany, ale huknął! Myślałem, że piłka doleci do samej szkoły i pójdzie szyba w którymś oknie. W życiu nie widziałem takiej czadownej piłki! Rąbnęła w czubek masztu od sztandaru i odskoczyła. Cappalletti gładko zaliczył pełną rundę, a nasi wyglądali naprawdę super w tych nowych niebieskich czapkach z białym D.

Potem ci z Miranda Bell po prostu odpuścili. Nie umieli nam oddać. Wychowali się w bogatej dzielnicy, więc nie wiedzieli, co znaczy prawdziwa walka. Nasz następny pałkarz zaliczył dwie bazy. Ale wrzasnęliśmy! Już było po nich. Nic nam nie mogli zrobić. Kolejny pałkarz obskoczył trzy bazy. Tamci zmienili pomocnika. Nasz pałkarz trzy razy złapał go na spalonym. Następny zaliczył bazę. W jednym secie zrobiliśmy dziewięć rund.

W ósmym secie Miranda ani razu nie dorwała się do kija. Podeszli nasi piątoklasiści, żeby się bić z tamtymi. Nawet któryś czwartak podbiegł i zaczął się napażać z jednym obcym. W końcu tamci zabrali sprzęt i sobie poszli. Wyszliśmy za nimi i na ulicy popędziliśmy im kota.

Nie było nic więcej do roboty, więc dwaj nasi zaczęli się bić. Nieźle im szło. Obaj mieli rozkwaszone nosy, ale łomotali się na całego, kiedy raptem podszedł jeden z nauczycieli, którzy zostali na meczu, i ich rozdzielił. Nawet nie wiedział, jak mało brakowało, żeby sam oberwał.

Rozdział 12

Którejś nocy ojciec zabrał mnie ze sobą na rozwożenie mleka. Nie było już wozów konnych, tylko ciężarówki. W mleczarni załadowaliśmy towar i dalej w trasę. Fajnie było na dworze tak wcześnie rano. Świecił księżyc i gwiazdy. Było zimno, ale za to ciekawie. Nie bardzo wiedziałem, czemu ojciec mnie wziął, bo już mnie wtedy łał pasem raz albo i dwa razy na tydzień, więc kiepsko ze sobą żyliśmy.

Na każdym postoju wyskakiwał z szoferki i stawiał pod czyimiś drzwiami butelkę mleka albo dwie. Czasem ludzie zamawiali twaróg, maślankę lub masło, a niektórzy sok pomarańczowy. Przeważnie wkładali do pustych butelek kartki z listą zamówień.

Ojciec co chwila przystawał, a potem ruszał dalej i zostawiał towar pod następnymi drzwiami.

- Jak myślisz, mały, w którą stronę jedziemy?
- Na północ.
- Masz rację. Jedziemy na północ.

Raz po raz skręcaliśmy w boczne uliczki. Przystawaliśmy i ruszaliśmy dalej.

– No, a teraz gdzie jedziemy?

– Na zachód.

– A właśnie że na południe.

Przez pewien czas jechaliśmy w milczeniu.

– A jakbym tak cię wypchnął z szoferki i zostawił na ulicy, to co byś zrobił?

– Nie wiem.

– Pytam, w jaki sposób byś przeżył?

– Chybabym zawrócił i wypił sok pomarańczowy i mleko, które zostawiłeś ludziom na schodkach.

– A potem?

– Znalazłbym jakiegoś policjanta i powiedziałbym mu, co zrobiłeś.

– Tak? A co ja takiego zrobiłem?

– Powiedziałeś mi, że południe jest tam, gdzie naprawdę jest zachód, bo chciałeś, żebyś zabłądził.

Zaczęło się rozwidniać. W końcu rozwieźliśmy cały towar i wstąpiliśmy do baru na śniadanie. Podeszła kelnerka.

– Cześć, Henry – powiedziała do ojca.

– Cześć Betty.

– Co to za chłopiec? – spytała Betty.

– Mały Henry.

– Podobny do ciebie.

– Ale nie ma takiego rozumu jak ja.

– Mam nadzieję.

Zamówiliśmy śniadanie, czyli po porcji jaj na boczku.

Przy jedzeniu ojciec powiedział:

– Teraz będzie najtrudniejsze.

– Czyli?

– Ludzie zalegają z pieniędzmi. Muszę je odebrać.
Niektórzy wcale nie mają ochoty płacić.

– Przecież powinni.

– To samo i ja mówię.

Skończyliśmy jeść i pojechaliśmy. Ojciec wysiadł co pewien czas i pukał do drzwi. Słyszałem, jak zrzędzi:

– Jasna cholera, co wy sobie myślicie, że niby skąd ja wezmę pieniądze? Wychlaliście mleko, teraz pora wysrać forszę!

Za każdym razem wstawiał inny tekst. Czasem wracał z pieniędzmi, czasem bez.

Wtem zobaczyłem, że wchodzi w zaułek, wzdłuż którego stoją parterowe domki. Jedne drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta w luźnym jedwabnym kimonie. Paliła papierosa.

– Słuchaj, mała, muszę mieć te pieniądze. Jesteś mi winna najwięcej ze wszystkich!

Wyśmiała go.

– Daj chociaż połowę, chociaż część, żebym miał co pokazać szefowi.

Puściła ustami kółko dymu, wyciągnęła rękę i przebiła je palcem.

– Słuchaj, musisz mi zapłacić – powiedział ojciec. – Jestem w rozpaczliwej sytuacji.

– Wejdz, pogadamy – rzekła kobieta.

Ojciec wszedł za nią do środka. Drzwi się zamknęły. Długo tam siedział. Słońce na dobre już weszło, zanim wyszedł. Potargane włosy zasłaniały mu twarz. Idąc, wpychał koszulę w spodnie. Wsiadł do szoferki.

– Dała ci pieniądze? – spytałem.

– To był na dziś ostatni postój – rzekł ojciec. – Więcej nie dam rady. Odstawimy wóz i do domu.

Miałem jeszcze raz zobaczyć tę kobietę. Kiedyś po lekcjach wróciłem do domu, a ona siedziała na krześle w pokoju od frontu. Rodzice też tam byli. Matka płakała. Na mój widok zerwała się, podbiegła i chwyciła mnie w ramiona. Zaprowadziła mnie do mojego pokoju i posadziła na łóżku.

– Henry, kochasz mamę? – spytała.

Właściwie to jej nie kochałem, ale miała strasznie smutną minę, więc skłamałem, że kocham. Poszliśmy z powrotem do tamtego pokoju.

– Twój ojciec kocha tę kobietę – oznajmiła mi matka.

– Kocham was obie! A chłopak niech się stąd wynosi! Poczuję, że matka jest przez ojca bardzo nieszczęśliwa.

– Zabiję cię – oświadczyłem.

– Mówiłem, że chłopak ma się stąd zabierać!

– Jak możesz kochać tę kobietę? – spytałem. – Zobacz, jaki ma nos. Jak słoniowa trąba!

– Jezu! – powiedziała kobieta. – Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich rzeczy. – Spojrzała na ojca. – Wybieraj, Henry! Ona albo ja! Wybieraj, ale już!

– Kiedy nie mogę! Kocham was obie!

– Zabiję cię! – powtórzyłem.

Podszedł i dał mi w ucho, aż spadłem z krzesła. Kobieta wstała i wybiegła na dwór, a ojciec za nią. Wskoczyła do jego auta, przekręciła kluczyk i odjechała. Wszystko to stało się bardzo szybko. Ojciec biegł za nią i wołał:

– EDNA! EDNA! WRÓĆ!

Nawet dogonił wóz, sięgnął ręką na przednie siedzenie i złapał jej torebkę. Edna dodała gazu, a ojciec został z torebką w garści.

– Czułam, że coś się święci – powiedziała mi matka – więc się schowałam w bagażniku i przyłapałam parkę. Twój ojciec przywiózł mnie tu razem z tą babą. A teraz zabrała mu samochód!

Ojciec wrócił z torebką Edny.

– Wszyscy do domu, jazda!

Weszliśmy do środka i ojciec zamknął mnie na klucz w moim pokoju. On i matka zaczęli się kłócić. Kłócili się głośno i obrzydliwie. A potem ojciec zaczął bić matkę. Krzyczała, a on dalej ją bił. Wylazłem przez okno i chciałem wejść frontowymi drzwiami, ale były zamknięte na klucz. Spróbowałem tylnych drzwi i po kolei różnych okien. Wszystko było pozamykane. Stałem na podwórku za domem i słuchałem krzyków i odgłosów uderzeń.

Potem wszystko ucichło i słyszałem już tylko szloch matki. Szlochała długo, ale coraz ciszej, i w końcu przestała.

Rozdział 13

Byłem w czwartej klasie, kiedy się wreszcie dowiedziałem, jak to jest. Wszyscy inni pewnie już dawno wiedzieli, tylko nie ja, bo dalej z nikim nie rozmawiałem. Stałem sobie jak zwykle na przerwie, a tu nagle podszedł do mnie jeden chłopak i spytał:

– Wiesz, jak oni to robią?

– Co?

– Jak się ruchają.

– O czym ty mówisz?

– Twoja matka ma dziurę... – Zrobił kółko z kciuka i palca wskazującego prawej ręki. – Ojciec ma fiuta... – Lewym palcem wskazującym kilka razy przejechał przez otwór. – Potem z fiuta pryska sok i twoja matka czasem ma od tego dziecko, a czasem nie.

– Przecież to Pan Bóg robi dzieci – powiedziałem.

– Sratytaty – odparł chłopak i sobie poszedł.

Nie mogłem w to uwierzyć. Po przerwie siedziałem w klasie i się głowiłem. Matka ma dziurę, a ojciec fiuta, z którego pryska sok. Że też oni mogą jakby nigdy nic cho-

dzić po świecie z czymś takim między nogami i normalnie mówić o różnych sprawach, a potem się kładą, robią swoje i nikomu ani słowa? Chciało mi się rzygać na myśl, że powstałem z soku własnego ojca.

Tamtej nocy po zgaszeniu świateł nie zasnąłem, tylko leżałem w łóżku i nasłuchiwałem. Rzeczywiście coś usłyszałem. Ich łóżko zaczęło skrzypieć. Piszczwały sprężyny. Wstałem, podszedłem na palcach do ich drzwi i nadstawiłem uszu. Łóżko wciąż skrzypiało. Potem przestało skrzypieć. Czym prędzej wróciłem do swojego pokoju. Usłyszałem, że matka idzie do łazienki. Spuściła wodę w klozecie i wróciła do sypialni.

Straszne! Nic dziwnego, że trzymają to w tajemnicy. I pomyśleć, że wszyscy to robią! Nauczyciele, dyrektor, po prostu wszyscy! Co za głupota. Ale kiedy pomyślałem, że mógłbym to zrobić z Lilą Jane, wcale mi się ten pomysł nie wydał taki głupi.

Na drugi dzień w szkole ciągle o tym myślałem. Patrzyłem na dziewczyny i sobie wyobrażałem, że robię z nimi to coś. Chciałem odstawić ten numer z każdą po kolei, narobić dzieciaków, żeby na całym świecie zaroiło się od takich facetów jak ja, znakomitych baseballistów, co raz po raz zaliczają pełną rundę w jednym biegu. Pod koniec lekcji pani Westphal powiedziała:

– Henry, zostaniesz po lekcjach.

Zadzwonił dzwonek i wszystkie dzieciaki wyszły z klasy. Siedziałem w swojej ławce i czekałem. Pani Westphal poprawiała klasówki. „Może chce to ze mną zrobić” – pomyślałem.

Wyobraziłem sobie, że jej zadzieram sukienkę i widzę dziurę.
„Dobra jest, pani Westphal, możemy zaczynać”.

Podniosła głowę znad klasówek.

– Henry, powycieraj tablice, wynieś gąbki na dwór i porządnie je wytrzep.

Zrobiłem, co mi kazała, i z powrotem usiadłem. Pani Westphal dalej poprawiała klasówki. Ubrana była w obcisłą niebieską sukienkę, miała mały nosek, na nim okulary w drucianej oprawce, a w uszach duże złote kolczyki. Zaczęło mi się dłużyć to czekanie. W końcu spytałem:

– Dlaczego kazała mi pani zostać po lekcjach?

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Miała zielone oczy. Patrzyła nimi jakby z jakiejś głębi.

– Zatrzymałam cię po lekcjach, bo czasem bywasz niegrzeczny.

– Taaa? – powiedziałem z uśmiechem.

Pani Westphal wciąż na mnie patrzyła. Zdjęła okulary, ale nie spuszczała mnie z oka. Biurko zasłaniało jej nogi. Nie mogłem zajrzeć pod sukienkę.

– Okropnie dziś nie uważałeś na lekcjach, Henry.

– Taaa?

– Mówi się „tak”, a nie „taaa”. Rozmawiasz z dorosłą osobą!

– Wiem, wiem...

– Nie bądź bezczelny!

– Jak pani każe.

Wstała i wyszła z za biurka. Przeszła między rzędami i usiadła na blacie ławki po drugiej stronie przejścia. Miała ładne długie nogi i jedwabne pończochy. Uśmiechnęła się do mnie, wyciągnęła rękę i dotknęła mojego nadgarstka.

- Rodzice chyba nie okazują ci zbyt wiele miłości, co?
- Bo i nie potrzeba – odparłem.
- Henry, miłość każdemu jest potrzebna.
- Ja tam niczego nie potrzebuję.
- Biedny chłopcze.

Wstała, podeszła do mojej ławki i pomału objęła moją głowę. Schyliła się i przycisnęła ją sobie do piersi. Wyciągnąłem ręce i złapałem ją za nogi.

– Henry, dlaczego wciąż ze wszystkimi walczysz. Przecież chcemy ci pomóc.

Mocniej złapałem ją za nogi.

– Dobra – powiedziałem. – Chodźmy się ruchać.

Pani Westphal odepchnęła mnie i sama też się cofnęła.

– Coś ty powiedział?

– Chodźmy się ruchać!

Długo mi się przyglądała.

– Henry, nigdy nikomu nie powtórzę, co powiedziałeś – rzekła w końcu. – Ani dyrektorowi, ani twoim rodzicom, ani nikomu. Ale pamiętaj, żebyś nigdy, przenigdy nie ważył się tak do mnie mówić. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– To dobrze. Możesz już iść.

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Kiedy je otworzyłem, pani Westphal powiedziała:

– Do widzenia, Henry.

– Do widzenia, pani Westphal.

Szedłem ulicą i zastanawiałem się nad tą całą sprawą. Czułem, że pani Westphal chce się ruchać, ale się boi, bo jestem dla niej za młody i jeszcze dowiedziałyby się o tym

dyrektor albo moi rodzice. Nieźle mnie to podrajcowało, że tak siedziałem z nią sam na sam w klasie. W ogóle cały ten cyrk z ruchaniem to była fajna rzecz. Ludzie mieli przynajmniej o czym myśleć.

Po drodze do domu musiałem przejść przez szeroką ulicę. Wszedłem na pasy. Nagle zobaczyłem, że prosto na mnie pędzi jakieś auto. Wcale nie zwolniło. Jechało zygzakiem, jak wściekłe. Próbowałem uciec sprzed maski, ale mnie dogoniło. Zobaczyłem reflektory, koła, zderzak. Potrąciło mnie i zapadła ciemność.

Rozdział 14

W szpitalu mazali mi kolana watkami umaczanymi w jakimś płynie. Szczypało. Łokcie też mnie szczypały.

Nachylał się nade mną lekarz i pielęgniarka. Leżałem w łóżku, przez okno wpadało słońce. Przyjemnie było tak leżeć. Lekarz się do mnie uśmiechał. Pielęgniarka wyprostowała się i też się uśmiechnęła. Miło było w szpitalu.

- Jakoś się nazywasz? – spytał lekarz.
- Henry.
- A dalej?
- Chinaski.
- Polak, co?
- Niemiec.
- Właściwie dlaczego nikt nie chce być Polakiem?
- Urodziłem się w Niemczech.
- Gdzie mieszkasz? – zapytała pielęgniarka.
- Z rodzicami.
- Naprawdę? – spytał lekarz. – Czyli gdzie?
- Co mi się stało w łokcie i kolana?
- Wpadłeś pod samochód, na szczęście między koła.

Świadkowie twierdzą, że kierowca musiał chyba być pijany. Potrącił cię i uciekł. Ale ktoś zapisał numer. Prędkiej czy później go złapią.

– Ma pan ładną pielęgniarkę... – powiedziałem.

– Dziękuję – rzekła pielęgniarka.

– Randki ci się zachciewa, co? – rzekł lekarz.

– A co to takiego randka?

– Masz ochotę się z nią umówić?

– Chyba i tak nie mógłbym pójść na całość. Pewnie jestem za młody.

– Jak to na całość?

– No, wie pan.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

– Wpadnij do mnie, jak ci się kolana zagoją – powiedziała – to zobaczymy, jak daleko uda nam się zajść.

– Przepraszam – wtrącił lekarz. – Muszę jeszcze opatrzyć kogoś po wypadku.

Wyszedł z sali.

– No to mów – powiedziała pielęgniarka. – Gdzie mieszkasz?

– Na Virginia Road.

– Ale pod którym numerem, kotku?

Podąłem. Spytała, czy mamy w domu telefon. Powiedziałem, że nie znam numeru.

– Nie szkodzi, sami znajdziemy. I nic się nie bój. Miałeś szczęście. Kosztowało cię to raptem guza na głowie i trochę startej skóry.

Była miła, ale wiedziałem, że jak tylko mi się zagoją kolana, nie zechce mnie znać.

– Wolałbym tu zostać – oświadczyłem.

- Co? Nie chcesz wracać do rodziców?
 - Nie. Dajcie mi tu zostać.
 - Nie możemy, kotku. Musimy mieć wolne łóżka dla naprawdę ciężko chorych albo rannych.
- Uśmiechnęła się i wyszła.

Kiedy wezwali ojca, przyszedł prosto do sali, wygarnął mnie z łóżka i wyniósł na korytarz.

– Ile razy ci mówiłem, gnojku jeden, że masz się dobrze rozejrzeć, zanim przejdziesz przez jezdnię.

Pędził korytarzem. Po drodze minęliśmy tę znajomą pielęgniarkę.

– Do widzenia, Henry – powiedziała.

– Do widzenia.

Wsiedliśmy do windy. Jechał nią już staruszek na wózku inwalidzkim. Stała za nim pielęgniarka. Winda ruszyła w dół.

– Chyba umrę – powiedział staruszek. – Nie chcę umrzeć. Boję się umrzeć...

– Dosyć się nażyłeś, stary pierdoło! – mruknął ojciec.

Staruszek zrobił spłoszoną minę. Winda stanęła, ale drzwi się nie otwierały. Dopiero po chwili zauważyłem windziarza. Był to karzeł w jaskrawoczerwonym mundurze i czerwonej czapce. Siedział na małym stołeczku.

– Łaskawy panie – rzekł – jest pan odrażającym durniem.

– Otwieraj, kurdupłu pierdolony – powiedział ojciec – bo zarobisz kopa w dupę.

Drzwi się otworzyły. Ojciec zaniósł mnie do wyjścia i ruszył na przełaj przez trawnik, który rozciągał się przed kliniką. Wciąż miałem na sobie szpitalny szlafrok. Ojciec niósł torbę z moim ubraniem. Wiatr zadzierał mi szlafrok

i odsłaniał kolana, obdarte ze skóry i nie zabandażowane, tylko zajodynowane. Ojciec prawie biegł.

– Jak dorwą tego skurwysyna – mówił – to go będę ciągał po sądach, aż puszczę drania z torbami! Do końca życia będzie mnie miał na utrzymaniu! Już mi się chce rzygać, jak patrzę na tę cholerną ciężarówkę z mlekiem! Mleczarnia Żółtej Krainy! Żółta Kraina, akurat. Gówno w dupie! Przeniesiemy się nad morza południowe. Będziemy jeść kokosy i ananasy!

Doszedł wreszcie do auta i posadził mnie na przednim siedzeniu. Wsiadł od strony kierowcy i przekręcił kluczyk.

– Nienawidzę pijaków! Mój ojciec pił. Moi bracia piją. Pijacy są słabi. Pijacy to tchórze. A już takich, co jeżdżą po pijanemu i uciekają z miejsca wypadku, tobym wsadzał na dożywocie!

Jechał w stronę domu, nie przestając mówić.

– Wiesz, że tubylcy znad morza południowych mieszkają w chatkach z trawy? Wstają rano, a tu śniadanie samo im spada z drzew. Nic, tylko podnieść i zjeść. Kokosy, ananasy. A białych uważają za bogów! Łowią ryby i pieką wieprze, a ich dziewczyny tańczą w spódniczkach z trawy i robią swoim chłopom masaż za uszami. Mleczarnia Żółtej Krainy, gówno w dupie!

Ale marzenie mojego ojca się nie spełniło. Kierowcę, który mnie potrącił, złapano i wsadzono do więzienia. Miał żonę z trojgiem dzieci i był bez pracy. Pijaczyna z płótnem w kieszeni. Trochę się przesiedział w więzieniu, ale ojciec nie wniósł oskarżenia.

– Z pustego, kurwa, i Salomon nie należy – powiedział.

Rozdział 15

Ojciec zawsze przepędzał sprzed naszego domu chłopców z sąsiedztwa. Nie wolno mi było się z nimi bawić, ale i tak chodziłem o parę domów dalej i patrzyłem, co robią.

– Heinie! – darli się na mój widok. – Czemu nie wracasz do Niemiec?

Jakoś wywęszyli, gdzie się urodziłem. Co najgorsze, wszyscy byli mniej więcej w moim wieku i trzymali się razem nie tylko dlatego, że blisko siebie mieszkali, lecz także dlatego, że chodzili do tej samej katolickiej szkoły. Mieli niezłą zaprawę, bo godzinami grywali w futbol z ostrym kryciem i prawie codziennie się bili. Najważniejsi nazywali się Chuck, Eddie, Gene i Frank.

– Heinie, wracaj do tej swojej szwabskiej ojczyzny!

Nie było mowy, żebym się dostał do ich paczki.

Pewnego dnia do domu zaraz obok Chucka wprowadził się rudy chłopak. Uczył się w jakiejś specjalnej szkole. Kiedyś siedziałem sobie na krawężniku, a ten rudy akurat wyszedł na dwór. Usiadł koło mnie.

– Cześć, jestem Rudy.

– A ja Henry.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy, jak chłopaki grają w futbol. Spojrzałem na Rudego.

– Po co nosisz rękawiczkę na lewej ręce? – spytałem.

– Mam tylko jedną rękę – odparł.

– Ta lewa wygląda jak prawdziwa.

– Jest sztuczna. Mam sztuczną rękę. Dotknij.

Pomacałem. Ręka była twarda, twarda jak kamień.

– Jak to się stało?

– Taki już się urodziłem. Ta ręka jest sztuczna aż do łokcia. Muszę ją sobie przypinać. Z łokcia wyrastają mi takie małe paluszki, z paznokciami i w ogóle, ale są do niczego.

– Masz kumpli?

– Nie.

– Ja też nie.

– Ci tutaj nie chcą się z tobą bawić?

– Nie.

– Mam w domu futbolówkę.

– A wyłapiesz podanie?

– Mowa.

– No to przynieś.

– Dobra.

Rudy poszedł do garażu i wrócił z piłką na swój trawnik. Rzucił mi ją i cofnął się o parę metrów.

– No, dawaj...

Rzuciłem piłkę. Rudy wyciągnął obie ręce, lepszą i gorszą, i złapał. Sztuczna ręka trochę zaskrzypiała.

– Ładna obrona – pochwaliłem. – Teraz ty mi wystaw.

Wziął rozmach tą swoją ręką i tak zasunął, że ledwo utrzymałem piłkę, kiedy mnie rąbnęła w brzuch.

– Za blisko stoisz – powiedziałem. – Cofnij się jeszcze kawałek.

„Nareszcie okazja, żeby potrenować rzuty i obronę” – pomyślałem. Było super.

Potem znowu robiłem za rozgrywającego. Wykonałem ćwierć obrotu w tył, wyprostowaną ręką odepchnąłem niewidzialnego przeciwnika i tak rzuciłem, żeby piłka wirowała wokół pionowej osi. Nie doleciała. Rudy wybiegł kawałek, skoczył głową naprzód, złapał piłkę i nie wypuścił jej z rąk, chociaż machnął chyba ze cztery kozły.

– Dobry jesteś. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Od ojca. Dużo razem trenujemy.

Znowu dał krok do tyłu i puścił wysokiego loba. Zacząłem się cofać biegiem, chociaż i tak nie miałem szans doskoczyć. Między domami Rudego i Chucka rósł żywopłot. Goniąc za piłką, wpadłem między gałęzie. Piłka odbiła się od żywopłotu i przeleciała na drugą stronę. Poszedłem naokoło, żeby ją zabrać z podwórka Chucka. Chuck sam mi ją podał.

– No i co, Heinie, znalazłeś sobie koleżkę odmieńca?

W parę dni później Rudy i ja trenowaliśmy przed jego domem strzały i podania. Chucka i reszty nigdzie nie było widać. Rudy i ja coraz bardziej się rozkręciliśmy. Okazało się, że wystarczy trenować. Człowiekowi musiała się tylko trafić szansa, nic więcej. Ale zawsze jacyś ludzie decydowali o tym, komu się trafi, a komu nie.

Wychyliłem się do tyłu i złapałem uciekającą piłkę, obróciłem się na pięcie i posłałem podanie do Rudego,

a on podskoczył wysoko i z piłką w dłoniach opadł na ziemię. „Kto wie – pomyślałem – może kiedyś zagramy w pierwszej lidze?”. Wtem zobaczyłem, że chodnikiem idzie w naszą stronę pięciu chłopaków. Poznałem, że nie są z mojej szkoły. Byli w naszym wieku i wyglądali na rozrabiaków. Rudy i ja dalej rzucaliśmy piłką, a tamci stanęli i zaczęli nam się przyglądać.

Największy chłopak wszedł na trawnik.

– Ty, podaj – rzekł do Rudego.

– A po co?

– Zobaczymy, czy złapię.

– Wszystko mi jedno, czy złapiesz.

– Podaj, mówię!

– On ma tylko jedną rękę – powiedziałem. – Zostawcie go.

– Nie wtrącaj się, małpoludzie!

Obcy chłopak znów spojrzał na Rudego i powiedział:

– No, podaj.

– Idź do diabła! – odparł Rudy.

– Brać piłkę! – rozkazał tamten. Pozostali czterej pobiegli w naszą stronę. Rudy rzucił piłkę na dach. Stoczyła się z powrotem, bo dach był spadzisty, ale na szczęście uwięzła za rynną. Tamci już siedzieli nam na karku. „Pięciu na dwóch – pomyślałem. – Nie mamy szans”. Oberwałem pięścią w skroń i też się zamachnąłem, ale nie trafiłem. Ktoś kopnął mnie w dupę. Dobrze wycelował, bo ból przebiegł mi przez cały kręgosłup. Nagle usłyszałem dziwny trzask, prawie jak strzał z karabinu. Jeden z tamtych osunął się na ziemię i złapał za głowę.

– O, kurde – powiedział. – Baniak mi rozwalił!

Spojrzałem na Rudego. Stał pośrodku trawnika. Prawą ręką trzymał za dłoń odczepioną protezę. Machnął nią jak maczugą. Rozległ się taki sam głośny trzask i drugi chłopak padł na trawnik. Dodało mi to odwagi, więc rąbnąłem jednego w zęby. Zobaczyłem, że pęka mu warga i krew zaczyna ciec po brodzie. Dwaj ostatni uciekli. Ci, co upadli – ten duży, co upadł pierwszy, i jeszcze jeden – podnieśli się z ziemi. Trzymali się za głowy. Chłopak z zakrwawioną brodą stał i patrzył. Potem wszyscy razem odeszli. Kiedy już byli daleko, największy obejrzał się i powiedział:

– My tu jeszcze wrócimy!

Rudy pobiegł za nimi, a ja za Rudym. Rzucili się do ucieczki. Rudy i ja przestaliśmy ich gonić, kiedy skręcili za róg. Po powrocie znaleźliśmy w garażu drabinę, zdjęliśmy z dachu piłkę i znów zaczęliśmy trenować podania...

Którejś soboty Rudy i ja postanowiliśmy iść popływać w basenie na ulicy Bimini. Dziwny chłopak był z tego Rudego. Rzadko się odzywał, ale ja też mało co się odzywałem, więc łatwo się dogadywaliśmy. I tak zresztą nie było o czym mówić. Jeden jedyny raz spytałem go o tę jego szkołę, ale mi tylko powiedział, że to specjalna szkoła i że jego ojciec wydaje na nią kupę forsy.

Przyszliśmy na basen zaraz po południu. Kupiliśmy żetony do szafek i rozebraliśmy się. Pod ubraniem mieliśmy kąpielówki. Zobaczyłem, jak Rudy odczepia tę swoją rękę i chowa do szafki. Pierwszy raz od czasu bójki z tamtymi pięcioma widziałem go bez sztucznej ręki. Starąłem się nie patrzeć na tę prawdziwą, która kończyła się w łokciu. Po-

szliśmy do takiego miejsca, gdzie trzeba było wymoczyć nogi w roztworze chlorku. Śmierdziało, ale za to nie roznosiła się grzybica czy inna zaraza. Poszliśmy stamtąd na basen i wleźliśmy do wody. Woda też śmierdziała. Zanurzyłem się i wyszczałem. W basenie pływali ludzie w każdym wieku, mężczyźni i kobiety, chłopaki i dziewczyny. Rudy cholernie lubił wodę. Aż podskakiwał z radości. Zanurkował. Widocznie się opił, bo jak znowu wypłynął, to pluł. Ja też próbowałem pływać. Chcąc nie chcąc zobaczyłem ten ogryzek ręki Rudego. To było silniejsze ode mnie. Uważałem, żeby patrzeć tylko wtedy, kiedy mi się wydawało, że jest zaprzątnięty czym innym. Ręka kończyła mu się w łokciu jakimś takim zaokrągleniem, no i rzeczywiście miała paluszki. Nie chciałem się specjalnie gapić, ale zauważyłem, że ma tylko trzy, a może cztery, że są maleńkie i podwinęte, całkiem czerwone, a każdy kończy się paznokietkiem. Wiadomo było, że nic tam już nie urośnie; wzrost ustał raz na zawsze. Wolałem o tym nie myśleć. Dałem nurka. Postanowiłem Rudego nastraszyć. Chciałem od tyłu złapać go za nogi. Nagle oparłem się o coś miękkiego. Wpakowałem się w to twarzą. Prosto w dupę jakiejś grubej baby. Poczuliem, że baba łapie mnie za włosy. Wyciągnęła mnie na powierzchnię. Pływała w niebieskim czepku z paskiem, który wrzynał jej się w tłusty podbródek. Na przednich zębach miała srebrne koronki, a z ust czuć ją było czosnkiem.

– Ty mały zbroczeni! Chciałeś sobie za frajer pomacać, świntuchu jeden?

Odepchnąłem ją i zacząłem się wycofywać. Cofałem się, a ona sunęła za mną. Obwisłe piersi piętrzyły przed nią falę przyboju.

– Ty mały chujku. Chcesz possać moje cycki? Masz włochate myśli, co? A może chcesz zjeść moje gówno? No jak, skosztowałbyś mojego gówna, chujku śmierdzący?

Cofnąłem się na głębszą wodę. Cofałem się dalej, idąc na palcach. Opilem się. Baba nadciągała jak parowiec. Nie mogłem już więcej się cofnąć. Znalazła się tuż obok mnie. Oczy miała blade, bez wyrazu, bez żadnego koloru. Poczulem, że mnie dotyka całym ciałem.

– Złap mnie za cipę – powiedziała. – Wiem, że chcesz mnie złapać za cipę, więc łap. No łap, mówię!

Czekała.

– Jak mnie nie złapiesz za cipę, to powiem ratownikowi, że mnie napastowałeś, i wsadzą cię do więzienia! No, łap!

Nie mogłem się przemóc. Nagle sięgnęła ręką, chwyciła mnie pod wodą za fiuta i szarpnęła. O mało mi nie urwała. Padłem na wznak w głęboką wodę. Przykryło mnie z głową. Zacząłem się szamotać i w końcu jakoś się wynurzyłem o półtora metra od tej baby. Popłynąłem tam, gdzie było płycej.

– Powiem ratownikowi, że mnie napastowałeś! – wrzasnęła kobieta.

Akurat przepływał między nami jakiś mężczyzna.

– A to gnojek jeden! – rozdarła się, wskazując mnie palcem. – Złapał mnie za cipę!

– Pani szanowna – rzekł mężczyzna. – Chłopiec pewnie myślał, że to kratka od ścieku.

Podpłynąłem do Rudego.

– Ty – powiedziałem – musimy zwiewać! Ta gruba powie ratownikowi, że ją złapałem za cipę!

- Co cię napadło? – spytał Rudy.
- Chciałem zobaczyć, jak to jest.
- No i jak było?

Wyszliśmy z basenu i wzięliśmy prysznic. Rudy przypiął rękę i ubraliśmy się.

- Naprawdę ją złapałeś? – spytał.
- Kiedyś trzeba zacząć.

W jakiś miesiąc później rodzina Rudego się wyprowadziła. Pewnego dnia po prostu się okazało, że ich nie ma. Rudy w ogóle mnie nie uprzedził. Znikł, a razem z nim znikła piłka, no i te czerwone paluszki z paznokietkami. Porządny był z niego facet.

Rozdział 16

Nie wiem czemu, ale Chuck, Eddie, Gene i Frank w końcu dali mi trochę ze sobą pograć. Zaczęło się chyba od tego, że doszedł piąty chłopak i chcieli mieć po trzech w drużynie. Wciąż jeszcze sporo mi brakowało do tego, żebym był naprawdę dobry, ale pomału się wyrabiałem. Najlepsza była sobota. Właśnie w sobotę rozgrywaliśmy najważniejsze mecze. Zawsze przyłączało się jeszcze paru chłopaków, wychodziliśmy na ulicę i graliśmy w futbol. Na trawnikach graliśmy z ostrym kryciem, ale na ulicy tylko w klepanego. Trzeba było więcej podawać, bo w klepanym nikt solo nie dobiegnie daleko.

W domu się nie układało. Ojciec i matka ciągle się kłócili, więc o mnie jakby zapomnieli. Co sobota grałem sobie w futbol. W czasie jednego meczu przedarłem się aż za ostatniego obrońcę i zauważyłem, że Chuck wysokim łobem posyła do mnie podanie. Biegłem dalej. Spojrzałem przez ramię. Zobaczyłem, że piłka akurat nadlatuje, wpadła mi prosto w ręce, złapałem ją i już gotów byłem strzelać.

Wtem usłyszałem, że ojciec woła:

– HENRY!

Stał przed tym swoim domem. Rzuciłem piłkę jednemu chłopakowi z naszej drużyny, żeby mogli wybić i grać dalej, i podszedłem do ojca. Był wyraźnie zły. Prawie czułem na sobie jego gniew. Ojciec zawsze stawał z jedną nogą trochę wysuniętą do przodu, czerwieniał na twarzy i tak dyszał, że aż mu falował pękaty brzuch. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a kiedy był zły, to tak wyglądał, jakby się składał z samych uszu, ust i nosa. Nie wytrzymałem wtedy jego spojrzenia.

– Dobra – powiedział. – Jesteś już dosyć duży, żeby kosić trawnik. Dosyć już urosłeś, żeby go skosić maszynką, wyrównać brzegi, podlać, a potem jeszcze popodlewac kwiaty. Najwyższy czas, żebyś zaczął pomagać w domu. Najwyższy czas, żebyś wreszcie ruszył ten swój ciężki tyłek!

– Ale ja gram w piłkę z chłopakami. Tylko w sobotę mam okazję pograć.

– Będziesz mi tu pyskował?

– Nie.

Widziałem, że matka przygląda się zza firanki. Oboje co sobota pucowali cały dom. Czyścili dywany odkurzaczem i polerowali meble do połysku. Zwijali dywany i woskowali dębowy parkiet, a potem znów go przykrywali dywanami. Nawet nie było widać, że podłoga jest świeżo woskowana.

Kosiarka i maszynka do wyrównywania brzegów stały już na podjeździe do domu. Ojciec pokazał mi, co z nimi robić.

– Weźmiesz kosiarkę i przeciągniesz nią w tę i z powrotem po trawniku, raz przy razie. Tu wysypiesz trawę

z worka, jak będzie pełny. Kiedy już przejedziesz trawnik wzdłuż, to zaczniesz jeździć w poprzek, jasne? Najpierw z północy na południe, a potem ze wschodu na zachód. Zrozumiano?

– Tak.

– I nie rób takiej nieszczęśliwej miny, bo cię tu zaraz unieszczęśliwię! Jak już przystrzyżesz trawnik, to się weźmiesz za wyrównywanie brzegów. Brzegi wyrównuje się małym ostrzem. O, tym! Pamiętaj, że masz wjechać aż pod żywopłot, żeby mi ani jedno źdźbło nie sterczało! Potem założysz to okrągłe ostrze i jeszcze raz przytniesz brzegi. Mają być idealnie równe! Zrozumiano?

– Tak.

– Jak już z tym skończysz, to weźmiesz nożyce...

Pokazał mi które.

– ...na kolanach obejdiesz cały trawnik i poprzycinasz wszystkie sterczące badyle. Potem wężem polejesz żywopłoty i klomby. Włączysz spryskiwaczkę i będziesz przez kwadrans polewać każdą część trawnika. Jak już się uwiniesz z trawnikiem i klombami od frontu, to zrobisz wszystko to samo na trawniku i klombach za domem. Są pytania?

– Nie.

– No to jeszcze jedno ci powiem. Jak już skończysz, to przyjdę i wszystko sprawdzę, I ŻEBY MI ANI JEDEN BADYL NIE STERCZAŁ Z TRAWNIKA! ANI PRZED DOMEM, ANI ZA DOMEM! BO JAK ZNAJDĘ CHOĆBY JEDEN...

Odwrócił się, wszedł z podjazdu na ganek, otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą, kiedy już zniknął w tym swoim domu. Wziął kosiarkę, pchając ją przed sobą, przeszed-

łem alejką i zacząłem pierwszy pokos z północy na południe. Słyszałem, jak chłopaki na ulicy grają w piłkę...

Przystrzygłem trawnik przed domem i wyrównałem brzegi. Podlałem klomby, włączyłem spryskiwaczkę i pomału ruszyłem w stronę podwórka za domem. Środkiem alejki prowadzącej za dom biegł wąski pas murawy. Też go przystrzygłem. Nawet nie wiedziałem, czy jestem nieszczęśliwy. Byłem taki zgnębiony, że na nieszczęście nie starczało już miejsca. Czułem się tak, jakby cały świat zamienił się w trawnik, a ja bym powoli przez niego brnął. Pchałem przed sobą kosiarkę, naprawdę ostro zasuwałem, ale w pewnej chwili dałem za wygraną. Zrozumiałem, że zajmie mi to kilka godzin, cały dzień, a mecz tymczasem się skończy. Chłopaki pójdą na obiad, minie sobota, a ja dalej będę strzygł trawę.

Kiedy zacząłem strzyc za domem, zauważyłem, że matka i ojciec stoją na ganku i mi się przyglądają. Stali bez słowa, bez ruchu. Za którymś razem przechodząc obok nich z kosiarką, usłyszałem, że matka mówi do ojca:

– Widzisz, on się wcale nie poci tak jak ty, kiedy strzyżesz trawnik. Patrz, jaki jest spokojny.

– SPOKOJNY? NIE SPOKOJNY, TYLKO ZDECHŁY!

Kiedy znów ich mijałem, ojciec powiedział:

– Zwijaj się! Ruszasz się jak ślimak!

Przyspieszyłem kroku. Z trudem, ale i z przyjemnością. Coraz mocniej pchałem kosiarkę. Już prawie biegłem. Skoszoną trawę tak zwiewało w tył, że tylko część trafiała do worka zawieszzonego na kosiarce. Wiedziałem, że go to rozłóści.

– TY GNOJU! – wrzasnął.

Zbiegł z ganku za domem i popędził do garażu. Wybiegł stamtąd z grubym klockiem w garści, długim na jakieś trzydzieści centymetrów. Kątem oka zobaczyłem, że nim rzuca. Widziałem nadlatujący kawał drewna, ale nawet nie próbowałem zrobić uniku. Oberwałem od tyłu w prawe udo. Ból był straszny. Dostałem skurczu w nodze i musiałem się przemóc, żeby dalej iść. Popychałem kosiarkę, starając się nie kuleć. Kiedy zawróciłem, żeby przystrzyc kolejny pas, klocek leżał mi na drodze. Podniosłem go, odłożyłem na bok i strzygłem dalej. Ból był coraz gorszy. Nagle obok mnie stanął ojciec.

– CZEKAJ!

Przerwałem.

– Masz zawrócić i jeszcze raz przejechać trawnik wszędzie tam, gdzie ci trawa uciekła z worka. Zrozumiano?

– Tak.

Wrócił do domu. Widziałem, że on i matka stoją na ganku za domem i mnie obserwują.

Kończąc tę robotę, trzeba było zmieść trawę z chodnika i splukać go węzem. A ja właśnie skończyłem. Musiałem jeszcze tylko spryskać trawnik za domem, piętnaście minut na każdy kwadrat. Właśnie ciągnąłem wąż za dom, żeby włączyć spryskiwaczkę, kiedy wyszedł ojciec.

– Nim zaczniesz, sprawdź jeszcze, czy nie zostawiłeś badyli.

Poszedł na środek trawnika, stanął na czworakach, a potem prawie się położył i oparł policzek o ziemię, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie sterczy pojedyncze źdźbło trawy.

Rozglądał się we wszystkie strony, kręcąc głową. Czekałem, co będzie.

– AHA!

Zerwał się i pobiegł do domu.

– MAMUŚKA! MAMUŚKA!

Wbiegł do środka.

– Co się stało?

– Znalazłem badyl!

– Naprawdę?

– Chodź, pokażę ci!

Szybko wyszedł z domu, a matka za nim.

– Tutaj! Tutaj! Zaraz ci pokażę!

Znów stanął na czworakach.

– Widzę go! O, drugi!

Matka uklękła obok niego. Zastanawiałem się, czy aby nie powariowali.

– Widzisz? – spytał. – Dwa badyle. Widzisz?

– Tak, tatuśku, widzę...

Wstali. Matka wróciła do domu. Ojciec spojrzał na mnie.

– No, jazda...

Wszedłem na ganek, z ganku do domu. Ojciec szedł za mną.

– Do łazienki.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Zdejmuj spodnie.

Usłyszałem, że zdejmuje pas z haka. Noga jeszcze mnie bolała. Wiedziałem, co będzie, bo już nieraz poczułem na własnej skórze uderzenie pasem do ostrzenia brzytwy. Tym gorzej, że wiedziałem. Za oknem był cały świat, obojętny na

to, co się dzieje. Tym gorzej, że był. Żyły na nim miliony ludzi, psów, kotów i susłów, wznosiły się domy, ciągnęły ulice, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Istniał tylko ojciec, pas do ostrzenia brzytwy, łazienka i ja. Ojciec tym samym pasem ostrzył brzytwę, a ja go nienawidziłem, kiedy wczesnym rankiem stał z namydloną twarzą przed lustrem i się golił. Spadło na mnie pierwsze uderzenie. Rozległ się głośny, suchy trzask. Ten dźwięk był prawie tak samo straszny jak ból. I następny cios. Jakby ojciec był maszyną do machania pasem. Czułem się jak w grobowcu. Pas znowu mnie smagnął, a ja pomyślałem: „Teraz to już na pewno ostatni raz”. Ale to nie był ostatni raz. Znowu oberwałem. Nie czułem do ojca nienawiści. Po prostu w głowie się nie mieściło, że jest, jaki jest. Chciałem mu tylko uciec. Nie mogłem się rozplakać. Za bardzo byłem rozbity i skołowany. Pas jeszcze raz spadł na moje pośladki. A potem ojciec przestał mnie bić. Stałem i czekałem. Usłyszałem, że odwiesza pas.

– Następnym razem – powiedział – ma mi nie być żadnych badyli.

Usłyszałem, że wychodzi z łazienki. Zamknął za sobą drzwi. Ściany były piękne, wanna była piękna, umywalka i zasłona prysznicza były piękne, piękny był nawet sedes. A ojca nie było.

Rozdział 17

Ze wszystkich chłopaków z mojej okolicy najfajniejszy był Frank. Zakumplowaliśmy się i wszędzie razem łąziliśmy. Zupełnie dobrze obchodziliśmy się bez innych chłopaków. Oni zresztą i tak właściwie wyrzucili Franka ze swojej paczki, więc się ze mną zaprzyjaźnił. Nie był podobny do tego Dawida, co ze mną wracał do domu po lekcjach. Miał dużo więcej mocnych punktów niż Dawid. Za jego przykładem zacząłem nawet chodzić do katolickiego kościoła. Rodzicom się to podobało. Niedzielne msze były okropnie nudne. Poza tym musieliśmy jeszcze chodzić na religię. Wkuwaliśmy katechizm. Same pytania i odpowiedzi, nudy na pudy.

Kiedyś po południu siedzieliśmy na ganku przed moim domem. Czytałem Frankowi na głos katechizm. Akurat przeczytałem, że „Bóg ma cielesne oczy i wszystko widzi”.

– Cielesne? – zdziwił się Frank.

– No.

– To znaczy takie?

Zacisnął pięści i zasłonił nimi oczy.

– Jak butelki po mleku – powiedział. Z pięściami wbitymi w oczodoły obrócił się w moją stronę i parsknął śmiechem. Ja też zacząłem się śmiać. Długo się śmialiśmy. Frank pierwszy przestał.

– Myślisz, że słyszał?

– Chyba tak. Wszystko widzi, to pewnie i wszystko słyszy.

– Boję się – powiedział Frank. – Może nas zabić. Myślisz, że nas zabije?

– Nie wiem.

– Posiedźmy i poczekajmy. Tylko się nie ruszaj. Siedź, jak siedzisz.

Siedzieliśmy więc na schodkach i czekaliśmy. Długo to trwało.

– Może nas tak od razu nie zabije – powiedziałem.

– No bo gdzie mu się w końcu spieszy – odparł Frank.

Odczekaliśmy jeszcze godzinę i poszliśmy do niego do domu. Akurat składał model samolotu, a ja chciałem rzucić okiem...

Któregoś dnia postanowiliśmy wreszcie pójść pierwszy raz do spowiedzi. Poszliśmy do kościoła. Zналиśmy jednego księdza, akurat tego najważniejszego. Spotkaliśmy go kiedyś w lodziarni i zagadał do nas. Raz nawet byliśmy u niego w domu. Mieszkał zaraz obok kościoła, z jakąś staruszką. Długo tam siedzieliśmy i wypytywaliśmy go o Boga. Na przykład, ile Bóg ma wzrostu? Czy po całych dniach przesiaduje w fotelu? Czy chodzi do łazienki tak jak wszyscy? Ksiądz nie odpowiadał wprost, ale i tak był dosyć fajny. Fajnie się uśmiechał.

Po drodze myśleliśmy o tym, że mamy się spowiadać. Zastanawialiśmy się, jak to będzie. Niedaleko kościoła przyplątał się do nas bezpański pies. Był bardzo chudy i pewnie głodny. Przystanęliśmy, żeby go pogłaskać i podrapać po grzbiecie.

– Szkoda, że pies nie może iść do nieba – powiedział Frank.

– Dlaczego nie może?

– Najpierw trzeba być ochrzczone.

– Właściwie warto by go ochrzcić.

– Myślisz?

– Niech ma tę szansę.

Wzięłem zwierzaka na ręce i weszliśmy do kościoła. Zanieśliśmy psa do kropielnicy. Ja go trzymałem, a Frank pokropił mu łeb wodą święconą.

– Ja ciebie chrzczę – powiedział.

Wynieśliśmy go na dwór i puściliśmy.

– Od razu inaczej wygląda – stwierdziłem.

Pies przestał się nami interesować i gdzieś sobie poszedł. Wróciliśmy do kościoła. Najpierw przystanęliśmy koło kropielnicy, zanurzyliśmy czubki palców i przeżegnaliśmy się. Uklękliśmy w kłęczniku przy konfesjonale i zaczęliśmy czekać. Zza firanki wyszła gruba baba. Wydzielała jakąś silną woń. Kiedy nas mijała, wyraźnie poczułem, jak od niej zalatuje. Ten silny zapach mieszał się z zapachem kościoła, a kościół śmierdział szczyną. Ludzie co niedziela przychodzili na mszę, wąchali tę szczynę i nikt nie narzekał. Chciałem powiedzieć o tym księdzu, ale jakoś nie umiałem. Może to świece tak śmierdziały.

– Wchodzę – rzekł Frank.

Wstał i zniknął za firanką. Długo nie wracał. Kiedy wyszedł, uśmiechał się od ucha do ucha.

– Było super, naprawdę! Teraz twoja kolej!

Wstałem, odsunąłem firankę i wszedłem. W środku było ciemno. Ukłąłem. Przed sobą widziałem tylko kratkę konfesjonału. Frank twierdził, że za tą kratką jest Bóg. Usiłowałem sobie przypomnieć, co przeskrobałem, ale jakoś nic mi nie przychodziło na myśl. Klęczałem i łamałem sobie głowę, ale niczego nie pamiętałem. Nie wiedziałem, co robić.

– No, dalej – odezwał się jakiś głos. – Powiedz coś!

Ten ktoś był wyraźnie rozgniewany. Nie spodziewałem się, że usłyszę głos. Myślałem, że Bóg czasu ma w bród. Zląłem się. Postanowiłem nakłamać.

– Dobrze – powiedziałem. – No więc... kopnąłem ojca... Przeklinałem matkę... Ukradłem jej pieniądze z torebki... Wydałem je na cukierki. Spuściłem powietrze z piłki. Zaglądałem jednej dziewczynce pod sukienkę. Kopnąłem matkę. Zjadłem własnego gila z nosa. To chyba wszystko. Aha, jeszcze ochrzciłem psa.

– Ochrzciłeś psa?!

To był mój koniec. Popełniłem Grzech Śmiertelny. Nie było sensu dalej się w to pchać. Wstałem i poszedłem sobie. Nie wiem, czy głos zza kratki kazał mi ileś tam razy odmówić Zdrowaś Mario, czy nic nie powiedział. Odsunąłem firankę i zobaczyłem, że Frank na mnie czeka. Wyszliśmy z kościoła na ulicę.

– Czuję się oczyszczony – rzekł Frank. – A ty?

– Nie.

Nigdy więcej nie poszedłem do spowiedzi. Była jeszcze gorsza niż msza o dziesiątej.

Rozdział 18

Frank lubił samoloty. Pożyczał mi wszystkie swoje szmirowate czasopisma o pierwszej wojnie światowej. Najlepsze nazywało się „Asy przestworzy”. Robiła się niezła miąchanina, kiedy fokke-wulfy naparzały się ze spadami. Czytałem wszystko od deski do deski. Nie podobało mi się to, że Niemcy zawsze przegrywają, ale poza tym było ekstra.

Lubiłem chodzić do Franka, żeby pożyczyć jakieś nowe czasopisma i oddać stare. Jego matka nosiła buty na wysokich obcasach i miała świetne nogi. Siadała w fotelu, zakładała nogę na nogę, a spódnica podjeżdżała jej do góry. Ojciec Franka siedział w drugim fotelu. Oboje stale popijali. Ojciec Franka był w czasie drugiej wojny światowej lotnikiem i razem z samolotem rąbnął o ziemię. W jednej ręce miał drut zamiast kości. Nie pracował, tylko brał rentę. Ale był fajny. Kiedy przychodziliśmy, zawsze do nas zagadywał.

– Jak wam leci, chłopcy? Co dobrego?

Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że będzie pokaz lotniczy. Cała wielka impreza. Frank skołował mapę i posta-

nowiliśmy pojechać na pokaz stopem. Bałem się, że nie dojedziemy na miejsce, ale Frank twierdził, że dojedziemy. Jego ojciec dał nam pieniądze.

Wyszliśmy z mapą na główną ulicę i od razu się załapailiśmy. Zabrał nas jakiś starszy facet. Usta miał wilgotne, bo je bez przerwy oblizywał. Ubrany był w starą kraciastą koszulę zapiętą aż pod szyję, ale bez krawata. Miał jakieś dziwne brwi, które zaginały się do dołu i włożyły mu w oczy.

– Jestem Daniel – powiedział.

– On jest Henry, a ja Frank – rzekł Frank.

Daniel jechał dalej. Wyjął z paczki lucky strike'a i zapalił.

– Mieszkacie z rodzicami, chłopcy?

– Tak – odparł Frank.

– Tak – powtórzyłem za nim.

Daniel zdążył już obślinić papierosa. Zahamował pod światłami.

– Wczoraj jak byłem na plaży, to złapali jakichś dwóch facetów pod molem. Policja zgarnęła ich i wpakowała do więzienia, bo jeden drugiemu obciągał druta. Co to gliniarzy obchodzi? Szlag mnie trafił, jak się dowiedziałem.

Światła zmieniły się i Daniel znów ruszył.

– Nie uważacie, chłopcy, że to głupota? Bo niby czemu gliniarze nie pozwolili, żeby jeden facet drugiemu spokojnie obciągnął?

Milczeliśmy.

– No co – nalegał Daniel. – Nie wydaje wam się, że człowiek ma prawo, żeby mu drugi facet obciągnął fujarę!

– Chyba ma – zgodził się Frank.

– No – powiedziałem.

- Dokąd jedziecie? – spytał Daniel.
- Na pokaz lotniczy – rzekł Frank.
- A, pokaz lotniczy! Lubię takie pokazy! Wiecie co, jak mnie przyjmiecie na trzeciego, to was tam zawiozę.

Milczeliśmy.

- No, co wy na to?
- Dobra – powiedział Frank.

Jego ojciec dał nam na bilety i na dojazd, ale postanowiliśmy jechać stopem, żeby zaoszczędzić.

- A może wolelibyście popływać – rzekł Daniel.
- Nie – odparł Frank. – Chcemy obejrzeć pokaz.
- Pływanie to większa frajda. Moglibyśmy się pościgać.

Znam takie miejsce, gdzie bylibyśmy sami. Nigdy w życiu nie poszedłbym pod moło.

- Chcemy iść na pokaz – rzekł Frank.
- Dobra – zgodził się Daniel. – Pójdziemy na pokaz.

Zajechaliśmy na miejsce i wysiedliśmy, a kiedy Daniel zamykał wóz, Frank powiedział:

– CHODU!

Pobiegliśmy w stronę bramy z budką biletera. Daniel zobaczył, że uciekamy.

– ACH, ŻEŻ WY MALI ODCHYLEŃCY! WRA-
CAĆ MI TU ZARAZ!

Biegliśmy dalej.

- Jezu – powiedział Frank. – A to wariat jebany!
- Byliśmy już prawie przy bramie.
- JA WAS JESZCZE DOPADNĘ!

Zapłaciliśmy i wbiegliśmy do środka. Pokaz jeszcze się nie zaczął, ale było już dużo ludzi.

– Schowajmy się pod trybuną, to nas nie znajdzie – powiedział Frank.

Trybuny były prowizoryczne, ze zwykłych desek. Weszliśmy pod jedną. Zobaczyliśmy, że jacyś dwaj kolesie stoją pod samym środkiem trybuny i gapią się w górę. Mieli po trzynaście, może czternaście lat, czyli byli o dwa albo trzy lata starsi od nas.

– Na co oni tak się gapią? – spytałem.

– Chodźmy zobaczyć – rzekł Frank.

Podeszliśmy. Jeden z tamtych nas zauważył.

– Zjeżdżać stąd, gnoje!

– Na co tak patrzycie? – spytał Frank.

– Mówiłem, że macie zjeżdżać!

– Co ci zależy, Marty. Niech sobie, kurde, popatrzą!

Podeszliśmy i stanęliśmy tam gdzie oni. Spojrzeliśmy do góry.

– I co tu jest do oglądania? – spytałem.

– Co ty, kurde, nie widzisz? – zdziwił się jeden.

– A co mam widzieć?

– Pizdę.

– Pizdę? Gdzie?

– Patrz, tutaj! Widzisz?

Pokazał mi palcem, gdzie mam patrzeć.

Na trybunie siedziała kobieta w podkasanej sukience, bez majtek. Między deskami widać było jej pizdę.

– Widzisz?

– No. Rzeczywiście, pizda – powiedział Frank.

– Dobra, a teraz jazda stąd i ani pary.

– Ale my chcemy jeszcze popatrzeć – rzekł Frank. –

Dajcie nam jeszcze trochę.

– Dobra, ale nie za długo.

Staliśmy i gapiliśmy się w górę.

– Widzę ją – powiedziałem.
– To pizda – powiedział Frank.
– Prawdziwa pizda – powiedziałem.
– No – powiedział jeden z tamtych. – Faktycznie, pizda.
– Nigdy jej nie zapomnę – powiedziałem.
– Dobra, chłopaki, czas na was.
– Dlaczego? – spytał Frank. – Dlaczego nie możemy dalej patrzeć?

– Bo ja mam coś do zrobienia – rzekł jeden z tych starszych. – No, już was tu nie widzę! Odeszliśmy.
– Jak myślisz, co on chce zrobić? – spytałem.
– Nie wiem – odparł Frank. – Może chce w nią rzucić kamieniem.

Wyszliśmy spod trybuny i rozejrzeliśmy się za Danielem. Nigdzie go nie było.

– Może odjechał – powiedziałem.
– Tacy goście nie lubią samolotów – rzekł Frank.

Wdrapaliśmy się na trybunę i czekaliśmy, aż zacznie się pokaz. Przyglądałem się wszystkim kobietom po kolei.

– Ciekawe, która to? – powiedziałem.
– Z wierzchu pewnie nic nie znać – odparł Frank.

Wreszcie zaczął się pokaz. Jeden facet w fokke-wulfie wyczyniał różne akrobacje. Dobrze mu szło. Zataczał pętle i koła, leciał prawie pionowo do góry i kiedy już się zdawało, że runie na dół, w ostatniej chwili jakoś wymanewrował, potem leciał tuż nad ziemią i jeszcze zrobił zawrót. Miał jeden numer z haczykami na skrzydłach, naprawdę super. Do dwóch kijów przyczepiono czerwone chusteczki, mniej więcej półtora metra od ziemi. Fokke-wulf zniżył się, kiwnął

prawym skrzydłem w dół i haczykiem ściągnął z kija chusteczkę. Zawrócił, kiwnął lewym skrzydłem i ściągnął drugą chusteczkę.

Potem były numery z pisaniem po niebie, ale nudne, i wyścigi balonów, ale jakieś głupie, i wreszcie zaczęło się coś z prawdziwego zdarzenia – wyścig dookoła czterech piramid, nad samą ziemią. Samoloty musiały zrobić dwanaście okrążeń dookoła piramid, a wygrać miał ten, który pierwszy skończy. Jeżeli pilot poleciał wyżej niż wierzchołek piramidy, od razu go dyskwalifikowano. Na razie samoloty stały jeszcze na ziemi i grzały motory. Każdy był inny. Jeden miał długi, cienki korpus prawie bez skrzydeł. Drugi był gruby i okrągły, całkiem jak amerykańska futbolówka. Trzeci skrzydła miał bardzo długie, a korpusu tyle co nic. Każdy był inaczej zbudowany, a wszystkie pomalowane we wspaniałe kolory. Nagroda dla zwycięzcy wynosiła sto dolarów. Motory już pracowały i czuło się, że za chwilę zobaczymy coś naprawdę ciekawego. Silniki ryczały, jakby chciały się oderwać od skrzydeł, a potem starter spuścił chorągiewkę i samoloty ruszyły. Było ich sześć i ledwo się mieściły, kiedy tak okrążały te cztery piramidy. Jedni piloci lecieli dołem, inni górą, jeszcze inni środkiem. Niektórzy lecieli szybko i przez to tracili, bo ich zносиło za daleko od piramid; inni lecieli wolniej i brali ostrzejsze wiraże. Wyglądało to cudownie i strasznie. Nagle jednemu samolotowi odpadło skrzydło. Spadł na ziemię i odbił się jeszcze parę razy, a z silnika buchał ogień i dym. Samolot przewrócił się do góry kołami. Nadjechało pogotowie i straż pożarna. Inne samoloty dalej krążyły. W jednym wybuchł silnik i zaraz się urwał, a cały samolot spadł, jakby ktoś go upuścił. Runął na ziemię i rozleciał się w kawałki. Ale to było niesamowite, bo pilot tylko odsunął pokrywę kabiny, wyszedł na zewnątrz

i stanął, czekając na karetkę. Pomachał widzom, a oni zaczęli bić brawo jak szaleni. Cudem się uratował.

Nagle stało się najgorsze. Przy którymś okrążeniu dwa samoloty zawadziły o siebie skrzydłami. Oba wpadły w spiralę, rąbnęły o ziemię i zaczęły się palić. Znow podjechała karetka i straż ogniowa. Widzieliśmy, jak sanitariusze wyciągają pilotów i kładą ich na noszach. Szkoda było takich dwóch odważnych facetów; pewnie zostali kalekami na całe życie, a może nawet się pozabijali.

Już tylko dwa samoloty ścigały się o tę wielką nagrodę: numer 5 i numer 2. Numer 5 to był właśnie ten smukły samolot prawie bez skrzydeł, dużo szybszy od numeru 2. Numer 2, ten okrążył jak piłka, włókł się pomału, ale dużo nadrabiał na zakrętach. Niewiele mu to dało. Numer 5 dawno go zdublował.

– Samolot oznaczony numerem piątym – ogłosił spiker – prowadzi różnicą dwóch okrążeń. Do końca wyścigu pozostały również dwa okrążenia.

Wyglądało na to, że numer 5 zgarnie nagrodę. Ale nagle wpadł na piramidę. Zamiast skręcić, rąbnął prosto w nią. Rozwalił ją i poleciał skosem w dół. Silnik ryczał na najwyższych obrotach i po chwili samolot runął na ziemię. Uderzył kołami, odbił się i podskoczył wysoko, przewrócił się i szurnał wierzchem po ziemi. Pogotowie i straż pożarna miały do niego kawał drogi.

Numer 2 dalej okrążył te trzy piramidy, które jeszcze stały, i tę rozbił. Po ostatniej rundzie wylądował. Wygrał główną nagrodę. Pilot wysiadł. Był gruby, tak jak jego samolot. Myślałem, że z kabiny wyskoczy jakiś ostry przystojniak. Grubas po prostu miał fart. Prawie nikt nie bił mu braw.

Na zakończenie pokazu były skoki na spadochronach. Na ziemi wymalowano koło, jakby środek wielkiej tarczy, i wygrywał ten skoczek, który wylądował najbliżej. Głupie to jakieś było. Ani hałasu, ani ruchu. Spadochroniarze skakali z samolotu i celowali w malowane koło. Nic więcej się nie działo.

– Kiepski numer – powiedziałem do Franka.

– No – przytaknął.

Spadochroniarze lądowali jeden za drugim. Następni skakali z samolotów. Nagle wśród widzów zaczęły się jakieś achy i ochy.

– Patrz! – powiedział Frank.

Jeden spadochron tylko częściowo się otworzył. Nie wiele nabrał powietrza. Skoczek spadał szybciej niż reszta. Widać było, jak wierzga nogami i wymachuje rękami, żeby rozplątać linki.

– Rany Boga – rzekł Frank.

Facet spadał. Coraz lepiej go widzieliśmy. Szarpał za linki, żeby zasupłany spadochron jednak się otworzył, ale nic z tego nie wychodziło. Uderzył o ziemię, trochę się odbił, a potem spadł i już się nie ruszył. Na wpół otwarty spadochron opadł pomału i go przykrył.

Resztę skoków odwołano.

Wychodząc razem z całym tłumem, rozglądaliśmy się, czy gdzieś nie ma Daniela.

– Nie jedźmy już stopem – powiedziałem do Franka.

– Dobra – zgodził się.

Kiedy schodziliśmy z trybun, sam nie wiedziałem, co było najciekawsze: wyścigi, nieudany skok na spadochronie czy pizda.

Rozdział 19

W piątej klasie trochę się poprawiło. Zacząłem nabierać krzepy i byłem chyba mniej nie lubiany niż przedtem. Dalej nie mogłem się dostać do reprezentacji klasy w żadnym sporcie, ale rzadziej próbowano mną pomiatać. Dawid znikł, a razem z nim znikły skrzypce. Jego rodzina gdzieś się wyprowadziła. Sam wracałem do domu. Czasem lazło za mną paru chłopaków. Najgorszy był Juan, ale nawet on ze mną nie zaczynał. Juan już palił. Szedł za mną, zaciągał się papierosem i zawsze miał ze sobą jakiegoś kumpla. Nigdy nie chodził za mną sam. Bałem się tych koleś. Marzyłem, żeby się odczepili. A równocześnie zupełnie ich olewałem. Nie lubiłem Juana. Nikogo w szkole nie lubiłem. Wszyscy chyba wiedzieli, że ich nie lubię. Pewnie właśnie za to mnie nie znosili. Nie cierpiałem ich chodu, wyglądu, sposobu mówienia, ale ojca i matki też przecież nie lubiłem. Wciąż miałem wrażenie, że mnie otacza biała pustka. I zawsze trochę mi się zbierało na wymioty. Juan był śniady i nosił mosiężny łańcuch zamiast paska. Dziewczyny się go bały, chłopaki zresztą też. Prawie codziennie on i któryś

z jego kumpli odprowadzali mnie pod sam dom. Wchodziłem do środka, a oni dalej stali przed domem. Juan palił papierosa i wyglądał jak nie wiem jaki twardziel, a jego kumpel stał obok. Przyglądałem im się przez firankę. W końcu odchodzili.

Angielskiego uczyła pani Fretag. Na pierwszej lekcji spytała, jak każde z nas ma na imię.

– Chcę was dobrze poznać – powiedziała.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście wszyscy macie ojców. Byłoby chyba ciekawe, gdybyśmy się dowiedzieli, kim każdy ojciec jest z zawodu. Zaczniemy od pierwszej ławki i zrobimy rundę po całej klasie. Mary, kim jest z zawodu twój tata?

– Ogrodnikiem.

– O, to ładnie! Odpowiadajcie po kolei... Andrew, co robi twój tata?

To było straszne. Wszyscy ojcowie w naszej dzielnicy zostali bez pracy. Mój też. Ojciec Gene'a po całych dniach przesiadywał na ganku przed domem. Wszyscy ojcowie byli bezrobotni. Tylko ojciec Chucka pracował w zakładach mięsnych. Jeździł czerwoną furgonetką z wymalowaną z boku nazwą firmy.

– Mój tata jest strażakiem – rzekł Andrew z drugiej ławki.

– Ciekawa praca – stwierdziła pani Fretag. – Numer trzy.

– Mój tata jest prawnikiem.

– Cztery.

– Mój jest... policjantem.

Co miałem powiedzieć? Może tylko w mojej dzielnicy ojcowie byli bezrobotni. Słyszałem to i owo o krachu na

gieldzie. Wiedziałem, że krach to coś złego. Ale może giełda trachnęła tylko koło mojego domu.

- Osiemnaście.
- Mój tata jest aktorem filmowym...
- Dziewiętnaście.
- A mój skrzyptem w filharmonii...
- Dwadzieścia...
- Mój pracuje w cyrku...
- Dwadzieścia jeden...
- Mój jest kierowcą autobusu...
- Dwadzieścia dwa...
- Mój śpiewa w operze...
- Dwadzieścia trzy...

Dwudziesty trzeci byłem ja.

- Mój ojciec jest dentystą – powiedziałem.

Pani Fretag przepytowała wszystkich po kolei, aż doszła do trzydziestego trzeciego miejsca.

– Mój ojciec jest bez pracy – rzekł numer trzydziesty trzeci.

„O, kurde – pomyślałem. – Że też na to nie wpadłem”.

Pewnego dnia pani Fretag zadała nam pracę domową.

– Nasz szanowny prezydent, Herbert Hoover, odwiedzi w sobotę Los Angeles i wygłosi przemówienie. Wszyscy macie pójść go posłuchać. Napiszecie potem wypracowanie o tym, jak wam się podobała mowa prezydenta.

W sobotę? Nie było szans, żebym poszedł. Musiałem przyszyść trawnik. Wytropić wszystkie badyle. (Nigdy mi się to nie udawało). Prawie co sobota dostawałem lanie pasem do ostrzenia brzytw, bo ojciec znajdował jakiś badył. (W tygodniu też parę razy obrywałem za różne rzeczy,

które robiłem nie dość dobrze albo wcale). W żadnym razie nie mogłem powiedzieć ojcu, że muszę iść posłuchać prezydenta Hoovera.

No i nie poszedłem. A w niedzielę wziąłem parę kartek, usiadłem i zacząłem opisywać wizytę prezydenta. Opisałem, jak jego kabriolet ozdobiony chorągiewkami wtoczył się na stadion piłkarski. Przodem jechał samochód pełen tajnych agentów, a tuż za prezydentem jeszcze dwa auta z eskortą. Agenci byli to dzielni mężczyźni, którzy z bronią w ręku strzegli bezpieczeństwa naszego prezydenta. Tłum powstał z miejsc, kiedy prezydenckie auto wjechało na stadion. Nigdy przedtem nie zdarzyło się nic podobnego. Był to sam prezydent. We własnej osobie. Pomachał nam ręką. Wznieśliśmy okrzyk. Zagrała orkiestra. Mewy krążyły w górze, jakby one także wiedziały, że to prezydent. Nad nami latały samoloty, kreśląc w powietrzu różne napisy, na przykład: „Dobrobyt czeka tuż za rogiem”. Prezydent wstał i w tej samej chwili chmury rozpięchły się i promień słońca padł na jego twarz. Całkiem jakby Pan Bóg też wiedział, co tu się odbywa. Potem auta stanęły, a nasz wielki prezydent w otoczeniu tajnych agentów wszedł na mównicę. Kiedy tak stał przy mikrofonie, jakiś ptak sfrunął z wysoka i przysiadł na podium tuż obok prezydenta. Prezydent pomachał ptakowi ręką i się roześmiał, a my za nim. Potem zaczął przemawiać, a ludzie słuchali. Niedokładnie słyszałem jego przemówienie, bo siedziałem za blisko maszyny do prażenia kukurydzy, w której ziarna pękały z okropnym hałasem, ale chyba powiedział, że problem mandzurski jest niezbyt poważny, a u nas w kraju wszystko się ułoży, nie ma obawy, trzeba tylko, żebyśmy wierzyli w Amerykę. Dla każdego

znajdzie się praca. Starczy i dentystów, i zębów do wrywania, starczy pożarów i strażaków. Znow ruszą fabryki i stallownie. Nasi przyjaciele z Ameryki Południowej spłacą długi. Niebawem wszyscy będziemy mogli spać spokojnie, mając pełne żołądki i syte serca. Bóg i nasza wielka ojczyzna otoczą nas miłością i uchronią przed złem, przed socjalistami, i raz na zawsze zbudzą z ogólnonarodowego koszmaru...

Prezydent wysłuchał braw, pomachał ręką, wrócił do kabrioletu, wsiadł i odjechał, a za nim auta pełne agentów. Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, popołudnie przechodziło w wieczór, czerwonozłoty, cudowny. Mieliśmy okazję widzieć i słyszeć prezydenta Herberta Hoovera.

W poniedziałek oddałem wypracowanie. We wtorek pani Fretag stanęła przed frontem klasy.

– Przeczytałam wasze wypracowania o wizycie naszego szanownego prezydenta w Los Angeles. Ja też tam byłam. Zauważyłam, że część uczniów z takich czy innych powodów nie mogła wziąć udziału w spotkaniu z prezydentem. Tym z was, którzy tam nie dotarli, przeczytam wypracowanie Henry’ego Chinaskiego.

Zapadło straszliwe milczenie. Byłem najbardziej niecierpiany w klasie. Wszyscy poczuli się, jakby dostali nożem w serce.

– To bardzo twórcza praca – powiedziała pani Fretag i zaczęła czytać. Podobało mi się. Wszyscy słuchali. Moje słowa wypełniły klasę od tablicy do tablicy, uderzały w sufit i odbijały się od niego, w końcu całkiem zasypały buty pani

Fretag i spiętrzyły się w stos na podłodze. Kilka najładniejszych dziewczyn w klasie zaczęło na mnie zerkać. A wszystkich rozrabiaków szlag trafiał. Ich wypracowania były gówno warte. Piłem własne słowa jak człowiek udręczony pragnieniem. Już nawet zacząłem w nie wierzyć. Zobaczyłem, że Juan siedzi z taką miną, jakbym mu dał w pysk. Wyciągnąłem nogi i rozparłem się wygodnie. Ale po chwili wszystko się niestety skończyło.

– W tym podniosłem nastroju – rzekła pani Fretag – ogłaszam koniec lekcji.

Wszyscy wstali i zaczęli wychodzić.

– Zostań jeszcze chwilę, Henry – powiedziała pani Fretag.

Usiadłem z powrotem. Pani Fretag stała i patrzyła na mnie.

– Henry, czy ty naprawdę tam byłeś? – spytała.

Zastanawiałem się, co by tu jej odpowiedzieć. Nic mi nie przychodziło do głowy.

– Nie, nie byłem – przyznałem w końcu.

Uśmiechnęła się.

– Tym większy wyczyn – powiedziała.

– Tak, pani psorko...

– Możesz już iść, Henry.

Wstałem i wyszedłem z klasy. Ruszyłem do domu. A więc tego im było trzeba: kłamstw. Pięknych kłamstw. Tego ode mnie chcieli. Ludzie byli tacy głupi. Wiedziałem już, że łatwo mi pójdzie. Rozejrzałem się. Juan i jego kumpel nie szli za mną. W ogóle było coraz lepiej.

Rozdział 20

Czasami Frank i ja żyliśmy w zgodzie z Chuckiem, Eddiem i Genem. Ale raz po raz zdarzało się coś takiego (zwykle z mojej winy), że wyrzucali mnie z paczki, a wtedy Frank jako mój kumpel też trochę z niej wypadał. Fajnie było łączyć z Frankiem. Jeździliśmy stopem, gdzie się dało. Jednym z naszych ulubionych miejsc była wytwórnia filmowa. Przełaziliśmy pod parkanem, wzdłuż którego rosło wysokie zielsko. W środku był mur i schody z „King Konga”. Ulice i domy, wszystko na niby. Domy miały tylko fasady, a z tyłu nic. Często wałęsaliśmy się po tym całym terenie. W końcu przepędzał nas wartownik. Albo jeździliśmy stopem na plażę, do wesołego miasteczka. Siedzieliśmy tam po parę godzin i wreszcie wszystko znaleźliśmy na pamięć. Wcale nie było tam tak znowu fajnie. Ludzie srali i szczali po kątach, wszędzie wałały się puste butelki. W gównie leżały stwardniałe i pomarszczone kondony. Po zamknięciu przychodzili włóczędzy, żeby przenocować. W wesołym miasteczku właściwie nie było ani trochę wesoło. Z początku jeszcze lubiliśmy Lustrzany Labirynt. Łaziliśmy po nim,

aż wreszcie nauczyliśmy się na pamięć wszystkich zakrętów i diabli wzięli całą zabawę. Frank i ja nigdy się z nikim nie biliśmy. Ciekawiły nas różne rzeczy. W kinie na molo szedł film o jednej takiej, co jej zrobili cesarskie cięcie. Poszliśmy zobaczyć. Ale krew się lała! Za każdym razem, jak lekarz nacinał brzuch kobiety, tryskały całe strugi, a potem wyciągnęli dziecko. Łowiliśmy ryby z mola i co złapaliśmy, to sprzedawaliśmy starym Żydówkom, które siedziały na ławkach. Parę razy oberwałem od ojca za to, że łążę z Frankiem, zamiast siedzieć w domu, ale sobie wykalkulowałem, że baty i tak mnie nie miną, a takie łążenie to przynajmniej jakaś frajda.

Z chłopakami z sąsiedztwa dalej miałem kiepskie układy, a ojciec jeszcze bardziej je psuł. Kupił mi na przykład strój indiański i łuk ze strzałami, kiedy wszyscy latali poprzebierani za kowbojów. Zaczęło się to samo, co na szkolnym boisku: raz po raz naskakiwali na mnie całą bandą. Otaczali mnie, wszyscy odstawieni jak kowboje, z koltami w rękach, ale kiedy wyglądało na to, że już ze mną krucho, zakładałem strzałę, napinałem cięciwę i czekałem, co zrobią. Zawsze się cofali. Wkładałem ten indiański strój, tylko jak ojciec mi kazał.

U Chucka, Eddiego i Gene'a ciągle miałem jakieś sęki. Potem się godziliśmy i przyjmowali mnie z powrotem do paczki, ale zaraz znowu im podpadałem.

Kiedyś po południu stałem sobie przed domem. U chłopaków nie miałem wtedy ani całkiem w porządku, ani zupełnie kiepsko. Czekałem, aż zapomną o ostatnim numerze, który im wyciąłem. Nie było nic do roboty. Tylko białe powietrze i to czekanie. Znudziło mi się tak stać, więc

postanowiłem się przejść – najpierw poszedłbym pod górę, na Washington Boulevard, potem skręciłbym na wschód w stronę kina i zawrócił w dół, do Adams Boulevard. Po drodze może jeszcze bym przeszedł obok kościoła. Ruszyłem. I zaraz usłyszałem, że woła mnie Eddie:

– Henry, chono tu!

Stali w przejściu między domami. Eddie, Frank, Chuck i Gene. Patrzyli na coś. Stali pochyleni nad rozłożystym krzakiem i na coś patrzyli.

– No, chono tu!

– Co jest?

Podszedłem do krzaka, nad którym tak się pochylali.

– Pająk! Zaraz wszamie muchę! – powiedział Eddie.

Spojrzałem. W pajęczą sieć między gałęziami złapała się mucha. Pająk był strasznie napalony. Mucha tak się szamotoła, że trzęsła całą pajęczyną. Bzyczała jak szalona, ale nic nie mogła zrobić, bo pająk coraz szczelniej omotywał jej skrzydła i całe ciało. Krążył wokół niej i coraz mocniej ją krępował, a ona już tylko bzyczała. Był wielki i brzydki.

– Zaraz się za nią weźmie! – wrzasnął Chuck. – Zaraz wbije w nią kły!

Wepchnąłem się między chłopaków i dałem kopa pajakowi, aż wyleciał z pajęczyny razem z muchą.

– Coś zrobił, do cholery? – powiedział Chuck.

– Wszystko popsujesz, kurwa twoja mać! – ryknął Eddie.

Cofnąłem się. Nawet Frank jakoś dziwnie na mnie patrzył.

– Dajmy mu wycisk! – krzyknął Gene.

Odgradzali mnie od ulicy. Pobiegłem między domami na jakieś obce podwórko. Oni za mną. Przebiegłem przez

podwórko i skręciłem za garaż. Stałem przed parkanem z krat, porośniętym pnączami i wysokim prawie na dwa metry. Natychmiast zacząłem się wspinać i przelazłem na drugą stronę. Przebiegłem następne podwórko i dalej alejką do sąsiedniej ulicy. Obejrzałem się. Chuck miał już przeleźć przez parkan, ale się omsknął i spadł na plecy.

– Kurwa! – zaklął. Skręciłem w prawo i biegłem dalej. Minąłem siedem czy osiem przecznic i usiadłem na którymś trawniku, żeby odpocząć. Nikogo nie było widać. Zastanawiałem się, czy Frank mi daruje ten numer. I czy tamci trzej też mi darują. Postanowiłem zejść im z oczu na jakiś tydzień...

No i w końcu zapomnieli. Przez pewien czas nic specjalnego się nie działo. Mijał dzień za dniem, a tu ciągle nic. I raptem ojciec Franka popełnił samobójstwo. Nikt nie wiedział dlaczego. Frank powiedział mi, że będzie musiał się przeprowadzić razem z matką do mniejszego domu i w ogóle do innej dzielnicy. Obiecał, że napisze. No i napisał. Tylko że myśmy właściwie do siebie nie pisali. Rysowaliśmy komiksy. O ludożercach. Frank zaczynał komiks o napadach ludożerców, a od tego miejsca, gdzie przerwał, rysowałem już ja, też o napadach ludożerców. Moja matka znalazła jeden z tych komiksów Franka i pokazała ojcu, i tak skończyła się nasza korespondencja.

Kiedy z piątej klasy zdałem do szóstej, zacząłem myśleć o ucieczce z domu, ale w porę zrozumiałem, że skoro prawie wszyscy ojcowie są bez pracy, to taki koleś, co jeszcze nie ma nawet metra pięćdziesięciu, też za cholerę nie znajdzie roboty. Wszyscy uwielbiali Johna Dillingera – i dorośli, i dzieci.

Napadał na banki i zabierał pieniądze. Tak samo jak Pięćniś Floyd, Mamuśka Barker i Kelly Cekaem.

Ludzie zaczęli chodzić na puste parcele i zbierać ziel-sko. Dowiedzieli się, że niektóre chwasty można gotować i jeść. Na pustych parcelach i na rogach ulic mężczyźni tłukli się pięściami. Wszyscy chodzili wkurzeni. Faceci palili tytoń Bull Durham i nie dawali sobie w kaszę dmuchać. Z kieszeni koszul zwisały im okrągłe metki z napisem „Bull Durham”. Umieli jedną ręką zrobić skręta. Z facetem, któremu dyndała na piersi taka metka, lepiej było uważać. Co chwila słyszało się, jak ktoś mówi o drugiej albo trzeciej hipotece. Kiedyś wieczorem ojciec wrócił do domu ze złamaną ręką i podbitymi oczami. Matka pracowała gdzieś za nędzne grosze. Każdy chłopak w naszej dzielnicy miał jedną parę spodni na niedzielę i drugą do noszenia na co dzień. Buty się niszczyły, ale nie było nowych. W domach towarowych kupowało się za piętnaście czy dwadzieścia centów podeszwy i obcasy razem z klejem i przyklejało się je od spodu do zdartych butów. Rodzice Gene’a trzymali na podwórku za domem koguta i parę kur. Jak któraś kura się nie niosła, to ją zjadali.

U mnie wszystko szło po staremu – tak samo w szkole, jak z Chuckiem, Genem i Eddiem. Nie tylko dorośli zrobili się wredni: dzieci też, a nawet zwierzęta, całkiem jakby brały przykład z ludzi.

Któregoś dnia stałem sobie i jak zwykle czekałem. Z resztą paczki miałem kiepskie układy i już mi nawet nie zależało, żeby je poprawić. Nagle przybiegł Gene.

– Chono, Henry!

– Co jest?

– CHONO, MÓWIĘ!

Pobiegł, a ja za nim. Przejściem między domami wbiegliśmy na tylne podwórko Gibsonów, otoczone potężnym murem z cegieł.

– PATRZ! DORWAŁ KOTA! ZARAZ GO UKA-TRUPI!

W rogu podwórka stał pod murem biały kotek. Nie mógł wspiąć się na mur, nie mógł uciec w prawo ani w lewo. Stroszył się, prychał i wysuwał pazury. Ale był bardzo mały, a buldog Chucka, Barney, warczał i podchodził coraz bliżej. Pewnie sami przynieśli tam kota i zawołali buldoga. Byłem tego prawie pewien, bo wszyscy trzej mieli trochę skruszone miny.

– To wyście go tu przynieśli – powiedziałem.

– Nieprawda – odparł Chuck. – Sam sobie winien. Jak tu przylazł, to niech teraz walczy.

– Jesteście skurwysyny. Nienawidzę was.

– Barney zagryzie kota – oświadczył Gene.

– Rozedrze go na strzępy – rzekł Eddie. – Boi się kocich pazurów, ale jak już się rzuci, to raz-dwa będzie po wszystkim.

Barney był wielki i płowy. Miał zaśliniony pysk i tępe brązowe ślepia. Głupi tłuścioch. Sunął naprzód z równomiernym warkotem, jeżąc sierść na karku i grzbiecie. Miałem ochotę kopnąć go w ten głupi tyłek, ale się bałem, że wyrwie mi nogę z biodra. Widać było, że nie popuści, póki nie zamorduje kota, który tylko syczał, wciśnięty w ścianę, i czekał. Biały kot, a właściwie kociak. Piękne zwierzę, takie czyste.

Pies pomału się zbliżał. Nie rozumiałem, po co to chłopakom potrzebne. Nie chodziło o próbę odwagi, tylko

po prostu o to, żeby wyciąć wstrętny numer. Gdzie są dorośli? Gdzie jakaś zwierzchność? Mnie to się ciągle czepiają, a teraz gdzie się podzieli?

Pomyślałem, że mógłbym skoczyć, złapać kota i uciec, ale zabrakło mi ikry. Bałem się, że buldog się na mnie rzuci. Strasznie nędznie się poczułem, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie mam odwagi zachować się jak należy. Dosłownie zaczęło mnie mdlić. Aż mi się słabo zrobiło. Nie chciałem, żeby buldog zagryzł kota, ale nie wiedziałem, jak temu zapobiec.

– Chuck – poprosiłem. – Daj kotu uciec. Zawołaj psa. Chuck nic nie odpowiedział, tylko dalej patrzył.

– Bierz go, Barney! – rzekł po chwili. – Kota, kota!

Barney ruszył naprzód, a kot z wściekłym sykiem dał susa: kłęb bieli, kłów i pazurów. Barney odskoczył, a kot cofnął się pod mur.

– Kota, Barney! – powtórzył Chuck.

– Zamknij się, do cholery! – zakląłem.

– Uważaj, jak do mnie mówisz – rzekł Chuck.

Barney znów ruszył w stronę kota.

– Wyście to wszystko specjalnie urządzili – powiedziałem.

Z tyłu rozległ się jakiś szmer. Obejrzałem się. Zobaczyłem, że stary Gibson patrzy z okna sypialni. On też chciał, żeby pies zagryzł kota. Chciał tego tak samo jak chłopaki. Ale dlaczego?

Stary Gibson był naszym listonoszem i miał sztuczną szczękę. Jego żona po całych dniach przesiadywała w domu. Wychodziła tylko wyrzucić śmieci. Zawsze nosiła siatkę na włosach i stale łąziła w koszuli nocnej, szlafroku i kapciach.

Kiedy tak patrzyłem, stanęła obok męża, ubrana jak zwykle. Też czekała, aż pies zagryzie kota. Stary Gibson jako jeden z nielicznych mężczyzn w tej okolicy miał stałą pracę, ale mimo to pragnął tego widoku. Niczym się nie różnił od Chucka, Eddiego i Gene'a.

Za dużo ich było.

Buldog dalej się skradał. Nie miałem siły patrzeć, jak będzie zabijał. Strasznie się wstydziłem, że tak zostawiam tego kota. Wprawdzie była jeszcze szansa, że spróbuje ucieczki, ale tamci na pewno by mu nie dali. Miał przeciwko sobie całą ludzkość, a nie tylko buldoga.

Odwrociłem się i wyszedłem na ulicę. Ruszyłem chodnikiem w stronę domu. Ojciec stał przed wejściem i czekał na mnie.

– Gdzie byłeś? – spytał.

Nie odezwałem się.

– Jazda do domu – powiedział. – I nie rób takiej nie-szczęśliwej miny, bo cię zaraz naprawdę unieszczęśliwię!

Rozdział 21

Poszedłem do ogólniaka Mount Justin. Trafiła tam mniej więcej połowa chłopaków z mojej podstawówki, akurat ci najbardziej wyrośnięci, najwięksi twardziele. Reszta byków przyszła z innych szkół. Chłopcy z naszej siódmej klasy byli wyżsi od dziewiątoklasistów. Na gimnastyce okazało się, że większość z nas przerasta nauczyciela. Na zbiórce stawaliśmy przygarbieni, z wypiętymi brzuchami i zwieszonymi głowami, z ramionami wysuniętymi do przodu.

– Jezu! – wzdychał Wagner od gimnastyki. – Wyproszujcie się, wciągnijcie brzuchy!

Ale żaden się nie prostował. Byliśmy tacy, a nie inni, i wcale nie chcieliśmy się zmieniać. Wszyscy pochodziliśmy z rodzin dotkniętych ogólnym kryzysem i przeważnie nie dojadaliśmy, a mimo to wyrośliśmy na potężnych osiłków. Przypuszczam, że większość z nas zaznała w domu niewiele miłości, i nikogo też nie prosiliśmy o miłość ani o dobre serce. Patrząc na nas, można było boki zrywać, ale ludzie uważali, żeby nie zaśmiać nam się w oczy. Tak jakoś wyszło, jakbyśmy za wcześniej wydorośleli i przez to znudziło nam

się dzieciństwo. Ani trochę nie szanowaliśmy starszych. Byliśmy jak tygrysy, tyle że zaświerzbione. Jeden z Żydów w naszej klasie, Sam Feldman, miał czarny zarost i co rano musiał się golić, a i tak już w południe podbródek znowu robił mu się prawie czarny. Całą pierś porastały mu czarne włosy i strasznie śmierdział pod pachami. Inny koleś wyglądał całkiem jak Jack Dempsey. Jeszcze inny, Peter Mangalore, miał trzydziestocentymetrowego chuja, i to mierzzonego na miękko. A kiedy poszliśmy pod prysznic, okazało się, że mam największe jaja z całej klasy.

– Hej! Patrzcie, jakie ten człenio ma jaja!

– Ja pierdołę! Kutasina jak pięć minut, ale za to jajca!

– Ja pierdołę!

Nie wiem, czym się właściwie różniliśmy od innych chłopaków, ale czymś na pewno. Wyraźnie czuliśmy tę różnicę. Widać to było w naszym chodzie i sposobie mówienia. Mówiliśmy właściwie niewiele, na ogół tylko *wnioskowaliśmy*, a ludzi szlag trafiał, że wszystko jest dla nas takie oczywiste.

Po lekcjach nasza siódma klasa grała w klepany futbol z ósmą i dziewiątą. Trudno to było nazwać meczem. Ogrywaliśmy ich z łatwością, kładliśmy na obie łopatki, i to stylowo, prawie bez wysiłku. Większość drużyn w klepanym futbolu szła krótkimi podaniami, ale myśmy robili solowe rajdy. Trzeba było przy tym szczelnie kryć, więc nasi pomocnicy brali się do roboty. Mieli pretekst, żeby dać tamtym w kość, żeby się po nich przespacerować. Ni cholery nas nie obchodził nasz własny zawodnik, który biegł z piłką. Przeciwnicy zawsze się cieszyli, kiedy szliśmy jednak podaniami.

Dziewczyny zostawały po lekcjach i patrzyły, jak gramy. Niektóre chodziły już z chłopakami ze starszych klas i nie chciały się zadawać z takimi gnojami jak my, ale zostawały, żeby popatrzeć, jak grają siódmoklasiści. Byliśmy znani. Dziewczyny zostawały po lekcjach, patrzyły na nas i podziwiałały. Nie dostałem się do drużyny, ale stałem na aucie, popalałem ukradkiem i czułem się jak trener czy ktoś taki. „Dadzą nam dupy” – myśleliśmy, patrząc na dziewczyny. Ale większość z nas tylko się onanizowała.

Onanizm. Pamiętam to odkrycie. Kiedyś rano Eddie zaskrobał w moje okno.

– Co jest? – spytałem.

Podniósł probówkę, na której dnie widać było jakiś biały płyn.

– Co to takiego?

– Spuściłem się – odparł Eddie. – Spuściłem się do probówki.

– Taaa?

– No. Wystarczy, że naplujesz sobie na rękę i potrzebujesz chuja. Mówię ci, jaka frajda, i zaraz z czubka pryska to białe. To się nazywa lagier.

– Taaa?

– No.

Eddie poszedł sobie. Po namyśle postanowiłem spróbować. Chuj zaraz mi stanął i było naprawdę ekstra, coraz lepiej. Branzłowałem się bez opamiętania i czułem się jak nigdy w życiu. W końcu z czubka chuja prysnął ten biały sok. Odtąd co pewien czas waliłem konia. Jeszcze lepiej wychodziło, kiedy sobie wyobrażałem, że robię to z dziewczyną.

Pewnego dnia stałem za linią autową i patrzyłem, jak nasza drużyna robi miazgę z innej drużyny. Oglądałem mecz i ukradkiem paliłem papierosa, stojąc między dwiema dziewczynami. Kiedy za którymś razem nasi wybili z połowy boiska, zobaczyłem, że idzie w moją stronę nauczyciel gimnastyki, Wagner Kędzior. Rzuciłem peta na ziemię i klasnąłem w rękę.

– Dobra jest, załoga, dajcie im w dupę!

Wagner podszedł do mnie. Stał i zaczął się na mnie gapić. Nauczyłem się tymczasem stale chodzić ze złą miną.

– Już ja wam się dobiorę do skóry! – powiedział Wagner. – A zwłaszcza tobie!

Ledwo na niego spojrzałem i odwróciłem głowę. Stał i dalej się na mnie gapił. Potem sobie poszedł.

Fajnie się poczułem. Lubiłem uchodzić za rozrabiakę. Lubiłem się czuć jak czarny charakter. Każdy głupi mógł być świętoszkiem, bo do tego nie potrzeba jaj. Taki Dillinger to miał jaja. Mamuśka Barker też była super. Uczyła facetów grać z pistoletu maszynowego. Nie chciałem być taki jak ojciec. On tylko udawał wrednego. Człowiek naprawdę wredny niczego nie udaje, bo to wredne i tak w nim siedzi. Lubiłem być czarnym charakterem. Kiedy próbowałem zostać świętoszkiem, to aż mi się chciało rzygać.

Ta dziewczyna, co stała koło mnie, powiedziała:

– Przecież nie musisz wysłuchiwać od Wagnera takich rzeczy. Boisz się go, czy co?

Obróciłem się i spojrzałem na nią. Przez dłuższą chwilę ani drgnąłem, tylko na nią patrzyłem.

– Co cię napadło? – spytała.

Odwróciłem głowę, splunąłem na ziemię i odszedłem. Wolnym krokiem przemierzyłem całe boisko, wyszedłem tylną bramą i ruszyłem w stronę domu.

Wagner zawsze chodził w szarym dresie. Zdążył się dochować małego brzuszka. Wiecznie coś mu przeszkadzało. Miał nad nami tylko tę przewagę, że był starszy. Wciąż usiłował nadrabiać miną, żeby nas zastraszyć, ale coraz gorzej mu to wychodziło. Ciągle ktoś mnie poszturchiwał bez dania racji. Jak nie Wagner, to ojciec. Jak nie ojciec, to Wagner. Czego ode mnie chcieli? Zawadzałem im, czy co?

Rozdział 22

Pewnego dnia, tak samo jak w podstawówce Dawid, przyczepił się do mnie jakiś chłopak. Był drobny i chudy i prawie wcale nie miał włosów na czubku głowy. Chłopaki mówili na niego Glaca. Naprawdę nazywał się Eli LaCrosse. Podobało mi się to nazwisko, ale sam Glaca ani trochę. A on jakby się do mnie przykleił. Był takim żalonym typkiem, że nie umiałem mu powiedzieć, żeby zjeżdżał. Był jak zagłodzony kundel, któremu co chwila ktoś daje kopa. Wcale niefajnie się czułem, kiedy tak za mną łąził. Ale sam dobrze wiedziałem, jak to jest, kiedy człowiek czuje się kundlem, więc pozwalałem, żeby się za mną szwendał. Strasznie bluzgał, przynajmniej raz w każdym zdaniu, ale to był jeden wielki pic. Glaca udawał twardziela, a tak naprawdę to się wszystkiego bał. Ja tam się nie bałem, ale za to byłem zupełnie skołowany, więc może jednak do siebie pasowaliśmy.

Codziennie po lekcjach odprowadzałem go do domu. Mieszkał z rodzicami i z dziadkiem, w małym domku naprzeciwko niedużego parku. Lubiłem to miejsce. Rosły tam wielkie drzewa, które rzucały cień, a ponieważ słyszałem od paru

osób, że jestem brzydki, zawsze lepiej się czułem w cieniu niż na słońcu, w mroku niż przy świetle.

W czasie tych spacerów Glaca opowiadał mi o swoim ojcu. Jego ojciec był dawniej lekarzem, a ściśle mówiąc, chirurgiem. Robił nawet niezłą karierę, ale stracił uprawnień, bo się rozpił. Poznałem go któregoś dnia. Siedział w fotelu pod drzewem. Nic nie robił, tylko sobie siedział.

– Tato – powiedział Glaca. – To jest Henry.

– Cześć, Henry.

Przypomniało mi się, jak pierwszy raz w życiu zobaczyłem własnego dziadka. Dziadek stał wtedy na schodkach przed swoim domem. Ojciec Glacy był wprawdzie jeszcze brunetem z czarną brodą, ale oczy miał takie same, pełne dziwnego blasku. A obok stał Glaca, jego rodzony syn, i ani trochę nie błyszczał.

– Chodź – powiedział Glaca. – Zaprowadzę cię w jedno miejsce.

Dom był podpiwniczony, a my poszliśmy właśnie do piwnicy. Panował tam mrok i wilgoć. Zaczekaliśmy, aż oczy oswoją się z ciemnością. A potem zobaczyłem beczki.

– Jest w nich pełno wina, różne gatunki – powiedział Glaca. – Każda beczka ma kurek. Chcesz spróbować?

– Nie.

– No co jest z tobą, do cholery. Weź chociaż łyka.

– Po co?

– Jesteś, kurde, facet czy nie jesteś?

– Jestem twardziel – powiedziałem.

– No to spróbuj, kurwa.

Ten kurdupel Glaca wyraźnie mnie prowokował. Zaden problem. Podszedłem do którejś beczki i schyliłem się.

– Odkręć ten cholerny kurek! Otwórz usta, kurde!

– Nie ma tu pajaków?

– No, pij, kurwa mać!

Podstawiłem usta pod kurek i odkręciłem. Popłynął jakiś śmierdzący płyn. Poczułem go w ustach i zaraz wyplułem.

– Nie bądź taki cykor! Weź łyka, do kurwy nędzy!

Znów odkręciłem kurek i otworzyłem usta. Poczułem smak śmierdzącego płynu i trochę przełknąłem. Zakręciłem kurek. Myślałem, że puszcze pawia.

– Teraz ty się napij – powiedziałem do Glacy.

– Mowa – odparł. – Ja tam, kurde, nie pękam.

Wszedł pod beczkę i zdrowo pociągnął. Nie mogłem pozwolić, żeby taki gnojek mnie prześcignął. Wszedłem pod drugą beczkę, odkręciłem kurek i też pociągnąłem. Wstałem. Zaczynałem fajnie się czuć.

– Wiesz, Glaca, że to całkiem dobre – powiedziałem.

– No to napij się jeszcze, kurwa.

Znów pociągnąłem. Coraz bardziej mi smakowało. Czuję się też coraz lepiej.

– Słuchaj, Glaca – powiedziałem. – To wino twojego ojca. Nie wypijajmy całego.

– Jemu to wisi kalafiolem. Dawno przestał pić.

Nigdy w życiu tak dobrze się nie czułem. To było lepsze niż onanizm.

Szedłem od beczki do beczki. Jakby mnie kto zaczarował. Dlaczego nikt mi wcześniej nie powiedział, że tak można? Po paru łykach życie stawało się wspaniałe, a człowiek był doskonały i nietykalny.

Wyprostowałem się i spojrzałem na Glacę.

- Gdzie jest twoja matka? Zaraz ją zerznę!
- Zabiję cię, ty chuju! Odczep się od mojej matki!
- Wiesz, że mogę ci spuścić wpierdol.
- Wiem.
- No dobra. Dam spokój twojej matce.
- Chodźmy stąd, Henry.
- Jeszcze tylko łyk...

Podszedłem do którejś beczki i zdrowo pociągnąłem. Wróciliśmy na górę. Ojciec Glacy dalej siedział w fotelu.

- Byliście w piwnicy, chłopcy?
- Aha – odparł Glaca.
- Trochę wcześniej zaczynacie, co?

Nie odpowiedzieliśmy. Wyszliśmy na główną ulicę i wstąpiliśmy do sklepu z gumą do żucia. Kupiliśmy kilka paczek i wypchaliśmy sobie nią usta. Glaca się bał, że matka się kapnie. Ja tam niczego się nie bałem. Siedzieliśmy na ławce w parku i żuliśmy gumę. „Nareszcie znalazłem coś dla siebie – myślałem – nareszcie mam coś, co mi jeszcze nieraz w życiu pomoże”. Trawa w parku wydawała się bardziej zielona, ławki były ładniejsze. Nawet kwiaty więcej z siebie dawały. Może chirurgom wino szkodziło, ale jak człowiek chce być chirurgiem, to chyba i bez wina coś z nim jest nie tak.

Rozdział 23

Na biologii w Mount Justin zawsze było super. Biolog nazywał się Stanhope. Był stary, miał chyba z pięćdziesiąt pięć lat, więc robiliśmy z nim, cośmy chcieli. Do naszej klasy chodziła Lilly Fischman, świetnie rozwinięta dziewczyna. Miała ogromne piersi i cudowny tyłek. Kręciła nim, chodząc na wysokich obcasach. Była naprawdę ekstra. Rozmawiała z wszystkimi chłopakami i ocierała się o nich.

Codziennie na biologii powtarzało się to samo. Nigdy nie zdążyliśmy się nauczyć niczego o przyrodzie. Najpierw Stanhope gadał przez jakieś dziesięć minut, a potem Lilly mówiła:

– Panie profesorze, zróbmy koncert!

– Nie!

– Oj, panie profesorze!

Podchodziła do jego biurka, pochylała się nad nim czule i coś tam szeptała.

– No dobrze, niech będzie... – mówił w końcu.

A wtedy Lilly zaczynała śpiewać i wyginać się we wszystkie strony. Na początek zawsze śpiewała „Kołysankę z Broadwayu”, a potem szły inne stałe numery. Była ekstra,

była super, cała aż się paliła i my też. Rozkraczała się przed Stanhopem i przed nami całkiem jak dorosła kobieta. Coś fantastycznego. Stary Stanhope tylko się mazał i ślinił. Śmialiśmy się z niego i podpuszczaliśmy Lilly. Często się tak zabawialiśmy, ale któregoś dnia wparował do klasy Lacefield, nasz dyrektor.

– Co się tu dzieje?

Stanhope nie był w stanie się odezwać.

– Wszyscy do domu! – wrzasnął Lacefield.

Kiedy wychodziliśmy gęsiego, dodał:

– A panna Fischman zgłosi się u mnie w gabinecie!

Po takich numerach oczywiście w ogóle nie odrabialiśmy lekcji i wszystko grało, aż pewnego dnia Stanhope urządził nam pierwszą klasówkę.

– Kurwa – zaklął Peter Mangalore. – I co teraz?

Peter to był ten z trzydziestocentymetrowym kutasem, i to mierzonym na miętko.

– Nigdy nie będziesz musiał pracować, żeby zarobić na życie – powtarzał mu ten koleś, co wyglądał jak Jack Dempsey. – Nie masz tych problemów co my.

– Może by tak spalić szkołę – zaproponował Rudy Kirkpatrick.

– Kurwa – powiedział ktoś z ostatniej ławki. – Za każdym razem, jak dostaję pałę, ojciec wrywa mi jeden paznokiec.

Zaczęliśmy czytać pytania. Pomyślałem o swoim ojcu. A potem o Lilly Fischman. „Lilly Fischman – pomyślałem – jesteś kurwa, jesteś podła baba, wijesz się przed nami i śpiewasz, a my przez ciebie pójdziemy do piekła”.

Stanhope patrzył na nas.

– Dlaczego nie piszecie? Dlaczego nie odpowiadacie na pytania? Wszyscy mają ołówki?

– No chyba, że mamy – odpowiedział któryś chłopak.

Lilly siedziała w pierwszej ławce, przy samym biurku Stanhope'a. Zobaczyliśmy, że otwiera książkę do biologii i szuka odpowiedzi na pierwsze pytanie. No jasne! Wszyscy otworzyliśmy książki. Stanhope tylko siedział i patrzył. Nie wiedział, co robić. Zaczął bełkotać, aż się zapluł. Siedział tak chyba z pięć minut. W końcu się zerwał i zaczął biegać między rzędami.

– Co wy najlepszego wyprawiacie? Zamknijcie podręczniki! Zamknijcie podręczniki!

Zamykaliśmy książki, kiedy przebiegał obok, ale ledwo nas minął, otwieraliśmy je z powrotem.

Głaca siedział w sąsiedniej ławce.

– Stary dupek! – śmiał się. – Ale z niego dupek!

Trochę mi było żal Stanhope'a, ale chodziło o moją skórę. Stanhope stał za biurkiem i wrzeszczał:

– Macie natychmiast zamknąć podręczniki, bo jak nie, to wszystkim postawię pały!

I wtedy Lilly Fischman wstała z miejsca. Zadarła spódnicę i podciągnęła jedwabną pończochę. Kiedy poprawiała podwiązkę, zobaczyliśmy jej białą nogę. Podciągnęła drugą pończochę i też poprawiła podwiązkę. Był to dla nas widok nie z tej ziemi, a i Stanhope nigdy czegoś podobnego nie widział. Lilly usiadła i wszyscy żywcem zerznęliśmy całą klasówkę. Stanhope siedział za biurkiem, zupełnie przegrany.

Był jeszcze jeden facet, którego robiliśmy w konia. Nazywał się Farnsworth, a mówiliśmy na niego „Tatko”. Uczył

robót. Zaraz pierwszego dnia w pracowni wzięliśmy go w obroty.

– Będę z wami prowadził zajęcia praktyczne – zapowiedział. – Zaczniemy od razu. Każdy rozbierze silnik na części i złoży z powrotem, tak żeby wszystko działało. Macie na to cały semestr. Na ścianach wiszą schematy, a jak będziecie mieli pytania, to wam odpowiem. Ale na razie zaczniacie rozbierać silniki. Narzędzia leżą na półkach.

– Tatku, a może byśmy najpierw obejrzeli filmy? – spytał któryś chłopak.

– Powiedziałem, bierzcie się do roboty.

Nie mam pojęcia, skąd szkoła wytrzasnęła te silniki. Były czarne, zardzewiałe, całe w smarze. Wyglądały po prostu strasznie.

– Kurwa – zaklął jeden koleś. – Zasrana kupa żelastwa i tyle.

Staliśmy każdy przy swoim silniku. Większość z nas sięgnęła po klucze francuskie. Rudy Kirkpatrick wziął śrubokręt i wolno przeciągnął nim po wierzchu silnika, zostawiając równiutką smugę smaru, długą na pół metra.

– Oj, Tatku, puśćmy sobie jakiś filmik, co? Przyszliśmy prosto z wuefu. Wagner tak dał nam w dupę, że ledwo łazimy. Kazał nam trenować trójskok jak jakimś żabom!

– Czekam, aż spełnicie polecenie!

Wzięliśmy się do roboty, chociaż to było zupełnie bez sensu, gorsze niż wychowanie muzyczne. Przez chwilę rozlegał się szcęk narzędzi i ciężkie oddechy.

– Kurwa! – zaklął Harry Henderson. – Zdarłem sobie całą skórę z knykcia! Mam zapierdalać jak jakiś, kurde, niewolnik?

Troskliwie owinął sobie prawą dłoń chusteczką do nosa i patrzył, jak krew przemięka.

– Cholera – powiedział.

Reszta dalej próbowała coś zdziałać.

– Już bym wolał wsadzić głowę w pizdę słońcy – stwierdził Rudy Kirkpatrick.

Jack Dempsey rzucił klucz na podłogę.

– Chromolę – powiedział. – Róbcie ze mną, co chcecie, a jak i tak chromolę. Możecie mnie zabić, urznąć mi jaja. Olewam i już.

Podszedł do ściany i oparł się o nią. Stał z założonymi rękami i gapił się na własne buty.

Wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. Nie było dziewczyn. Przez tylne drzwi pracowni widzieliśmy boisko, całe w słońcu: pusta przestrzeń i nic do roboty. A my tymczasem garbiliśmy się nad głupimi silnikami, które nawet nie napędzały samochodów, były do niczego. Głupie żelastwo i tyle. Idiotyczna harówka. Czekaliśmy zmiłowania. W naszym życiu i tak nie brakło idiotyzmów. Skądś musiał przyjść ratunek. Mówiono nam, że Tatkę łatwo jest urobić, ale wcale na to nie wyglądało. Był wielki jak skurwysyn, pił tyle piwa, że sterczał mu kałdun, chodził w wyszmelcowanym kombinezonie, włosy opadały mu na oczy i nawet podbródek miał umazany smarem.

Arnie Whitechapel cisnął klucz francuski i podszedł do Farnswortha. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Tatku, no co jest grane, kurwa? – spytał.

– Bierz się z powrotem do roboty, Whitechapel!

– Oj, niech Tatko nie pierdoli!

Arnie był o kilka lat starszy niż reszta klasy, bo właśnie tyle przesiedział w poprawczaku. Ale mimo tej różnicy wieku był od nas mniejszy. Miał kruczoczarne włosy, które smarował wazeliną i gładko zaczesywał do tyłu. Często stał przed lustrem w męskim sraczu i wyciskał pryszczę. Zagaadywał po świńsku do dziewczyn, a w kieszeni nosił kondony marki Szejk.

- Tatku, znam fajny kawał!
- Silnik na ciebie czeka, Whitechapel!
- Ekstra numer, słowo daję!

Arnie zaczął opowiadać Tatce świński kawał. Patrzyliśmy, jak stoją zetknięci głowami. Nastąpiła pointa. Tatko wybuchnął śmiechem. Trzymał się za brzuszysko, zgięty w pół.

- Ja pierdzielę! O rany! – jęczał. – Ja pierdzielę!

Nagle przestał się śmiać.

- Dobra jest, Arnie – powiedział. – Wracaj do maszyny!
- Chwila, moment, znam jeszcze jeden!
- Taaa?
- No. Tatko posłucha...

Odeszliśmy od warsztatów i otoczyliśmy ich ciasnym kręgiem, żeby posłuchać, jak Arnie opowiada kolejny kawał. Na końcu Tatko znowu zgiął się w pół.

- Ja pierdzielę! Rany Boga! Ja pierdzielę!

– Znam jeszcze jeden, Tatku. Jedzie sobie facet autem przez pustynię. Patrzy, a tu jakiś gościu skacze poboczem. Jest całkiem goły, a ręce i nogi ma związane sznurem. Facet zatrzymuje wóz i pyta się tego drugiego: „Ty, co ci się stało?”. A ten mu na to: „Jechałem autem i zobaczyłem jakiegoś, kurwa, autostopowicza, więc stanąłem, a ten skurwiel łap za spluwę, ściąga ze mnie ubranie, związuje mi ręce

i nogi i ładuje mnie w dupę!”. „Taaa?” – pyta się ten pierwszy i wysiada z auta. „Mówię ci, że załadował mnie w dupę!” – mówi ten związany. „No to widać masz dzisiaj pecha!” – powiada kierowca i odpina rozporok.

Tatko tak się śmiał, że nie mógł się wyprostować.

– Oj, nie! Oj, nie wytrzymam! Ja... pierdzielę... O Jezu, ja pierdzielę...!

Wreszcie przestał.

– Jasna cholera – zaklął z cicha. – Rany Boga...

– To może byśmy obejrzeli ten film, Tatku?

– Dobra, niech wam będzie.

Któryś chłopak zamknął drzwi wychodzące na boisko, a Tatko wyciągnął brudny biały ekran i włączył projektor. Film był kiepski, ale i tak lepszy niż dłubanie w silnikach. Zapłon następował dzięki świecom, fala spalin uderzała w głowicę cylindra, głowica opadała, obracając wał korbowy, zawory otwierały się i zamykały, a głowice cylindrów jeździły w górę i w dół, więc wał korbowy dalej się obracał. Wszystko razem dosyć nudne, ale w pracowni panował miły chłodek, można było rozwalić się na krześle i pomyśleć, o czym się chciało, zamiast objąć sobie knykcie o jakieś głupie żelastwo.

W końcu wcale nie porozbieraliśmy tych silników, nie mówiąc już o składaniu do kupy. Nie wiem, ile razy obejrzeliśmy ten sam film. Whitechapel wciąż przynosił nowe kawały, a my pękaliśmy ze śmiechu, chociaż przeważnie były do kitu i tylko Tatko Farnsworth śmiał się z nich tak serdecznie, że ledwo mógł się wyprostować.

– Ja pierdzielę! Oj, nie wytrzymam! Oj, nie mogę!

W porządku był z niego facet. Lubiliśmy go.

Rozdział 24

Angielskiego uczyła panna Gredis. Była naprawdę super. Nos miała nieszczerbry, ale za to resztę taką, że się tego nosa wcale nie zauważało. Nosiła obciste wydekoltowane sukienki, czarne buty na obcasach i jedwabne pończochy. Miała piękne długie nogi i ruszała się jak wąż. Za biurkiem siedziała tylko przy sprawdzaniu listy. Jedną z pierwszych ławek kazała zostawiać wolną i po wyczytaniu nazwisk siadała na bławie przodem do nas. Zakładała nogę na nogę, aż jej spódnica podjeżdżała do góry. Nigdy w życiu nie widzieliśmy takich kostek, takich nóg, takich ud. Wprawdzie Lilly Fischman też nam pokazywała, ale to było jeszcze kobieciątko, a nie kobieta w pełni rozkwitu jak panna Gredis. Mogliśmy się na nią gapić codziennie przez bitą godzinę. Wszyscy chłopcy smutnieli, kiedy dzwonił dzwonek. Na przerwie rozmawialiśmy o pannie Gredis.

- Myślicie, że ona chce, żeby ją ktoś przerznął?
- Nie, tylko nas tak podpuszcza. Wie, że za nią wariujemy, ale to jej wystarcza, nic więcej nie potrzebuje.
- Wiem, gdzie mieszka. Przejdę się do niej kiedyś wieczorem.

- Akurat! Do tego trzeba mieć jaja!
- Myślisz, że nie mam? Tak ją zerznę, że się nie pozbiera! Sama się prosi!
- Jeden chłopak z ósmej mówi, że był u niej kiedyś w nocy.
- Taaa? No i co?
- Otworzyła mu w nocnej koszuli. Cycki miała całkiem na wierzchu. Koleś powiedział, że nie pamięta, co zadane, i przyszedł spytać. Wpuściła go.
- Pierdolisz?
- Jak słowo daję. Ale nic się nie stało. Dała mu herbaty, powiedziała, co zadane, no i wyszedł.
- Jakby mnie wpuściła, inaczej bym pograł!
- Aha? Niby co byś zrobił?
- Najpierw bym ją posunął w dupę, potem bym jej zrobił minetę, wyruchałbym ją między cyce, a na koniec kazałbym, żeby mi obciągnęła.
- Nie zalewaj, marzycielu. Już się kiedyś chociaż ruchałeś?
- No chyba, kurde. I to nieraz.
- No i jak było?
- Chujowo.
- Nie mogłeś się spuścić, co?
- Jak się spuściłem, to myślałem, że jej się w cipie nie zmieści.
- Powiedz raczej, że w twojej własnej ręce!
- Ha, ha, ha, ha!
- Aha, ha, ha, ha, ha!
- Ha, ha!
- We własnej ręce, co?

- Jesteście chuje!
- Chyba żaden z nas się jeszcze nie pierdolił – powiedział któryś chłopak.
- Zapanowało milczenie.
- Sranie w banie. Pierwszy raz się pierdoliłem, jak miałem siedem lat.
- To jeszcze nic. Ja się pierdoliłem, jak miałem cztery lata.
- Nie żałuj sobie, Rudy. Jak już wciskać kit, to na całego!
- Zaciągnąłem jedną małą pod ganek.
- Stanął ci?
- Mowa.
- A spuściłeś się?
- Chyba tak. Coś tam pociekło.
- Jasne, Rudy. Naszczałeś jej do pizdy.
- Bez jaj!
- Jak miała na imię?
- Betty Ann.
- O, kurde – powiedział ten, co twierdził, że pierwszy raz się pierdolił, jak miał siedem lat. – Moja też miała na imię Betty Ann.
- A to kurwa – rzekł Rudy.

Pewnego wiosennego dnia był angielski i panna Gredis siedziała na ławce przodem do nas. Spódnicę zadarła wysoko jak nigdy. Było strasznie, pięknie, cudownie i świńsko. Ale łydki, ale uda! Ocieraliśmy się o czary. Coś nieprawdopodobnego. Głaca siedział w rzędzie obok. Wychylił się z ławki i zaczął mnie szturchać palcem w nogę.

- Ona bije wszystkie rekordy! – szepnął. – Patrz! Patrz!
- Rany boskie – powiedziałem. – Zamknij się, bo jeszcze spuści kieckę!

Głaca cofnął rękę, a ja czekałem, co będzie. Na szczęście nie spłoszyliśmy panny Gredis. Siedziała w spódnicy zadartej tak wysoko jak nigdy przedtem. Był to niezapomniany dzień. Wszystkim stało, wszystkim co do jednego. Panna Gredis coś tam mówiła, ale jestem pewien, że żaden chłopak nie słyszał z tego ani słowa. Za to dziewczyny obracały się w ławkach i patrzyły po sobie, jakby mówiły: „Ta zdzira za daleko się posuwa”. Ale panna Gredis nie mogła się posunąć za daleko. Wydawało nam się, że tam na końcu ma już nawet nie pizdę, tylko coś jeszcze lepszego. Ach, te nogi. Słońce zajrzało przez okno i załało jej łydki i uda, zagrało na opiętym jedwabiu. Spódnicę miała tak podkasaną, tak wysoko zadartą, wręcz się modliliśmy, żeby nam choćby mignęły jej majtki, żeby pokazała jeszcze chociaż odrobinę, o Jezu, czuliśmy się, jakby świat się kończył i na nowo zaczynał, i znów kończył, wszystko było prawdziwe, a zarazem nierzeczywiste: słońce, uda, jedwab – taki gładki, ciepły, kuszący. W klasie aż pulsowało. Mąciło nam się w oczach, potem jakoś odzyskiwaliśmy wzrok, a panna Gredis wciąż siedziała jakby nigdy nic i normalnie mówiła. Udawała, że nic specjalnego się nie dzieje, i właśnie dlatego było tak fajnie i strasznie. Popatrzyłem na blat swojej ławki. Słoje drewna były wyraźne jak nigdy, jakby każdy stał się kroplą wirującego płynu. Zaraz potem spojrzałem na łydki i uda panny Gredis. Byłem zły na siebie, że przez chwilę patrzyłem gdzie indziej i może coś przegapiłem.

Wtem rozległ się jakiś dziwny odgłos: łup, łup, łup, łup, łup...

Sprawcą był Richard Waite. Siedział w ostatniej ławce. Miał ogromne uszy i grube wargi, potworne, jakby nabrzmiałe, i bardzo dużą głowę. W prawie bezbarwnych oczach nie było widać cienia inteligencji ani zainteresowania czymkolwiek. Stopy też miał wielkie, a usta wiecznie rozdziawione. Mówił w sposób urywany, niepewnie, robiąc długie pauzy między słowami. Nie można nawet powiedzieć, że był mięczakiem. Po prostu nikt się do niego nie odzywał. Nikt nie wiedział, skąd Waite wziął się w naszej szkole. Wyglądało na to, że zapomniano mu wmontować jakąś ważną śrubkę. Ubierał się schludnie, ale koszula zawsze wyłaziła mu ze spodni i tu i ówdzie brakowało guzików. Richard Waite. Wiadomo było tylko, że gdzieś tam mieszka i że codziennie przychodzi stamtąd do szkoły.

ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP...

Richard Waite walił konia, składając hołd udom i łydkom panny Gredis. Czyli w końcu jednak się załamał. A może w ogóle nie rozumiał, na czym polega życie społeczne. Słyszeliśmy, jak łomocze. Panna Gredis też to słyszała. No i dziewczyny. Wszyscy wiedzieliśmy, co on tam robi pod ławką. Był widać kurewsko tępy, skoro nie miał nawet dość rozumu, żeby się branzłować po cichu. Coraz bardziej się napalał, coraz głośniej dudnił zaciśniętą pięścią o spód ławki.

ŁUP, ŁUP, ŁUP...

Patrzyliśmy na pannę Gredis. Co zrobi? Z wahaniem rozejrzała się po klasie. Uśmiechnęła się, opanowana jak zawsze, i znów zaczęła mówić:

– Według mnie język angielski spośród wszystkich form porozumiewania ma najwięcej wyrazu i umożliwia najlepszy kontakt. Powinniśmy być wdzięczni losowi za ten wyjątkowy dar, jakim jest wspaniały język. A jeśli zadajemy gwałt jego duchowi, to jest to właściwie samogwałt. Bądźmy więc posłuszni, powolni własnemu dziedzictwu, ceńmy je, a równocześnie badajmy, podejmując ryzykowne eksperymenty z językiem...

ŁUP, ŁUP, ŁUP...

– Musimy zapomnieć, że istnieje Anglia, o tym, że nasz wspólny język ma tam inną postać. Chociaż Anglicy posługują się nim w sposób, któremu trudno coś zarzucić, nasz własny język, język amerykański, skrywa całe kopalnie niezbadanych bogactw. Bogactwa te jak dotąd pozostają nie-
tknięte. Jeśli w odpowiedniej chwili pojawią się odpowiedni pisarze, pewnego dnia może nastąpić istna eksplozja literacka...

ŁUP, ŁUP, ŁUP...

Tak, Richard Waite był jednym z nielicznych, do których w ogóle się nie odzywaliśmy. Właściwie to nawet się go baliśmy. Kogoś takiego jak on nie można było sprać na miazgę – nikomu by to nie poprawiło humoru. Staraliśmy się po prostu trzymać od niego jak najdalej. Nikt nie miał

ochoty patrzeć na te grube wargi, rozlazłe i wywinięte, podobne do paszczy zmaltretowanej żaby. Richarda Waite'a wszyscy omijali, bo nie było sposobu, żeby z nim wygrać.

Czekaliśmy tak bez końca, a panna Gredis przez cały czas porównywała kulturę angielską z amerykańską. Czekaliśmy, a Richard Waite robił swoje. Łomotał pięścią o spód ławki, dziewczynki spoglądały po sobie, a myśmy myśleli: Dlaczego ten dupek jest z nami w jednej klasie? Przecież wszystko popsuje. Przez jednego dupka panna Gredis raz na zawsze schowa nogi pod spódnicą.

ŁUP, ŁUP, ŁUP...

I nagle wszystko się skończyło. Richard przestał łomotać. Po prostu zrobił swoje. Wyglądał tak samo jak przedtem. Spuścił się w garść czy na spodnie?

Zadzwonił dzwonek. Było po angielskim.

I tak już zostało. Richard Waite łomotał po swojemu, a myśmy słuchali, jak panna Gredis mówi do nas z pierwszej ławki, siedząc z nogą założoną na nogę, w podkaszanej spódnicy. Dla chłopaków wszystko razem było w sumie do przyjęcia. Po jakimś czasie zaczęło nas nawet bawić. Dziewczyny też się z tym pogodziły, chociaż nie były zachwycone – zwłaszcza Lilly Fischman, o której prawie zapomniano.

Oprócz Richarda Waite'a jeszcze jeden chłopak z naszej klasy był dla mnie zagadką: Harry Walden. Podobał się dziewczynom, miał długie złociste loki i nosił dziwne ubrania z delikatnych tkanin. Wyglądał jak lalusz z osiemnastego wieku, poubierany w dziwne kolory, w ciemne zieleń

i błękity – nie wiem, skąd jego rodzina brała te cholerne ciuchy. Kiedy siedział w ławce, to ani drgnął, tylko cały czas słuchał. Tak jakby wszystko rozumiał. Dziewczyny twierdziły, że jest genialny. Ja tam nic nadzwyczajnego w nim nie widziałem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego żaden rozrabiaka nigdy z nim nie zaczyna. Nie dawało mi to spokoju. Jakim cudem tak łatwo mu się upiekło?

Któregoś dnia zatrzymałem go na korytarzu.

– Dla mnie jesteś gnojek i tyle – powiedziałem. – Dlaczego wszystkim się wydaje, że jesteś super?

Popatrzył w prawo, a kiedy obróciłem głowę i też tam spojrzełem, wyminął mnie, jakbym był jakimś śmieciem, i już po chwili siedział w swojej ławce.

Prawie codziennie panna Gredis wystawiała się na pokaz, Richard łomotał pod ławką, a Walden siedział, nic nie mówił i odstawiał geniusza. Już mi się od tego chciało rzygać.

– Naprawdę wam się zdaje, że ten cały Harry Walden jest taki genialny? – pytałem chłopaków. – Przecież on nic nie robi, tylko siedzi w tych swoich ciuszkach i nawet się nie odzywa. Też mi wyczyn! Każdy głupi by potrafił.

Nie odpowiadali. Nie rozumiałem, czemu tak się cackają z tym piździelcem. A potem zrobiło się jeszcze gorzej. Rozeszła się plotka, że Harry Walden co noc odwiedza pannę Gredis, że jest jej pupilkiem i że ona chodzi z nim do łóżka. Szlag mnie trafił, kiedy to usłyszałem. Z łatwością sobie wyobraziłem, jak Walden zdejmuje to swoje delikatne zielono-niebieskie ubranko, układa je równiutko na krześle, ściąga majtki z pomarańczowego atłasu i wsuwa się pod prześcieradło, a panna Gredis tuli go, pieści te jego złote loki i nie tylko.

Tę plotkę powtarzały szeptem dziewczyny, a one niby to zawsze wszystko wiedzą. A chociaż nie przepadały za panną Gredis, uważały, że jest tak, jak być powinno, całym w porządku, bo Harry Walden, ten delikacik i geniusz, potrzebuje sympatii całego świata.

Jeszcze raz dorwałem go na korytarzu.

– Zaraz dostaniesz kopa w dupę, ty skurwysynu! Mnie nie zbajerujesz!

Harry Walden spojrział najpierw na mnie, a potem gdzieś ponad moim ramieniem, wskazał palcem i powiedział:

– Co to takiego?

Obejrzałem się, a on przez ten czas znikł. Wszedł do klasy i usiadł w ławce, bezpieczny wśród dziewczyn, które uważały go za geniusza i kochały.

Coraz więcej szeptano o tym, że Harry Walden chodzi w nocy do panny Gredis. Czasem w ogóle nie pokazywał się w szkole. To były moje najlepsze dni, bo słuchałem wtedy tylko łomotania Richarda, a nie musiałem w dodatku znosić widoku złotych loków ani uwielbienia, którym te loki i całą resztę darzyły dziewczynki w spódniczkach, sweterkach i krochmalonych sukienkach z bawełny. Kiedy Harry nie przychodził do szkoły, dziewczynki szeptały:

– Bo on jest zanadto wrażliwy...

A Rudy Kirkpatrick mówił:

– Ona go w końcu zajebie na śmierć.

Któregoś popołudnia wszedłem do klasy i zobaczyłem, że ławka Harry'ego Waldena znowu jest pusta. Pomyśla-

łem, że Walden opierdala się jak zwykle. A potem od ławki do ławki rozeszła się nowina. Zawsze o wszystkim dowiadywałem się ostatni, ale wreszcie i do mnie dotarła wiadomość: Harry Walden popełnił samobójstwo. W nocy. Panna Gredis jeszcze o niczym nie wiedziała. Spojrzałem na jego ławkę. Już nigdy w niej nie usiądzie. Diabli wzięli wszystkie kolorowe szmatki. Panna Gredis skończyła sprawdzać listę. Usiadła na pierwszej ławce i założyła nogę na nogę. Była w jedwabnych pończochach, jeszcze jaśniejszych niż zwykle. Spódnica tak jej się zadarła, że odsłoniła całe uda.

– Naszej amerykańskiej kulturze – powiedziała – pisana jest wielkość. Język angielski, który dotąd był taki ograniczony i ujęty w sztywne struktury, zostanie odkryty na nowo i ulepszony. Nasi pisarze będą się posługiwali rdzenną, nazwijmy ją tak, *amerykańszczyzną*...

Pończochy panny Gredis miały prawie cielisty kolor. Wyglądała całkiem jak bez pończoch, jakby nam pokazywała gołe uda, a myśmy wprawdzie wiedzieli, że wcale nie są gołe, tylko nam się tak zdaje, ale mieliśmy przez to jeszcze większą frajdę.

– Będą się przed nami odsłaniały coraz to nowe własne prawdy, odkryjemy własny sposób mówienia, zupełnie nowy głos, wolny od bagażu dawnych historii, dawnych obyczajów, starych snów, martwych i bezużytecznych...

Łup, łup, łup...

Rozdział 25

Wagner Kędzior czepnął się Morrisa Moscovitza. Było już po lekcjach. Kiedy usłyszeliśmy, że mają się bić za salą gimnastyczną, poszliśmy tam w ośmiu czy dziesięciu, żeby pofilować. Wagner ustalił reguły.

– Bijemy się, aż któryś krzyknie, że ma dość.

– Pasuje – zgodził się Morris. Był wysoki i chudy, trochę przygłupi. Rzadko się odzywał i nigdy z nikim nie zaczynał.

Wagner spojrzał na mnie.

– Jak się rozprawię z tym tutaj – powiedział – to ciebie wezmę w obroty!

– Mnie, mistrzu?

– Tak, Chinaski, ciebie.

Uśmiechnąłem się szyderczo.

– Nauczę was szacunku, cholera jasna, choćbym musiał wszystkich po kolei rozłożyć na łopatki!

Był bardzo pewny siebie. Ciągłe trenował na poręczach, ćwiczył salta na macie albo biegał dookoła boiska. Chodził zawiadackim krokiem, ale brzuch i tak miał obwis-

ły. Lubił stanąć przed człowiekiem i dobrze mu się przyrzyć, ale takim wzrokiem, jakby patrzył na kawałek gówna. Nie wiedziałem, co mu dolega. Chyba to przez nas tak się męczył. Pewnie sobie wyobrażał, że rżniemy wszystkie dziewczyny jak nieprzytomni, i wcale go to nie cieszyło.

Stanęli jak na ringu. Z początku Wagner nawet ładnie się ruszał. Skakał, robił uniki, pracował nogami, zmniejszał i zwiększał dystans, a czasem jakoś tak syczał. Naprawdę robił wrażenie. Trzy razy trafił Moscovitza lewym prostym. Moscovitz stał z opuszczonymi rękami. Nie miał pojęcia o boksie. Nagle Wagner rąbnął go z prawej w szczękę.

– Kurwa! – zaklął Morris i strzelił prawym sierpowym, ale Wagner zrobił unik, skontrował prawą i poprawił lewą, aż Morrisowi krew popłynęła z nosa.

– Kurwa! – powtórzył Moscovitz i zaczął młócić, a nawet trafiać. Łomotał Wagnera po głowie, aż huczało. Wagner próbował kontrować, ale ani nie miał tyle siły, ani nie był taki wkurwiony jak Morris.

– Jak rany! Wpierdol mu, Morrie!

Moscovitzowi brakowało techniki, ale umiał przyładować. Wbił Wagnerowi lewą piączę prosto w ten jego obwisły kałdun. Kędzior wypuścił powietrze i osunął się na kolana. Twarz miał poranioną i zakrwawioną. Podbródek opadł mu na pierś. W sumie kiepsko wyglądał.

– Mam dość – powiedział.

Zostawiliśmy go na boisku i poszliśmy za Moscovitzem, który stał się odtąd naszym bohaterem.

– Morrie, ty powinienes, kurwa, przejść na zawodstwo!

– Nie mogę, mam dopiero trzynaście lat.

Poszliśmy za pracownię robót ręcznych i stanęliśmy na schodach. Niektórzy zapalili papierosy. Puściliśmy je w kółko.

– Czego ten facet od nas chce? – spytał Morris.

– Coś ty, Morrie? Nie wiesz? Zazdrość go zżera. Myśli że wszystkie dziewczyny dają nam dupy!

– Przecież ja nigdy się nawet nie całowałem z dziewczyną.

– Nie rób sobie jaj, Morrie!

– Jak słowo daję.

– Spróbuj kiedyś chociaż zrobić którejs palcówkę. Mówię ci, ekstra sprawa!

Zobaczyliśmy, że Wagner idzie przez boisko. Wycierał twarz chusteczką.

– Mistrzu! – krzyknął któryś. – Może by tak rewanżyk? Wagner przystanął i spojrzał na nas.

– Zgaście papierosy!

– Nie, mistrzu. Lubimy palić i już!

– Jak mistrzunio tu podejdzie i nas przymusi, to może zgasimy!

– Właśnie, mistrzuniu! Chono tu!

Wagner stał i na nas patrzył.

– Ja wam jeszcze pokażę! Rozprawię się z każdym po kolei, jak nie tak, to inaczej!

– A co nam mistrzu pokaże? Wygląda na to, że mistrzu ma ograniczone zdolności.

– No właśnie, co nam mistrzu pokaże?

Zszedł z boiska i wszedł do auta. Trochę mi go było żal. Jak ktoś jest taki wredny, to powinien móc poprzeć słowa czynem.

– On pewnie się boi, że nim skończymy ostatnią klasę, w całej szkole nie zostanie ani jedna prawiczka – powiedział któryś chłopak.

– A ja myślę – rzekł inny – że ktoś mu się zbranzłował w ucho i teraz Kędzior ma cudzy lagier zamiast mózgu.

Rozeszliśmy się do domów. Dzień nam się udał, nie można było narzekać.

Rozdział 26

Matka co rano wychodziła do tej swojej pracy, w której prawie nic nie zarabiała. Ojciec był bezrobotny, ale wychodził razem z nią. Chociaż większość sąsiadów straciła pracę, nie chciał, żeby się dowiedzieli, że on też. Każdego ranka o tej samej godzinie wsiadał w samochód i odjeżdżał niby to do pracy. Wieczorem wracał o stałej porze. Nie narzekałem, bo mogłem robić w domu, co mi się podobało. Rodzice zamykali drzwi na klucz, ale i tak umiałem się dostać do środka. Kawałkiem tektury podnosiłem haczyk przy drzwiach z siatki. Drzwi z domu na ganek były zamknięte od wewnątrz na klucz. Przez szparę nad progiem wsuwałem gazetę, wypychałem klucz z zamka i wyciągałem go na gazecie. Otwierałem sobie i wchodziłem. Wychodząc, zamykałem drzwi z siatki na haczyk, w drzwiach z domu na ganek przekręcałem klucz od wewnątrz i zostawiałem go w zamku. Frontowe drzwi zatrzaskiwałem za sobą.

Lubiłem być sam. Wymyślałem sobie różne zabawy. Na kominku stał zegar z sekundnikiem. Sprawdzałem, jak długo dam radę wstrzymać oddech. Za każdym razem ustanawia-

łem kolejny rekord. Strasznie się męczyłem, ale zawsze byłem dumny, że znów udało mi się dodać kilka sekund. Pewnego dnia poprawiłem wynik aż o pięć sekund i podszedłem do okna, żeby nabrać tchu. Okno było duże, zasłonięte czerwonymi firankami. Spojrzałem w szparę między nimi. Jezus Maria! Nasze okno wychodziło prosto na ganek Anderse-nów. Pani Andersen siedziała na schodkach. Mogłem jej swobodnie zajrzeć pod sukienkę. Miała ze dwadzieścia trzy lata i cudowne nogi. Mogłem ją podejrzeć prawie do samych majtek. Nagle sobie przypomniałem, że przecież ojciec ma wojskową lornetkę. Leżała na najwyższej półce w jego szafie. Pobiegłem po nią, wróciłem, kucnąłem i ustawiłem ostrość. Sięgnąłem akurat tam, gdzie chciałem! To było zupełnie co innego, niż kiedy się gapiłem na nogi panny Gredis, bo tym razem nie musiałem udawać, że nie patrzę. Mogłem się skoncentrować. No więc się skoncentrowałem. Całkiem jakbym jej wlaź pod kieckę. Jezu, ale się napaliłem! Jakie ona miała nogi, jaki tyłek, rany boskie! A co się tylko ruszyła, widok był nie z tej ziemi, nie do wytrzymania.

Ukląknę na podłodze i jedną ręką trzymając lornetkę, drugą wyciągnąłem kutasa. Splunąłem w garść i wziąłem się do roboty. Nagle mignęły mi jej majtki. Mało brakowało, a bym się spuścił. Zrobiłem przerwę. Patrząc w lornetkę, znowu zacząłem walić konia. Kiedy już, już miałem się spuścić, na chwilę przerwałem. Odczekałem i znów zacząłem męczyć gruchę. Tym razem wiedziałem, że już nie dam rady się powstrzymać. Miałem ją przed samym nosem. Zaglądałem jej prosto pod sukienkę! Całkiem jakbym ją jebał. Spuściłem się. Opryskałem cały parkiet pod oknem. Zlałem się na biało i na gęsto. Wstałem, przyniosłem z łazienki papier toaletowy

i wytarłem podłogę. Brudny papier wrzuciłem do sedesu i spuściłem wodę.

Pani Andersen prawie codziennie siadywała na schodkach, a ja za każdym razem biegałem po lornetkę i trzepałem konia.

„Jeżeli Andersen się dowie, to mnie zabije” – myślałem.

Rodzice w każdą środę wieczorem chodzili do kina. Przed seansem była loteria, a oni chcieli wygrać trochę pieniędzy. Właśnie w taki środowy wieczór dokonałem pewnego odkrycia. Na południe od nas mieszkali państwo Pirozzi. Alejka prowadząca do naszego ganku biegła pod północną ścianą ich domu, a w tej ścianie było okno salonu, zasłonięte cienką firanką. W naszą alejkę wjeżdżało się przez łukowatą bramę w murze wzdłuż ulicy. Za murem rósł cały gąszcz krzaków. Kiedy siedziałem w tych krzakach między murem a oknem Pirozzich, z ulicy nie było mnie widać, zwłaszcza nocą.

No więc wlałem w te krzaki. Było ekstra, jeszcze lepiej, niż myślałem. Pani Pirozzi siedziała na kanapie i czytała gazetę. Założyła nogę na nogę, a po drugiej stronie pokoju pan Pirozzi siedział rozwalony w fotelu i też czytał gazetę. Pani Pirozzi była starsza od panny Gredis i od pani Andersen, ale miała dobre nogi i buty na obcasach i jak przewracała kartki, to prawie za każdym razem zmieniała pozycję i zakładała nogę na nogę w drugą stronę. Spódnica podjeżdżała jej wtedy jeszcze wyżej, a ja miałem coraz lepszy widok.

„Jeżeli starzy po powrocie z kina mnie tu przyłapią, to mogę się pożegnać z życiem – pomyślałem. – Ale opłaca się. Opłaca się zaryzykować”.

No więc siedziałem pod tym oknem i ani pisałem, tylko wciąż się gapiłem na nogi sąsiadki. Wielki pies Pirozich, szkocki owczarek Jeff, spał przy samych drzwiach. Tego samego dnia na angielskim napatrzyłem się na nogi panny Gredis, potem się zbranzłowałem, podglądając panią Andersen, a wieczorem okazało się, że to jeszcze nie koniec. Dlaczego ten Pirozzi nie patrzy na nogi swojej żony? Nic tylko siedzi i czyta. Pani Pirozzi wyraźnie go podpuszczała, bo spódnica podjeżdżała jej coraz wyżej. Za którymś razem przewracając stronę gazety, przełożyła nogi tak szybko, że spódnica jej się odwinęła i odsłoniła białe uda, bieluteńkie jak śmietana! To się po prostu w pale nie mieściło! Pani Pirozzi była naprawdę super!

Nagle kątem oka zauważyłem, że nogi pana Pirozziego też się poruszyły. Szybko wstał i ruszył do wyjścia. Rzuciłem się biegiem, na przelaj przez chaszczę. Usłyszałem, że Pirozzi otwiera drzwi. Skręciłem w alejkę, wbiegłem na podwórko za naszym domem i schowałem się za garażem. Chwilę nasłuchiwałem. Potem przelałem przez parkan obrośnięty pnączami. Znalazłem się na podwórku domu, który frontem wychodził na ulicę równoległą do naszej. Przez to podwórko i przez alejkę między domami dobiegłem do ulicy, skręciłem na południe i ruszyłem truchtem, jakbym trenował biegi. Nikt mnie nie gonił, ale mimo to biegłem.

Jeżeli wie, że to ja, i powie ojcu, to już po mnie.

Ale może tylko poszedł wypuścić psa, żeby się wysrał?

Dobiegłem do przystanku tramwajowego na Adams Boulevard i usiadłem na ławce. Przesiedziałem tak chyba z pięć minut i wróciłem do domu. Rodziców jeszcze nie

było. Wszedłem, rozebrałem się, pogasiłem światła i zacząłem czekać, aż zrobi się rano...

W inną środę Glaca i ja szliśmy naszą zwykłą trasą na skróty między dwiema kamienicami. Wybieraliśmy się na wino do piwnicy jego ojca. Nagle Glaca stanął pod czyims oknem. Roleta była spuszczone, ale nie do końca. Glaca przystanął, schylił się i zajrzał do środka. Machnął na mnie ręką, żebym podszedł.

– Co jest? – spytałem szeptem.

– Patrz!

W łóżku leżał facet z kobietą, oboje goli, tylko trochę okryci prześcieradłem. Facet chciał pocałować kobietę, a ona go odpychała.

– Marie, do jasnej cholery, dasz mi wreszcie czy nie?

– Nie!

– Kiedy mnie roznosi!

– Jazda z łapami!

– Ale ja cię kocham, Marie!

– Ty i ta twoja jebana miłość...

– Marie, proszę cię...

– Zamkniesz się?

Facet odwrócił się twarzą do ściany. Kobieta wzięła jakieś czasopismo, ubiła poduszkę, wsadziła ją sobie pod głowę i zaczęła czytać.

Odeszliśmy spod ich okna.

– Jezus! – westchnął Glaca. – Można puścić pawia!

– Myślałem, że coś nam się uda zobaczyć – powiedziałem.

Jeszcze parę razy zaglądaliśmy w to okno, ale nic konkretnego nigdy się nie działo. Za każdym razem to samo.

– Marie, to już tyle czasu. Przecież żyjemy razem. Jesteśmy małżeństwem!

– Wielkie mi co!

– Marie, daj mi chociaż raz, potem już nie będę ci zawracał głowy, długo będziesz miała ze mną spokój, słowo daję!

– Zamknij się, kurwa! Rzygać mi się chce, jak cię słucham!

Odeszliśmy spod okna.

– O, kurde – powiedziałem.

– O, kurde – powtórzył Glaca.

– On chyba nie ma chuja.

– Spoko, że może nie mieć – zgodził się Glaca.

Przestaliśmy tam chodzić.

Rozdział 27

Wagner nie dawał nam spokoju. Podszedł do mnie, kiedy w czasie wuefu stałem sobie na boisku.

- Chinaski, co ty tu robisz?
- Nic.
- Nic?

Nie odpowiedziałem.

- Dlaczego w nic nie grasz?
- Bo to dobre dla szczyli.
- Od dzisiaj jesteś śmieciarzem, póki cię nie zwolnię.
- A niby za co?
- Za bumelanctwo. Pięćdziesiąt punktów karnych.

Punkty karne trzeba było odrabiać, wynosząc śmieci. Kto miał więcej niż dziesięć karniaków i nie zdążył odpracować, nie zdawał do następnej klasy. Mnie tam było wszystko jedno, czy zdam, czy nie. Nie mój problem. Mogę tak całe życie kiblować, coraz starszy i coraz większy. W końcu wszystkie dziewczyny będą moje.

– Pięćdziesiąt karniaków? – spytałem. – Tylko tyle? Dlaczego nie sto?

– Dobra, niech ci będzie. Masz sto punktów karnych. Wagner odszedł tym swoim zawadiackim krokiem. Peter Mangalore miał pięćset karniaków. Byłem już drugi i pomału go doganiałem...

Śmieci wynosiło się przez ostatnie pół godziny przerwy na lunch. Już na drugi dzień we dwóch z Peterem Mangalore taszczyliśmy pojemnik. To była betka. Każdy z nas miał kij z ostrym gwoździem na końcu. Nadziewaliśmy papiery na ten gwoździe i wpychaliśmy do pojemnika. Dziewczyny oglądały się za nami. Wiedziały, że musieliśmy narozrabiać. Peter miał znudzoną minę, a ja taką, jakbym wszystko olewał. Dziewczyny wiedziały, że idzie dwóch rozrabiaków.

– Znasz Lilly Fischman? – spytał mnie Pete.

– Jasne.

– Nie jest dziewczicą.

– Skąd wiesz?

– Sama mi powiedziała.

– A kto ją rozprawiczył?

– Własny ojciec.

– Hmmmm... Trudno mu się dziwić.

– Słyszała, że mam dużego chuja.

– No. Cała szkoła o tym wie.

– Lilly chce spróbować, jak on smakuje. Mówi, że da mu radę.

– Rozedrziesz ją na kawałki.

– No chyba. Ale sama się prosi.

Odstawiliśmy pojemnik i zaczęliśmy się gapić na dziewczyny, które siedziały na ławce. Pete do nich podszedł. Ja zostałem. Nachylił się nad jedną i szepnął jej coś na ucho.

Zaczęła chichotać. Pete wrócił. Podnieśliśmy pojemnik i poszliśmy dalej.

– Znaczy dziś o czwartej – powiedział Pete. – Rozedrę Lilly na kawałki.

– Taaa?

– Pamiętasz to rozwalone auto za szkołą? To, z którego Tatko Farnsworth wyjął silnik?

– No.

– Zanim to kurewstwo pójdzie na złom, urządzę sobie w nim sypialnię. Prześpię się z Lilly na tylnym siedzeniu.

– Taki to pożyje.

– Aż mi staje, ledwo o tym pomyśle.

– Mnie też, chociaż to nie moje plany.

– Ale jest jeden problem.

– Nie możesz się spuścić? – spytałem.

– Nie, ja nie o tym. Muszę mieć kogoś, kto będzie filował, żebym wiedział, że wszystko kryte.

– Taaa? Jakby co, to ja mogę przyfilować.

– Serio?

– No chyba. Ale przydałby się jeszcze jeden koleś, żebyśmy mogli filować w obie strony.

– Dobra. Kogo masz na myśli?

– Glacę.

– Glacę? Tego kurdupła?

– Kurdupel, ale za to pewny.

– Dobra. No to do czwartej.

– Bank.

O czwartej spotkaliśmy się z Petem i z Lilly przy starym aucie.

– Cześć! – powiedziała Lilly. Wyglądało na to, że ma chcię. Pete palił papierosa. Wyglądało na to, że jest znużony.

– Cześć, Lilly – powiedziałem.

– Cześć, mała – powiedział Glaca.

Na drugim boisku paru chłopaków grało w klepanego, ale to nam tylko ułatwiało zadanie, bo odwracali od nas uwagę. Lilly wierciła się i dyszała, aż jej piersi chodziły pod bluzką.

– No, Lilly – powiedział Pete i wyrzucił papierosa. – Chodź, się zakolegujemy.

Otworzył tylne drzwiczki i się uklonił. Lilly włąza do środka. Pete wsiadł za nią i zdjął buty, a potem spodnie i slipy. Lilly spojrzała w dół i zobaczyła ten dyndający kawał mięcha między jego nogami.

– O rany – jęknęła. – Właściwie to nie wiem...

– Nie bój nic, mała – rzekł Pete. – Wszyscy kiedyś umrzemy.

– No dobra, niech będzie...

Pete wyjrzał przez okno.

– Hej, panowie, filujecie?

– Filujemy, Pete – powiedziałem.

– Uważamy – dodał Glaca.

Pete zadarł Lilly spódnice aż do pasa. Nogi powyżej podkolanówek miała białe. Widać było majtki. Pycha. Pete objął Lilly i zaczął ją całować. Nagle się odsunął.

– Ty kurwo! – powiedział.

– Nie mów tak do mnie, Pete! Bądź miły!

– Ty ściro, ty! – rzekł Pete i z całej siły trzasnął ją w policzek.

Popłakała się.

– Przestań, Pete, proszę cię...

– Zamknij się, pizdo jedna!

Zaczął jej ściągać majtki. Nieźle się przy tym narobił, bo ciasno opinały jej dupsko. Szarpnął, majtki pękły i wreszcie je ściągnął przez buty. Rzucił je na podłogę auta i zaczął miętosić jej pizdę. Miętosił i miętosił, a potem znów całował w usta. W końcu opadł plecami na oparcie. Kutas tylko trochę mu stał.

Lilly spojrzała na niego.

– Co ty, pedał jesteś, czy co?

– Nie, Lilly, tylko że oni chyba wcale nie filują. Gapią się na nas, zamiast filować. Nie mam ochoty, żeby mnie ktoś nakrył.

– Nikt nie idzie, Pete – powiedziałem. – Cały czas filujemy!

– Filujemy! – powtórzył za mną Glaca.

– Nie wierzę – powiedział Pete. – Patrzą tylko na twoją pizdę, Lilly.

– Ty cykorze! Żeby taki kawał mięcha ledwo-ledwo stał?

– Boję się, że nas nakryją, Lilly.

– Wiem, co zrobić – powiedziała Lilly.

Schyliła się i przejechała językiem po kutasie Pete'a. Oblizła czubek. A potem wzięła tę potworną fujarę do ust.

– Lilly... o Jezu – jęknął Pete. – Kocham cię... Lilly, Lilly, Lilly... ooo, ooooo, oooooooooo...

– Henry! – wrzasnął Glaca. – Patrz!

No więc popatrzyłem. Przez boisko biegł w naszą stronę Wagner, a za nim ci kolesie, którzy przedtem grali w klepanego, i ich kibice, chłopaki i dziewczyny.

– Pete! – ryknąłem. – Leci tu Wagner, a za nim chyba z pięćdziesiąt osób!

– O, kurde! – stęknął Pete.

– Kurde! – powiedziała Lilly.

Głaca i ja zerwaliśmy się stamtąd. Wylecieliśmy za bramę i odbiegliśmy kilkadziesiąt metrów. Zajrzeliśmy przez parkan. Pete i Lilly nie mieli szans. Wagner podbiegł do auta i jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki. Miał nadzieję, że sobie popatrzy. Zaraz potem cała kupa ludzi otoczyła auto i już nic więcej nie widzieliśmy.

Nigdy już zresztą nie zobaczyliśmy Pete’a ani Lilly. Nie mieliśmy pojęcia, co się z nimi stało. Głaca i ja dostaliśmy po tysiąc karniaków, czyli wyszedłem na prowadzenie przed Mangalore’a, bo w sumie zbierałem tysiąc sto. Nie miałem szans ich odpracować. Czekają mnie dożywocie w Mount Justin. Oczywiście szkoła zawiadomiła rodziców.

– Idziemy – powiedział ojciec, no i poszliśmy do łazienki.

Zdjął pas z haczyka.

– Spuszczaj spodnie i majtki – powiedział.

Niczego nie spuściłem. Sam wyciągnął rękę i jednym szarpnięciem odpiął mi pasek, a potem spodnie, i zdarł je ze mnie. Ściągnął mi slipy. Poczulem pierwsze uderzenie pasa: ten sam co zawsze huk jak od wystrzału, ten sam ból.

– Wykończysz własną matkę! – wrzasnął ojciec.

I znów mnie uderzył. Ale łyzy jakoś nie chciały mi popłynąć. Oczywiście miałem dziwnie suche. Przyszło mi do głowy, żeby go zabić. Musiał być na to jakiś sposób. Wiedziałem, że za kilka lat dam radę pobić go na śmierć. Ale chciałem go dorwać teraz, natychmiast. Tego łachmytę. Na pewno

mnie tylko adoptował. Znowu poczułem uderzenie. Zabo-
łało, ale przestałem się bać. I znów dostałem pasem. Już mi
się nie mąciło w oczach. Wyraźnie widziałem całą łazienkę.
Ojciec chyba coś wyczuł, bo zaczął walić jeszcze mocniej,
raz za razem, ale im dłużej mnie bił, tym mniej czułem. Tak
jakby to on był bezradny, a nie ja. Coś się stało, coś się
zmieniło. W końcu przestał, cały zdyszany. Usłyszałem, że
odwiesza pas. Ruszył w stronę drzwi. Odwróciłem się.

– Hej – powiedziałem.

Obrócił się i spojrzał na mnie.

– Uderz mnie jeszcze parę razy, to może ci się humor
poprawi.

– Nie waż się do mnie mówić tym tonem! – odparł.

Patrzyłem na niego. Widziałem zwały cielska pod bro-
dą i na karku. Widziałem żałosne zmarszczki i fałdy. Twarz
miał zmęczoną, jakby ulepioną z różowego kitu. Był w sa-
mym podkoszulku, który marszczył mu się na obwisłym
brzuchu. W oczach już nie ta furia co dawniej. Patrzył
gdzieś w bok, nie mógł wytrzymać mojego spojrzenia. Wi-
docznie coś się stało. Wiedziały o tym nawet ręczniki, prze-
źroczyta zasłona od prysznic, lustro, wanna i muszla. Oj-
ciec odwrócił się i wyszedł z łazienki. Zrozumiał. To było
moje ostatnie lanie. Z jego ręki.

Rozdział 28

W ogólniaku czas szybko mijał. Gdzieś na przełomie ósmej i dziewiątej klasy wysypał mi się trądzik. Wielu chłopaków go wtedy dostało, ale żaden nie miał takich pryszczycy jak ja. Bo ja miałem potworne. Byłem najcięższym przypadkiem trądziku w Los Angeles. Wągry i pryszczycy pokrywały mi całą twarz, plecy, szyję i częściowo pierś. Stało się to akurat wtedy, kiedy zacząłem sobie wyrabiać pewną pozycję jako twardziel, jeden z przywódców. Dalej byłem twardy, ale trądzik wszystko zmienił. Musiałem się odsunąć. Patrzyłem na ludzi z boku, jakbym oglądał spektakl. Tylko że to inni występowali na scenie, a ja byłem jednoosobową publicznością. Z dziewczynami nigdy nie szło mi łatwo, ale odkąd dostałem trądziku, w ogóle przestało iść. Oddzieliła mnie od nich jeszcze większa przepaść. A niektóre były takie piękne. Te ich sukienki, włosy, oczy, i to, jak stały w grupkach. Przejść się po południu ulicą z którąś z nich, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Myślę, że bardzo by mnie to wtedy cieszyło.

W dodatku miałem w sobie coś takiego, że raz po raz musiałem narobić sobie kłopotów. Nauczyciele ani mi nie

ufali, ani mnie nie lubili. A już zwłaszcza nauczycielki. Nigdy nie mówiłem niczego niestosownego, ale moja „ogólna postawa” była podobno nie do przyjęcia. Chodziło o to, jak siadam rozwalony na krześle, i o tak zwany „ton”. Zarzucano mi, że robię bezczelne miny, chociaż wcale sobie z tego nie zdawałem sprawy. W czasie lekcji często kazano mi wyjść z klasy albo posyłano mnie do gabinetu dyrektora. A dyrektor za każdym razem robił to samo. Miał w swoim gabinecie budkę telefoniczną. Kazał mi w niej stać. Wiele godzin przestałem w tej budce, i to przy zamkniętych drzwiach. Do czytania miałem tylko „Poradnik Domowy dla Pań”. Specjalnie trzymano tam to narzędzie tortur. Ale ja i tak czytałem wszystkie kolejne numery. Miałem nadzieję, że może chociaż w ten sposób dowiem się czegoś o kobietach.

Do końca szkoły uzbierałem chyba z pięć tysięcy punktów karnych, ale i tak zdałem. Nauczyciele chcieli się mnie pozbyć. Stałem na dworze w kolejce uczniów, którzy gęsiego wchodzili do auli. Byliśmy ubrani w tandetne togi i czapeczki – strój, który kolejne roczniki absolwentów przekazywały następnym. Jeden za drugim przechodziliśmy przez scenę. Słysząc było wywoływane nazwiska. Cholernie dużo szumu, i to tylko dlatego, że skończyliśmy ogólniak. Orkiestra grała szkolny hymn:

O, Mount Justin, o, Mount Justin,
Wpołtaś nam idee szczytne.
Serca biją jak szalone,
a niebo jest całe błękitne...

Staliśmy w szeregu, czekając, aż przyjdzie nasza kolej, żeby przemaszerować przez scenę. Na widowni siedzieli rodzice i koledzy.

– Zaraz puszcze pawia – powiedział któryś chłopak.

– Idziemy z gówna w gówno, tylko jeszcze gorsze – dodał inny.

Dziewczyny poważniej traktowały ten cały cyrk. Właśnie dlatego niezupełnie im ufałem. Miałem wrażenie, że są nie po tej stronie co trzeba. Że one i szkoła śpiewają na jedną nutę.

– Można się załamać – powiedział jeden chłopak.

– Zapaliłbym.

– Masz, pal...

Ktoś podał mu papierosa. Zaczęliśmy go palić w czterech czy pięciu. Zaciągnąłem się i wypuściłem dym przez nos. Nagle zobaczyłem, że idzie Wagner Kędzior.

– Rzućcie peta! – powiedziałem. – Idzie ten kaprawiec!

Wagner od razu podszedł do mnie. Był ubrany w ten swój szary dres, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, i przy wszystkich następnych okazjach. Stał przede mną.

– Pewnie ci się zdaje, że jak skończyłeś szkołę, to już mi się wymknąłeś – powiedział. – Nie myśl sobie! Przez całe życie będę ci deptał po piętach. Dopadnę cię choćby na końcu świata!

Spojrzałem na niego bez słowa i zaraz sobie poszedł. Ta jego okolicznościowa mówka tylko wzmocniła moją pozycję. Chłopcy pomyśleli, że skoro tak mu cholernie podpadłem, to widocznie mam coś większego na sumieniu. Ale tylko im się tak zdawało. Wagner po prostu miał świra.

Byliśmy coraz bliżej drzwi do auli. Już nie tylko słysze-
liśmy wywoływane nazwiska i oklaski, ale widzieliśmy pu-
bliczność.

W końcu przyszła moja kolej.

– Henry Chinaski! – powiedział dyrektor do mikrofonu.

Wszedłem na scenę. Nikt nie bił braw. Tylko jakaś
litościwa dusza parę razy klasnęła.

Na scenie stały krzesła dla świeżo upieczonych absol-
wentów. Siedzieliśmy na nich i czekaliśmy. Dyrektor palnął
mowę o amerykańskich szansach i sukcesach. Kiedy wresz-
cie skończył, orkiestra zagrała hymn Mount Justin. Ucznio-
wie, rodzice i przyjaciele wstali i mieszały się w jeden tłum.
Chodziłem po sali i się rozglądałem. Moich rodziców ni-
gdzie nie było. Sprawdziłem. Przeszedłem się parę razy i do-
kładnie się rozejrzałem.

No i dobra. Obejdzie się, przecież jestem twardziel.
Zdjąłem przedpotopową czapkę i tokę i oddałem ją face-
towi, który stał na końcu przejścia między fotelami. Był to
woźny. Złożył tokę w kostkę, żeby czekała do następnego
roku.

Wszedłem na dwór, chociaż wszyscy jeszcze zostali
w auli. Ale dokąd mogłem pójść? Miałem jedenaście cen-
tów w kieszeni. Wróciłem pod stary adres.

Rozdział 29

Właśnie na początku tamtego lata, a dokładnie w czerwcu 1934 roku, przed kinem w Chicago zastrzelono Johna Dillingera. Nie miał szans. Widać kostucha go namierzyła. Więcej niż rok przedtem padły banki. Skończyła się prohibicja i mój ojciec znowu pił piwo Eastside. Ale najgorsze było to, że Dillinger połknął kulę. Wielu ludzi bardzo go podziwiało, więc jego śmierć wszystkich załamała. Roosevelt był prezydentem. Wygłaszał w radiu przyjacielskie pogadanki. Wszyscy ich słuchali. Ten to dopiero umiał mówić. Zaczął wprowadzać w życie różne programy, żeby ludzie wzięli się do pracy. Ale dalej było fatalnie. A ja dostawałem coraz gorszych pryszczycy, takich wrzodów, że w pale się nie mieści.

We wrześniu miałem pójść do gimnazjum Woodhaven, ale ojciec się uparł, że będę chodził do Chelsey.

– Słuchaj – powiedziałem. – Chelsey to już inna dzielnica. Za daleko.

– Zrobisz, jak ci mówię. Zapiszesz się do Chelsey.

Wiedziałem, dlaczego chce, żebym chodził do Chelsey.

To była szkoła dla bogatych. Ojciec miał świra. Wciąż mu się marzyło bogactwo. Kiedy Glaca się o tym dowiedział, postanowił też pójść do Chelsey. Nie mogłem się go pozbyć, tak samo jak pryszczycy.

Pierwszego dnia pojechaliśmy do szkoły na rowerach. To było coś okropnego. Większość tamtych chłopaków, przynajmniej ze starszych klas, miała własne auta, często nowe kabriolety, i to wcale nie czarne ani granatowe, bo takie najczęściej bywają samochody, tylko jaskrawożółte, zielone, pomarańczowe albo czerwone. Siedzieli w tych swoich bryczkach przed szkołą, a dziewczyny podchodziły po kilka i dawały się wozić. Wszyscy byli fajnie ubrani, chłopaki i dziewczyny też, mieli swetry, zegarki i najmodniejsze buty. Wydawali się bardzo dorośli, dostojni i w ogóle lepsi. A ja chodziłem w koszuli uszytej przez matkę, w wystrzępionych spodniach, znoszonych butach, cały pryszczaty. Ci z własnymi autami nie musieli się przejmować trądzikiem. Byli bardzo przystojni, wysocy i czysti, mieli białe zęby i nie myli włosów mydłem. Wyglądało na to, że wiedzą coś, czego ja nie wiem. Czyli znowu wylądowałem na dnie.

Ponieważ wszyscy inni mieli samochody, Glaca i ja wstydziliśmy się naszych rowerów. Zostawialiśmy je w domu i drałowaliśmy piechotą w obie strony, razem prawie dziesięć kilometrów. Zabieraliśmy do szkoły drugie śniadania w papierowych torbach. Ale dla tamtych nawet szkolny bufet był nie dość dobry. Jeździli z dziewczynami do barów, puszczali płyty w szafach grających i się śmiali. Zmierzali prosto na Uniwersytet Południowej Kalifornii.

Wstydziłem się, że jestem taki pryszczaty. W Chelsey mieliśmy do wyboru gimnastykę i przysposobienie wojskowe. Wybrałem to drugie, żeby się nie przebierać w kostium gimnastyczny, bo nie chciałem pokazywać ludziom tych swoich pryszczycy. Ale zniechęciłem mundur, który za to musiałem nosić. Od wełnianej koszuli wrzody jeszcze gorzej mi się jątrzyły. A w mundurach chodziliśmy od poniedziałku do czwartku włącznie. W piątki wolno nam się było ubierać zwyczajnie.

Uczyliśmy się obchodzić z bronią. Musieliśmy zdawać egzaminy ze sztuki wojennej i innych bzdur. Maszerowaliśmy dookoła boiska. Ćwiczyliśmy musztrę. Machanie karabinem w czasie musztry to nie było zajęcie dla mnie. Miałem wrzody na ramionach. Czasem po komendzie „na ramię broń” któryś mi pękał i krew przemiękała przez koszulę. Ale koszula była z grubej wełny, więc plama nie rzucała się w oczy i wcale nie kojarzyła się z krwią.

Powiedziałem o tym matce. Podszyła mi ramiona koszuli białym płótnem, ale to tylko trochę pomogło.

Kiedyś przyszedł do nas na inspekcję jakiś oficer. Wy-rwał mi karabin i zajrzał w lufę, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej kurzu. Z powrotem wcisnął mi broń do rąk i zauważył plamę krwi na moim prawym ramieniu.

– Chinaski! – warknął. – Z twojego karabinu wycieka olej!

– Tak jest.

Jakoś dobrnąłem do końca semestru, ale pryszczycy mia-łem coraz gorsze, wielkie jak kasztany. Pokrywały mi całą twarz. Okropnie się ich wstydziłem. W domu stawałem

czasem przed lustrem w łazience i wyciskałem któryś przyszcz. Żółta ropa tryskała na lustro. Wyciskałem też białe wągry. Myśl, że noszę w sobie to całe świństwo, w jakiś makabryczny sposób mnie fascynowała. Ale wiedziałem, jak trudno jest ludziom znosić mój widok.

W szkole musiano chyba powiedzieć ojcu, że dalej tak być nie może, bo z końcem semestru mnie wypisał. Leżałem w łóżku, a rodzice smarowali mnie różnymi maściami. Było wśród nich jakieś śmierdzące brązowe mazidło. Ojciec szczególnie je sobie upodobał. Strasznie mnie piekło. Kazał mi trzymać je na skórze znacznie dłużej, niż zalecano w receptcie. Któregoś wieczoru uparł się, żebym przez kilka godzin nie zmywał maści. Zacząłem krzyczeć. Pobiegłem do łazienki, nalałem pełną wannę wody i z trudem zmyłem maść. Zdążyła mi spalić twarz, plecy i pierś. Całą noc przesiedziałem na brzegu łóżka. Nie mogłem się położyć.

Ojciec wszedł do mojego pokoju.

– Chyba mówiłem, że masz nie zmywać maści!

– Popatrz, co mi się od niej stało – odparłem.

Weszła matka.

– Ten skurczybyk po prostu nie chce wyzdrowieć – powiedział do niej ojciec. – Za jakie grzechy urodził mi się taki syn?

Matka straciła posadę. Ojciec codziennie rano jeździł gdzieś samochodem, niby to do pracy.

– Jestem inżynierem – twierdził. Zawsze chciał być inżynierem.

Załatwiono mi wizytę w szpitalu okręgowym. Dostałem podłużną białą kartę. Wziąłem ją ze sobą i wsiałem do

tramwaju numer siedem. Bilet kosztował siedem centów, cztery żetony – ćwierć dolara. Wrzuciłem żeton i poszedłem na tył wagonu. Wizytę miałem wyznaczoną na wpół do dziewiątej.

O parę ulic dalej wsiadła kobieta z małym chłopcem. Ona była gruba, a on mógł mieć ze cztery lata. Usiedli tuż za mną. Spojrzałem w okno. Ruszyliśmy. Fajnie się jechało tą siódmką. Tramwaj zdrowo posuwał, a na dworze świeciło słońce.

– Mamusiu, co się temu panu stało w twarz? – spytał chłopczyk.

Kobieta nie odpowiedziała.

Chłopiec powtórzył pytanie.

W końcu mały wrzasnął na całe gardło:

– Mamo! Co mu się stało w twarz?

– Cicho bądź! Nie wiem, co mu się stało w twarz!

Z izby przyjęć posłano mnie na trzecie piętro. Pielęgniarka z za biurka zapisała moje nazwisko i kazała usiąść. Pod ścianami stały naprzeciw siebie dwa długie rzędy zielonych metalowych krzeseł. Siedzieli na nich Meksykanie, a także biali i czarni. Żadnych Azjatów. Nie było nic do czytania. Niektórzy pacjenci mieli gazety z poprzedniego dnia. Byli tam ludzie w każdym wieku, chudzi i grubi, niscy i wysocy, starzy i młodzi. Nikt z nikim nie rozmawiał. Wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych. Pielęgniarki chodzili w tę i z powrotem, czasem przeszła jakaś pielęgniarka, ale lekarze się nie pokazywali. Minęła godzina, potem druga. Nie wywołano ani jednego nazwiska. Wstałem, żeby poszukać kranu z wodą do picia. Zajrzałem do kilku gabinetów. Nigdzie ani lekarzy, ani pacjentów.

Podszedłem do biurka. Pielęgniarka patrzyła w grubą księgę z wpisanymi nazwiskami. Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Doktor Menen jeszcze nie przyszedł – powiedziała i zaraz odłożyła.

– Przepraszam panią.

– Tak?

– Lekarzy jeszcze nie ma. Mogę przyjść później?

– Nie.

– Ale przecież nikogo jeszcze nie ma.

– Lekarze odbywają wizyty domowe.

– Ale ja mam numerkę na wpół do dziewiątej.

– Wszyscy tu mają numerkę na wpół do dziewiątej.

W kolejce siedziało czterdzieści parę osób.

– I tak jestem na liście, więc jakbym przyszedł za parę godzin, to może wtedy będą już lekarze.

– Jak teraz sobie pójdziesz, to automatycznie stracisz numerkę i będziesz musiał przyjść jutro.

Wróciłem na swoje krzesło. Nikt oprócz mnie nie protestował. Prawie nic się nie działo. Czasem przechodziło korytarzem kilka roześmianych pielęgniarek. Za którymś razem pchały przed sobą wózek inwalidzki z jakimś mężczyzną. Miał grubo obandażowane obie nogi, a po tej stronie głowy, którą widziałem, brakowało mu ucha. Zamiast niego ział czarny otwór z przegródkami, całkiem jakby wszedł tam pająk i upłół pajęczynę. Upływała godzina za godziną. Minęło południe. I znowu godzina. Dwie godziny. Siedzieliśmy i czekaliśmy. Nagle ktoś powiedział:

– Idzie doktor!

Lekarz wszedł do jednego z gabinetów i zamknął za sobą drzwi. Patrzyliśmy, co będzie. Ale znowu nic się nie działo. Do gabinetu weszła pielęgniarka. Słyszeliśmy, jak się śmieje. Potem wyszła. Minęło jeszcze pięć minut. Dzie sięć. Z gabinetu wyszedł lekarz z planszetą w ręce.

– Martinez? – rzekł pytającym tonem. – José Martinez?

Stary, chudy Meksykanin wstał i ruszył w stronę lekarza.

– Martinez? Jak się czujesz, staruszk?

– Chory jestem, panie doktorze... Chyba umrę...

– No to wchodź...

Martinez długo nie wracał. Wziąłem do ręki gazetę, którą ktoś wyrzucił, i spróbowałem poczytać. Ale myślałem o tym samym co wszyscy: jeżeli Meksykanin wyjdzie z gabinetu, to ktoś będzie następny.

Nagle Martinez wrzasnął.

– AAAAAAAAAA! AAAAAAAAAA! NIE! NIE! AAAAAA! LITOŚCI! BOŻE! NIECH PAN PRZESTANIE!

– No, przecież to nie boli... – powiedział lekarz.

Martinez znowu krzyknął. Do gabinetu wbiegła pielęgniarka. Zapadła cisza. Widzieliśmy tylko czarny cień półotwartych drzwi. Potem do gabinetu wbiegł pielęgniarz. Martinez zagulgotał, jakby się dusił. Wywieźli go na wózku. Dwoje pielęgniarzy przepchało go przez cały korytarz i przez drzwi wahadłowe. Martinez leżał pod prześcieradłem, ale widać jeszcze żył, bo nie zakryli mu twarzy.

Lekarz przez dziesięć minut siedział w gabinecie, nim znowu wszedł z planszetą.

- Jefferson Williams? – powiedział.
- Nikt się nie odezwał.
- Czy jest tu Jefferson Williams?
- Nie było odpowiedzi.
- Mary Blackthorne? Cisza.
- Harry Lewis?
- Tak, panie doktorze?
- Proszę do gabinetu.

Strasznie wolno to szło. Lekarz przyjął jeszcze pięciu pacjentów. Potem wyszedł z gabinetu, stanął przy biurku, zapalił papierosa i przez kwadrans rozmawiał z pielęgniarką. Wyglądał na bardzo inteligentnego człowieka. Prawy policzek ciągle mu drgał. Był rudy, ze szpakowatymi pasemkami. Co chwila zdejmował okulary i z powrotem je wkładał. Przyszła druga pielęgniarka z filiżanką kawy. Lekarz upił łyk i trzymając w jednej ręce filiżankę, drugą pchnął wahadłowe drzwi i znikł.

Rejestratorka wyszła zza biurka, trzymając w ręku nasze podłużne białe karty. Zaczęła wywoływać nazwiska. Każdy, kto się zgłosił, dostawał z powrotem swoją kartę.

– Na dziś koniec przyjęć. Kto chce, może przyjść jutro. Pora wizyty odbita jest na karcie.

Spojrzałem na swoją kartę. Miałem się zgłosić wpół do dziewiątej.

Rozdział 30

Na drugi dzień miałem fart. Wywołali moje nazwisko. Trafiłem na innego lekarza. Rozebrałem się i usiadłem na brzegu stołu. Lekarz skierował na mnie lampę, z której padało ostre białe światło, i zaczął badanie.

– Hmm, hmhhh – mruknął lekarz. – He, he...

Milczałem.

– Dawno to masz?

– Już parę lat. Coraz bardziej się pogarsza.

– Aha.

Dalej mnie oglądał.

– Połóż się na brzuchu. Zaraz wracam.

Minęło trochę czasu i nagle w gabinecie pojawił się cały tłum ludzi, sami lekarze. Przynajmniej na takich wyglądali. Mówili też jak lekarze. Skąd się wzięli? Myślałem, że w szpitalu okręgowym prawie nie ma doktorów.

– *Acne vulgaris*. Od początku praktyki nie widziałem cięższego przypadku!

– Fantastyczne!

– Nie do wiary!

– Spójrz, co ma na twarzy!

– A na szyi!

– Przed chwilą zbadałem młodą dziewczynę z *acne vulgaris*. Całe plecy miała w pryszczach. Płakała. Jak ja sobie znajdę mężczyznę? Do końca życia będę miała blizny na plecach. Chyba się zabiję! A popatrzcie na tego chłopaka! Gdyby go zobaczyła, zrozumiałaby, że naprawdę nie ma na co narzekać!

„Ty chuju głupi – pomyślałem. – Nie wiesz, że wszystko słyszę?”.

Co trzeba zrobić, żeby zostać lekarzem? Czyżby do tego fachu przyjmowali byle kogo?

– Śpi?

– A bo co?

– Jest taki spokojny.

– Nie, chyba nie śpi. Śpisz, chłopcze?

– Tak.

Puszczali to ostre białe światło po kolei na różne części ciała.

– Połóż się na plecach.

Obróciłem się na wznak.

– Patrzcie, ma nawet wyciek w ustach!

– Jakie zastosujemy leczenie?

– Chyba elektryczną igłę...

– Tak, oczywiście, elektryczną igłę...

– Tak, igłę.

Decyzja zapadła.

Rozdział 31

Nazajutrz siedziałem w korytarzu na zielonym blaszanym krześle i czekałem, aż mnie wezwą. Naprzeciwko siedział facet, który miał coś z nosem. Ten nos był strasznie czerwony i cały jakby obzarty, gruby i długi, i jakiś rozrośnięty. Widać było, że miejscami warstwa rośnie na warstwie. Coś podrażniło ten nos, no i zaczął rosnać. Raz spojrzałem, a potem już starałem się nie patrzeć. Nie chciałem, żeby ten człowiek się kapnął, że patrzę. Wiedziałem, jak się musi czuć z czymś takim. Ale wyglądał, jakby nic mu nie przeszkadzało. Był gruby i prawie spał na krześle.

Wywołano go pierwszego.

– Pan Sleeth?

Trochę się pochylił, ale nie wstał.

– Sleeth? Richard Sleeth?

– Eee? Tak, jestem...

Wstał i ruszył w stronę lekarza.

– Jak się pan czuje, panie Sleeth?

– Dobrze... Nic mi nie jest...

Wszedł za lekarzem do gabinetu.

W godzinę później przyszła moja kolej. Przeszedłem za lekarzem przez drzwi wahadłowe do pokoju większego niż gabinet. Lekarz kazał mi się rozebrać i usiąść na stole. Spojrzał na mnie.

– Ciężki przypadek, co?

– No.

Trącił palcem pryszcz na moich plecach.

– Boli?

– No.

– Spróbujemy ściągnąć trochę tej ropy – powiedział lekarz.

Usłyszałem, że włącza jakieś urządzenie. Rozległ się szum motorka. Poczulem zapach gorącego oleju.

– Gotów? – spytał.

– No.

Wbił mi w plecy elektryczną igłę i zaczął wiercić. Ból był okropny. Wypełnił cały pokój. Poczulem, że krew spływa mi po plecach. Lekarz wyciągnął igłę.

– Weźmiemy się za następną – powiedział.

Znowu dźgnął mnie igłą. Po chwili wyciągnął ją i wbił w trzeci wrzód. Dwaj faceci weszli do pokoju, stanęli i zaczęli się gapić. Pewnie lekarze. Znowu poczułem igłę w plecach.

– Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak znosił klucie – rzekł jeden z gapiów.

– Nic po nim nie widać – dodał drugi.

– Idźcie szczytać w dupę pielęgniarki, co? – powiedziałem.

– Nie tym tonem, synu!

Igła wbiła mi się w plecy. Nie odpowiedziałem.

– Chłopak najwyraźniej jest bardzo rozgoryczony...

– No tak, oczywiście.

Wyszli.

– To są wysokiej klasy specjaliści – rzekł mój lekarz.

– Nie powinieneś ich obrażać.

– Ściągaj pan tę ropę – powiedziałem.

No i ściągał. Igła strasznie się rozgrzała, ale nie prze-
rywał. Oczyszczył mi całe plecy i zajął się klatką piersiową.
Położyłem się na stole, żeby mógł mi przelecieć szyję
i twarz.

Weszła pielęgniarka. Lekarz wydał jej polecenia.

– Panno Ackerman, proszę dokładnie oczyścić te...
krosty, do samego dna. Nawet kiedy pojawi się krew, pro-
szę dalej wyciskać. Mają być idealnie oczyszczone.

– Tak jest, doktorze Grundy.

– A potem kwarcówka. Na początek dwie minuty
z każdej strony.

– Tak jest, doktorze Grundy.

Poszedłem za siostrą Ackerman do innego gabinetu.
Kazała mi się położyć na stole. Wzięła ligninę i zaczęła
wyciskać pierwszy wrzód.

– Boli?

– Da się wytrzymać.

– Biedaku...

– Niech się siostra nie przejmuje. Tylko mi głupio, że
siostra ma ze mną taką robotę.

– Biedaku...

Panna Ackerman była pierwszą osobą, która okazała
mi odrobinę współczucia. Dziwnie się poczułem. Była mała
i pulchna, tuż po trzydziestce.

– Chodzisz do szkoły? – spytała.

- Nie, musieli mnie wypisać.
- Panna Ackerman mówiła, nie przestając wyciskać.
- Co robisz po całych dniach?
- Leżę w łóżku.
- To straszne.
- Nie, właśnie że fajnie jest tak leżeć.
- Teraz boli?
- Niech siostra śmiało wyciska.
- Niby czemu tak fajnie jest leżeć w łóżku przez cały dzień?
- Nie muszę nikogo oglądać.
- Dobrze ci z tym?
- Jeszcze jak.
- Co robisz, kiedy tak leżysz?
- Trochę słucham radia.
- A czego słuchasz?
- Muzyki, no i jak ludzie mówią.
- Myślisz o dziewczynach?
- Jasne. Ale to nie dla mnie.
- Nie trzeba tak mówić.
- Układam tabele samolotów. Codziennie o tej samej porze przelatują nad domem. Mam je dokładnie namierzone. Na przykład wiem, że któryś przeleci piętnaście po jedenastej rano. Jakies dziesięć po jedenastej zaczynam słuchać, czy silniki już nie buczą. Staram się usłyszeć je jak najwcześniej. Czasem mi się zdaje, że słyszę, a kiedy indziej nie jestem pewien i dopiero potem zaczynam je rzeczywiście słyszeć, z bardzo daleka. Buczą coraz głośniej. W końcu robi się piętnaście po jedenastej, samolot przelatuje nad domem i wtedy ryczy najgłośniej, jak w ogóle może.

- Codziennie tak słuchasz samolotów?
- Tak, chyba że jestem tutaj.
- Obróć się – powiedziała panna Ackerman.

Zrobiłem, jak kazała. Gdzieś obok zaczął się drzeć jakiś mężczyzna. Zaraz za ścianą był oddział dla psychicznych. Facet darł się na całe gardło.

- Co mu robią? – spytałem.
- Pysznic – odparła panna Ackerman.
- I dlatego tak się drze?
- Tak.
- Ja jestem bardziej chory niż on.
- Nieprawda.

Polubiłem tę pannę Ackerman. Spojrzałem na nią ukradkiem. Twarz miała okrągłą i co prawda niezbyt ładną, ale w pielęgniarskim czepku włożonym na bakier wyglądała bardzo dziarsko. Najbardziej mi się w niej podobały duże piwne oczy. Kiedy zmięła zużytą ligninę i poszła wyrzucić ją do kubła, przyjrzałem się, jaki ma chód. Nie była wprawdzie panną Gredis, wiele widziałem zgrabniejszych kobiet, ale biło od niej jakieś ciepło. Nie myślała bez przerwy o tym, że jest kobietą.

– Jak tylko się uporam z twoją twarzą – powiedziała – wsadzę cię pod kwarcówkę. Następną wizytę masz pojutrze, o ósmej trzydzieści.

Potem już nie rozmawialiśmy.

Kiedy wreszcie skończyła, włożyłem okulary ochronne, a ona włączyła kwarcówkę.

Coś tykało. Leżałem sobie spokojnie. Może to zegar automatycznego wyłącznika tak tykał, a może stopniowo się rozgrzewał metalowy klosz. Wszystko razem przynosiło

mi ulgę i uspokajało, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że lekarze niepotrzebnie się wysilają, bo w najlepszym razie do końca życia zostaną mi blizny od igły. A to jeszcze nie było najgorsze. Najbardziej wkurzało mnie to, że właściwie sami nie wiedzą, co ze mną zrobić. Wyczuwałem to wahanie w ich dyskusjach, w całym zachowaniu. Byli niepewni siebie, skrępowani, a równocześnie obojętni i znużeni. W sumie nie grało roli, co mi zaaplikują. Ale jakiś sposób musieli wymyślić, wszystko jedno jaki, bo co by z nich byli za lekarze, gdyby nic ze mną nie próbowali zrobić?

Eksperymentowali na biedakach i kiedy kuracja działała, to ją potem stosowali, lecząc bogaczy. A jeśli nie działała, mogli dalej eksperymentować, bo biedaków nigdy nie brakowało.

Maszynka dała znak, że dwie minuty dobiegły końca. Panna Ackerman weszła, kazała mi się obrócić, włączyła lampę i sobie poszła. Była najmilszą osobą, jaką poznałem w ciągu ostatnich ośmiu lat.

Rozdział 32

Wiercenie i wyciskanie trwało całe tygodnie, ale skutek był niewielki. Pryszczki znikwały, a na ich miejsce pojawiały się następne. Kiedy nikt nie widział, często stawałem przed lustrem i zdumiewałem się, że człowiek może aż tak zbrzydnąć. Z niedowierzaniem patrzyłem na własną twarz, a potem odwracałem się tyłem i oglądałem wrzody na plecach. Byłem wstrząśnięty. Nic dziwnego, że ludzie się na mnie gapili, nic dziwnego, że dogadywali. To nie był zwykły trądzik, ale jątrzące się, nieubłagane, nabrzmiące ropą wrzody. Czułem się napiętnowany, jakby mnie specjalnie wybrano, żebym tak wyglądał. Rodzice nigdy ze mną nie rozmawiali o tej przypadłości. Dalej byli na zasiłku. Matka co rano wychodziła szukać zajęcia, a ojciec wyjeżdżał niby to do pracy. W każdą sobotę wszyscy bezrobotni dostawali w supermarketach darmowe racje żywnościowe, głównie konserwy. Nie wiadomo dlaczego, prawie zawsze było to siekane mięso z jarzynami. Ciągłe jedliśmy tę siekaninę. I sandwiche z kiełbasą. I kartofle. Matka nauczyła się robić placki kartoflane. Rodzice nie odbierali swoich darmowych przy-

działów w najbliższym sklepie, bo się bali, że spotkają sąsiadów, a wtedy się wyda, że biorą zasilek tak jak wszyscy. Szli więc zawsze trzy kilometry przez Washington Boulevard, do sklepu o parę ulic za Crenshaw. Był to kawał drogi. Wracali spoceni, z torbami pełnymi puszek z siekaniną, kartofli, kiełbasy i marchwi. Ojciec nie jeździł autem, bo oszczędzał benzynę, żeby móc jeździć do tej swojej niewidzialnej firmy. Inni ojcowie nie byli tacy jak on. Spokojnie przesiadywali na gankach albo grali w podkowy na pustej parceli.

Lekarz dał mi białą maść do twarzy. Kiedy zasychała na pryszczach, wyglądałem jak w masce z gipsu. Niewiele ta kuracja dawała. Pewnego popołudnia siedziałem sam w domu i cały się smarowałem maścią. Stałem w samych majtkach i próbowałem sięgnąć ręką do chorych miejsc na plecach. Wtem usłyszałem czyjeś głosy. Był to Glaca i jego kumpel Jimmy Hatcher, pyskаты przystojniak.

– Henry! – zawołał Glaca. Usłyszałem, że coś mówi do Jimmy’ego. Wszedł na ganek i zaczął walić w drzwi. – Hank! To ja, Glaca! Otwórz!

„Ty cholerny głupku – pomyślałem. – Nie rozumiesz, że nie chcę nikogo widzieć?”

– Hank! Hank! To my. Glaca i Jim!

Dalej się dobijał do frontowych drzwi.

Usłyszałem, że mówi do Jima:

– Słuchaj, on jest w domu! Widziałem, jak chodził po pokoju!

– Ale nie odpowiada.

– Lepiej wejdźmy. Może coś mu się stało.

„Ty głupku – pomyślałem. – Zakolegowałem się z tobą. Zakolegowałem się z tobą, kiedy nikt inny nie mógł cię znieść. Ładnie mi się odplącasz!”

Po prostu w pale się nie mieściło. Pobiegłem do hallu i schowałem się w szafie, nie domykając drzwi. Byłem pewien, że tamci nie wejdą do domu. Ale weszli. Tylnymi drzwiami, których nie zamknąłem na klucz. Słyszałem, jak chodzą po pokojach.

– Musi gdzieś tu być – powiedział Glaca. – Widziałem, jak coś się ruszało za firanką...

„Jezus Maria – pomyślałem – czy ja już nie mam prawa swobodnie się ruszyć? Przecież to mój dom”.

Siedziałem skulony w ciemnej szafie. Nie mogłem dopuścić, żeby mnie w niej znaleźli.

Nagle otworzyłem drzwi na całą szerokość i wyskoczyłem. Tamci dwaj stali w pokoju od ulicy. Podbiegłem do nich.

– WYPIERDALAĆ STĄD, ALE JUŻ!

Spojrzeli na mnie.

– WYPIERDALAĆ! NIE MIELIŚCIE PRAWA TU WEJŚĆ! WYPIERDALAĆ, BO ZABIJĘ!

Zaczęli uciekać w stronę kuchennych drzwi.

– JAZDA STĄD! NO, DALEJ, JAZDA, BO POZABIJAM!

Słyszałem, jak wybiegli na ulicę. Nie miałem ochoty patrzeć w ślad za nimi. Poszedłem do swojego pokoju i wyciągnąłem się na łóżku. Po co do mnie przyszli? Co mogli dla mnie zrobić? Nie było nic do zrobienia. Nie było o czym gadać.

W kilka dni później matka nie poszła rano szukać pracy, a ja też akurat nie miałem wizyty w szpitalu, więc oboje

zostaliśmy w domu. Wcale mi to nie odpowiadało. Wolałem się z nikim nie zderzać. Słyszałem, jak matka chodzi po pokojach, i siedziałem w swojej sypialni. Wrzody dokuczały mi jak nigdy. Sprawdziłem tabele lotów. Dochodziło dwadzieścia po pierwszej. Niedługo miał przelecieć samolot. Zacząłem nasłuchiwać. Spóźniał się. Była już pierwsza dwadzieścia, a on dopiero nadlatywał. Kiedy przeleciał nad domem, zapisałem mu trzy minuty spóźnienia. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Usłyszałem, że matka otwiera.

– Dzień dobry, Emily.

– Dzień dobry, Katy.

Przyszła moja babka. Była już bardzo stara. Słyszałem ich głosy, ale nie mogłem rozróżnić słów. No i całe szczęście. Przegadały chyba z pięć czy dziesięć minut, a potem usłyszałem, że idą przez hall w moją stronę.

– Jeszcze was wszystkich pochowam – rzekła babka.

– Gdzie jest ten chłopiec?

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich matka z babką.

– Jak się masz, Henry – powiedziała babka.

– Babcia przyszła, żeby ci pomóc – dodała matka.

Babka przyniosła ze sobą dużą torbę. Położyła ją na komodzie i wyjęła ogromny srebrny krucyfiks.

– Babcia przyszła, żeby ci pomóc, Henry...

Babka miała rekordową ilość brodawek i była jeszcze grubsza niż ostatnim razem. Sprawiała wrażenie osoby nieniszczalnej, nieśmiertelnej. Tak się zestarzała, że już jej się właściwie nie opłacało umierać.

– Henry – powiedziała matka. – Połóż się na brzuchu.

Obróciłem się na brzuch, a babka się nachyliła. Widziałem kątem oka, że macha nade mną tym wielkim kru-

cyfiksem. Już kilka lat wcześniej uznałem, że religią nie ma co sobie głowy zawracać. Jeżeli głosiła prawdę, to albo robiła z ludzi głupków, albo tylko głupki nabierały się na ten bajer. A jeżeli była jednym wielkim kłamstwem, to głupki tym bardziej wychodziły na głupków.

Miałem jednak do czynienia z własną babką i matką. Postanowiłem ustąpić, niech mają. Krucyfiks kiwał się w tę i z powrotem nad moimi plecami, nad moimi wrzodami, nade mną całym.

– Boże – modliła się babka. – Wygnaj diabła z ciała tego biednego chłopca! Spójrz na te wszystkie krosty! Chora jestem, kiedy na nie patrzę! Boże, spójrz na nie! To diabeł, Panie Boże, diabeł mieszka w ciele tego chłopca. Wygnaj tego diabła, Panie Boże!

– Wygnaj diabła, Panie Boże! – powtórzyła matka.

„Potrzebny mi jest dobry lekarz, a nie ten cyrk – pomyślałem. – Co te kobiety napadło? Dlaczego nie chcą mnie zostawić w spokoju?”

– Boże – powiedziała babka. – Czemu pozwalasz, żeby diabeł mieszkał w ciele tego chłopca? Nie widzisz, jaką to diabłu sprawia radość? Popatrz na te krosty, Boże! Mdli mnie, kiedy na nie patrzę! Są takie wielkie, czerwone i nabrzmiałe!

– Wygnaj diabła z ciała mojego chłopca! – wrzasnęła matka.

– Zbaw nas ode złego! – wrzasnęła babka.

Szturchnęła mnie krucyfiksem w sam środek pleców, dźgnęła prosto w krzyże. Trysnęła krew. Czuję, jak płynie – z początku ciepła, potem zimna. Obróciłem się na wznak i usiadłem.

- Co babcia robi, do kurwy nędzy? – spytałem.
- Robię dziurę, żeby Pan Bóg miał którądy wygnąć diabła! – odparła.
- Dobra – powiedziałem. – Wynście się stąd obie, i to szybko. Żebym nie musiał dwa razy powtarzać.
- On dalej jest opętany! – stwierdziła babka.
- WYPIERDALAĆ MI STĄD, DO JASNEJ CHOLERY! – zawyłem.

Wyszły, wstrząśnięte i rozczarowane. Zamknęły za sobą drzwi.

Poszedłem do łazienki, urwałem kawał papieru toaletowego i zacząłem tamować krew. Po chwili odjąłem papier od rany i obejrzałem. Cały był przesiąknięty krwią. Urwałem drugi kawałek i przyłożyłem sobie do pleców. Wyjąłem jodynę. Parę razy usiłowałem sięgnąć tamponem do rany i ją zajodynować. Ciężko mi to szło. W końcu dałem spokój. No bo przecież się nie zdarza, żeby człowiek dostał zakażenia pleców, prawda? Kto nie umrze, ten żyć będzie. Te głąby ze szpitala jeszcze nie wymyśliły, jak amputować plecy.

Wróciłem do swojego pokoju, wlałem do łóżka i podciągnąłem kołdrę pod brodę. Utkwiłem wzrok w suficie i zacząłem mówić do siebie.

„No dobra, Boże, powiedz, że naprawdę jesteś. To tyś mnie tak urządził. Chcesz mnie sprawdzić. A jeżeli to ja ciebie sprawdzę? Jeżeli powiem, że cię wcale nie ma? Wystawiłeś mnie na najcięższą z prób, dając mi takich rodziców i te wrzody. I chyba ją zaliczyłem. Jestem twardszy od ciebie. Gdybyś teraz zaraz zszedł tu do mnie na dół, tobym ci splunął w twarz, jeżeli w ogóle masz twarz. A jak u ciebie

ze sraniem? Ksiądz nam tego nie powiedział. Kazał tylko nie wątpić. A niby w co? Wydaje mi się, że za bardzo się na mnie uwzięłeś, więc mówię ci, złaż, teraz ja cię sprawdzę!”.

Czekałem. Nic się nie działo. Czekałem na Boga. Czekałem bardzo długo. Chyba w końcu zasnąłem.

Nigdy nie sypiałem na wznak. Ale kiedy się tym razem zbudziłem, leżałem, o dziwo, na plecach. Nogi zgięte w kolanach i przykryte kocami wyglądały jak pagórek. Nagle zauważyłem, że z tego pościelowego pagórka spogląda na mnie dwoje oczu. Tylko że te oczy były takie ciemne, że aż czarne, i zupełnie bez wyrazu... patrzyły na mnie spod kaptura, czarnego kaptura z wysokim szpicem, takiego jakie noszą ci z Ku-Klux-Klanu. Nie spuszczały ze mnie wzroku, te ciemne, puste oczy, i nic nie mogłem na to poradzić. Byłem szczerze przerażony.

„To Bóg – pomyślałem – tylko że on miał podobno wyglądać zupełnie inaczej”.

Ja też patrzyłem mu prosto w oczy, żeby wreszcie przestał się na mnie gapić, ale nic to nie dało. Ruszyć się z miejsca też jakoś nie mogłem. A ten stwór siedział i wyglądał zza pagórka, który tworzyły moje kolana przykryte kocem. Chciałem mu uciec. Chciałem, żeby sobie poszedł. Był potężny, czarny i groźny.

Siedział tak chyba całymi godzinami i nic, tylko się we mnie wgapiał.

A potem nagle znikł...

Leżałem w łóżku i myślałem.

Nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę Bóg tak się przebrał. Byłby to tani greps.

Oczywiście tylko mi się tak przywidziało.

Zastanawiałem się nad tym przez dziesięć czy piętnaście minut, a potem wstałem i sięgnąłem po brązowe pudełeczko, które przed wieloma laty dostałem od babki. Leżały w nim zwitki papieru z cytatami z Biblii. Każdy tkwił w osobnej przegródce. Zadawało się pytanie i wyciągało któryś zwitek, a cytat miał być odpowiedzią. Próbowałem tego kiedyś i okazało się, że nie działa. Ale postanowiłem spróbować jeszcze raz. Spytałem pudełeczka:

– Co to miało znaczyć? Co te oczy chciały mi powiedzieć?

Wyciągnąłem paperek i rozwinąłem. Był to maleńki kawałek sztywnego kartonu. Przeczytałem napis:

BÓG CIĘ OPUŚCIŁ.

Zwinąłem karteluszek i wetknąłem go z powrotem do przegródki. Nie uwierzyłem, że brązowe pudełeczko powiedziało prawdę. Położyłem się do łóżka i zacząłem myśleć. Odpowiedź wydała mi się zbyt prosta, zbyt bezpośrednia. Nie uwierzyłem. Pomyślałem, że jak się trochę poonanizuję, to może mi to przywróci poczucie rzeczywistości. Ale dalej nie mogłem uwierzyć. Wstałem i zacząłem rozwijać wszystkie papierki z brązowego pudełeczka. Szukałem tego, na którym było napisane: BÓG CIĘ OPUŚCIŁ. Rozwinąłem wszystkie po kolei, ale nie znalazłem tego napisu. Przeczytałem je co do jednego i nigdzie nie było napisane: BÓG CIĘ OPUŚCIŁ. Zwinąłem je z powrotem i poodkładałem do przegródek w brązowym pudełeczku.

A krosty miałem coraz gorsze. Regularnie jeździłem siódmką do szpitala okręgowego i pomału się zakochiwałem w pannie Ackerman, czyli w siostrze od wyciskania.

Nigdy się nie dowiedziała, ile przybywało mi odwagi za każdym razem, kiedy szarpał mną ból. Choć krew i ropa były czymś potwornym, siostra zawsze traktowała mnie po ludzku i z dobrocią. Moja miłość do niej nie miała nic wspólnego z seksem. Chciałem po prostu, żeby panna Ackerman spowiła mnie swoją krochmaloną bielą i żebyśmy we dwójkę raz na zawsze zniknęli ze świata. Ale ona nigdy tego nie zrobiła. Zanadto była praktyczna. Przypominała mi tylko o następnej wizycie.

Rozdział 33

Kwarcówka pstryknęła i sama się wyłączyła. Wyleżałem się pod nią na obie strony. Zdjąłem okulary ochronne i zacząłem się ubierać. Panna Ackerman weszła do gabinetu.

– Czekaj – powiedziała. – Jeszcze się nie ubieraj.

„Co ona chce mi zrobić?” – pomyślałem.

– Usiądź na brzegu stołu.

Usiadłem, a ona zaczęła mi smarować twarz maścią. Maść była gęsta jak masło.

– Lekarze postanowili zastosować nową terapię. Będziemy ci bandażować twarz, żeby chore miejsca lepiej się oczyszczały.

– Panno Ackerman, co się stało z tym człowiekiem, który miał taki wielki nos? Ten nos, co tak rósł i rósł?

– Pytasz o pana Sleetha?

– O tego człowieka z wielkim nosem.

– To był pan Sleeth.

– Dawno go nie widziałem. Wyzdrowiał?

– Nie żyje.

– Umarł przez ten nos.

– Popełnił samobójstwo.

Panna Ackerman dalej smarowała mnie maścią.

Nagle usłyszałem, że na sąsiednim oddziale jakiś mężczyzna krzyczy:

– Joe, gdzie jesteś? Joe, obiecałeś, że wrócisz! Joe, gdzie się podziałeś?

Krzyczał głośno, ze smutkiem i bólem.

– W tym tygodniu codziennie tak krzyczy – powiedziała panna Ackerman – a Joe po niego nie przyjdzie.

– Lekarze nie umięją mu pomóc?

– Nie wiem. Wszyscy pacjenci prędzej czy później się uspokajają. Przytrzymaj palcem ten plaster, to cię zabandażuję. O, właśnie tak. O to szło. Puść. Doskonale.

– Joe! Joe, obiecałeś, że wrócisz! Joe, gdzie się podziałeś?

– Przyciśnij jeszcze ten plasterek. Tutaj. Tutaj masz trzymać. Dokładnie cię opatulę! O, tak. Teraz umocuję opatrunki.

Wreszcie skończyła.

– Dobrze, możesz się ubrać. Zobaczymy się pojutrze. Do widzenia, Henry.

– Do widzenia, panno Ackerman.

Ubrałem się, wyszedłem z gabinetu i wolno ruszyłem korytarzem. W hallu stał automat z papierosami, który miał wmontowane lustro. Przejrzałem się w nim. Wyglądałem super. Całą głowę miałem w bandażach. Zrobili mnie na biało. Widać było tylko oczy, usta i uszy, a na czubku głowy sterczało kilka kępek włosów. Byłem *schowany*. Coś fantastycznego. Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się po hallu. Siedziało w nim kilku pacjentów, którzy na stałe byli

w szpitalu. Czytali gazety i czasopisma. Poczujęm, że jestem bardzo niezwykłą i trochę złowrogą postacią. Nikt nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób tak się urządziłem. Kraksa. Pojedynek na śmierć i życie. Morderstwo. Pożar. Nikt nic nie wiedział.

Wyszedłem przed szpital i stanąłem na chodniku. Słyszałem, jak tamten facet woła:

– Joe! Joe! Gdzie jesteś, Joe!

Joe wciąż nie przychodził. Nie opłacało się ufać ludziom. To była dla nich za wysoka poprzeczka.

W tramwaju usadowiłem się w tyle wagonu i paliłem papierosa za papierosem. Ludzie gapili się na faceta, któremu pet sterczał spomiędzy bandaży, ale ja to olewałem. Kiedy byłem taki schowany, w ich oczach widziałem więcej lęku niż zgrozy. Miałem nadzieję, że już na zawsze zostanę w tej kryjówce.

Wysiadłem na pętli. Pomału robił się wieczór. Stałem na rogu Washington Boulevard i Westview Avenue, żeby się pogapić na ludzi. Ci nieliczni, co jeszcze mieli pracę, wracali do domów. Wiedziałem, że mój ojciec też niedługo przyjedzie z tej swojej roboty na niby. Ja tam nie miałem pracy. Ani nie chodziłem do szkoły. W ogóle nic nie robiłem. Z papierosem w ustach stałem na rogu, cały obandażowany. Czujęm, że jestem twardziel, niebezpieczny facet. Wiedziałem to i owo o życiu. Sleeth popełnił samobójstwo. Ja tam nie miałem zamiaru się zabijać. Już prędzej kogoś bym zabił, najchętniej parę osób. Przynajmniej odszedłbym w towarzystwie. Pokazałbym ludziom, że lepiej ze mną nie szurać.

Jakaś kobieta szła w moją stronę. Miała fajne nogi. Popatrzyłem jej prosto w oczy, a potem przyjrzałem się nogom. Kiedy mnie minęła, zacząłem się gapić na jej dupę, po prostu ją chłonałem. Uczyłem się jej na pamięć, tej dupy i szwów w jedwabnych pończochach.

Bez bandaży w życiu by mi taki numer nie przeszedł.

Rozdział 34

Na drugi dzień znowu leżałem w łóżku. Znudziło mi się czekanie na samoloty, więc wziąłem duży, żółty zeszyt, w którym miałem niby odrabiać lekcje. Był zupełnie czysty, nienapoczęty. Poszukałem pióra i wróciłem do łóżka. Najpierw zrobiłem parę rysunków. Rysowałem kobiety w butach na obcasach, siedzące z nogą założoną na nogę, w podciągniętych spódnicach,

Potem zacząłem pisać. Pisałem o niemieckim lotniku z pierwszej wojny światowej. Nazywał się Baron von Himmlen i latał czerwonym fokke-wulfem. Inni piloci go nie lubili. Nigdy z nimi nie rozmawiał. Pił i latał sam jeden. Nie zawracał sobie głowy kobietami, chociaż wszystkie się w nim kochały. Był ponad takie sprawy, a zresztą nie miał czasu, bo musiał zestrzeliwać samoloty aliantów. Zestrzelił już sto dziesięć, a do końca wojny było jeszcze daleko. Wszyscy znali jego czerwonego fokke-wulfa, na którego mówił „Październikowy Ptak Śmierci”. Znali go nawet żołnierze nieprzyjacielscy, bo często nad nimi przelatywał, ścigał na siebie ich ogień i ze śmiechem zrzucał im na małych spado-

chronikach butelki szampana. Kiedy alianci próbowali atakować Barona von Himmlena, to nigdy w mniej niż pięć samolotów naraz. Baron był brzydki. Twarz miał całą w bliznach. Ale każdy, kto mu się dobrze przyjrzał, musiał zauważyć, jaki jest w gruncie rzeczy piękny. Można to było poznać po jego oczach, sposobie bycia, po jego odwadze i zawziętym samotnictwie.

Pisałem stronę za stroną, o tym jak Baron się strzelał z myśliwcami aliantów, jak strącał trzy albo cztery, a potem wracał do bazy, chociaż z jego czerwonego fokke-wulfa prawie nic nie zostawało po takim starciu. Kiedy tylko klapnął na pas startowy, w biegu wyskakiwał z samolotu i szedł prosto do baru, łapał za flaszkę, siadał przy osobnym stoliku i wychylał kieliszek za kieliszkiem. Nikt nie pił tak jak Baron. Inni piloci stali przy barze i tylko się przyglądali. Pewnego razu któryś spytał:

– Co jest z tobą, Himmlen? Wydaje ci się, że jesteś dla nas za dobry?

Powiedział to Willie Schmidt, kawał byka, największy chłop w dywizjonie. Baron wychylił kieliszek, odstawił go na stół, podniósł się z krzesła i wolnym krokiem ruszył w stronę Williego, który stał przy barze. Inni piloci się odsunęli.

– O Jezu, co ty? – spytał Willie.

Baron zbliżał się pomału, nie odzywając się ani słowem.

– O Jezu, Baronie, przecież ja tylko żartowałem! Jak mamę kocham! Baronie, niech pan posłucha... Baronie... to nie ja jestem pańskim wrogiem w tej wojnie! Baronie!

Baron wypuścił prawy prosty. Nawet nie było widać, kiedy jego pięść śmignęła w powietrzu. Grzmotnęła w twarz

Williego, który od tego uderzenia przeleciał nad barem, przeturlał się na drugą stronę! Trzasnął całym ciałem w lustro, jak wystrzelony z armaty, aż butelki pospadały z półek. Baron wyjął cygaro i zapalił, wrócił do swojego stolika, usiadł i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek. Odtąd już nikt go nie zaczepiał. Williego podnieśli z podłogi za barem. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę.

Baron strącał samolot za samolotem. Nikt go nie rozumiał. Nie wiadomo, gdzie się nauczył tak świetnie latać i robić wszystkie inne dziwne rzeczy. Na przykład bić się na pięści. I skąd ma ten zgrabny chód. A Baron był nie do przejścia. Tylko czasem miewał pecha. Któregoś dnia strącił trzy samoloty aliantów i kiedy włókł się z powrotem w pokiereszowanym fokke-wulfie, lecąc tuż nad okopami wroga, dostał szrapnelem. Urwało mu prawą dłoń. Ale jakoś doleciał do bazy. Odtąd zamiast prawej dłoni miał stalową protezę. Wcale nie był przez to gorszym pilotem. A faceci przy barze tym bardziej liczyli się ze słowami.

Baron miał jeszcze potem wiele przygód. Dwa razy rozbił się na ziemi niczyjej, ale zawsze zdołał jakoś się doczołgać do swojej eskadry, półżywy, przedzierając się przez zasieki, pod ogniem wroga, w blasku rac. Towarzysze broni nieraz myśleli, że już nie żyje. Kiedyś nie wracał przez osiem dni. Ósmego dnia inni piloci siedzieli przy barze i rozmawiali o tym, jaki z Barona był nadzwyczajny człowiek. Nagle patrzą, a tu sam Baron stoi w drzwiach, ma ośmiodniowy zarost, mundur podarty i ubłocony, oczy czerwone i mętne, i błyska stalową protezę w świetle barowych lamp. Wszedł i powiada:

– Dawać mi tu whisky, bo jak nie, to rozpirzę tę budę!

Baron dalej wyczyniał różne niesamowite rzeczy. Zajął mi pół zeszytu. Fajnie było pisać o Baronie von Himmlenie. Przecież każdy kogoś potrzebuje, a ja nikogo nie miałem, więc musiałem kogoś wymyślić i zrobić z niego człowieka, takiego jaki być powinien. Nie było w tym żadnego udawania ani oszukaństwa. Na odwrót: gdybym nikogo takiego nie wymyślił i bez niego radził sobie z własnym życiem, dopiero byłbym oszustem.

Rozdział 35

Bandáže pomogły. Okazało się, że w szpitalu okręgowym znaleziono wreszcie sposób. Wrzody przyschły. Nie znikły, ale trochę się spłaszczyły. Tylko że na ich miejsce wyskakiwały nowe, więc trzeba mnie było znowu kłuć i bandażować.

Seanse z igłą wlokły się bez końca. Trzydziesty drugi zabieg, trzydziesty szósty, trzydziesty ósmy. Już się nie bałem igły. Właściwie nigdy mnie nie przerażała. Byłem tylko na nią wściekły, ale w końcu i ta wściekłość mi przeszła. Nie została nawet rezygnacja, tylko wstręt: że też akurat na mnie popadło, że też ci lekarze nie umieją znaleźć żadnego sposobu. Okazali się tak samo bezradni jak ja – z tą różnicą, że to ja byłem ofiarą. Oni mogli sobie pójść do domu, zająć się własnym życiem i zapomnieć o mnie, a ja zostawałem z tą samą twarzą co przedtem.

To i owo jednak się zmieniło. Ojciec znalazł pracę. Zdał egzamin na strażnika w muzeum okręgowym. Zawsze dobrze mu szło na egzaminach. Bardzo lubił matematykę i historię. Po tym egzaminie miał wreszcie dokąd jeździć

rano. W muzeum były trzy wolne etaty strażników i jeden dostał mój ojciec.

Wiadomość ta jakoś dotarła do szpitala okręgowego.

– Henry, to twój ostatni zabieg – oświadczyła pewnego dnia panna Ackerman. – Będę za tobą tęsknić.

– Akurat – powiedziałem. – Niech pani da spokój. Będzie pani za mną tęsknić tak samo jak ja za tą igłą!

Ale ona naprawdę jakoś dziwnie się zachowywała. Wielkie oczy co chwila jej wilgotniały. Słyszałem, jak wyciera nos.

– Co ci jest, Janice? – spytała któraś pielęgniarka.

– Nic. Nie przejmuj się mną.

Biedna panna Ackerman. Miałem piętnaście lat i kochałem się w niej, a do tego cały byłem w pryszczach i żadne z nas nie miało ruchu.

– Ostatni raz kładziesz się pod kwarcówką – powiedziała. – Połóż się na brzuchu.

– Teraz już wiem, jak pani na imię – odparłem. – Janice. Ładne imię. Pasuje do pani.

– Cicho bądź.

Zobaczyłem ją jeszcze raz, kiedy rozległ się pierwszy brzęczyk. Odwróciłem się na wznak, Janice z powrotem włączyła kwarcówkę i wyszła. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Ojciec nie wierzył w lekarzy, którym trzeba płacić.

– Każe ci taki naszczać do probówki, bierze od ciebie forsy i jedzie do żonki w Beverly Hills – mówił.

Mimo to raz posłał mnie do lekarza. Lekarz miał głowę okrągłą jak piłka do kosza, tylko jakaś dziwna, bo z dwoj-

giem oczek. Cuchnęło mu z ust. Nie lubiłem swojego ojca, a konował nie był ani trochę lepszy. Kazał mi nie jeść nic smażonego i pić sok z marchwi. No i tyle.

Ojciec zdecydował, że od najbliższego semestru mam wrócić do szkoły.

– Wyłażę ze skóry, żeby upilnować eksponatów przed złodziejami – powiedział. – Wczoraj jeden czarnuch stłukł gablotę i podpierdolił jakieś cenne monety. Ale złapałem skurwysyna. Razem sturlaliśmy się ze schodów. Przytrzymałem drania, póki nie przybiegli inni strażnicy. Dzień w dzień narażam życie, a ty sobie siedzisz na dupie i robisz naburmuszone miny. Niby z jakiej racji? Chcę, żebyś został inżynierem. A jak masz nim zostać, skoro po całym domu walają się zeszyty z babami w spódnicach zadartych do samej dupy? Nic więcej nie umiesz narysować? Dlaczego nie rysujesz kwiatów, gór ani oceanu? Wracasz do szkoły i już!

Piłem sok z marchwi i czekałem, aż mnie z powrotem zapiszą. Straciłem tylko jeden semestr. Wprawdzie nie wyleczyłem się z pryszczu, ale nie były to już te same okropne wrzody co przedtem.

– Wiesz, ile mnie kosztuje sok z marchwi? Codziennie przez pierwszą godzinę zarabiam akurat na ten twój cholerny soczek!

Odkryłem wypożyczalnię książek. Nazywała się La Cienega. Zapisalem się i dostałem kartę. Wypożyczalnia mieściła się obok starego kościoła na Adams Boulevard. Była malutka. Pracowała w niej tylko jedna bibliotekarka. Ta to

miała klasę. Obliczałem ją najwyżej na trzydzieści osiem lat, ale włosy zdążyły jej już całkiem posiwieć. Czesłała je w ciasny, nisko upięty kok. Miała spiczasty nos i ciemnozielone oczy. Nosiła okulary w drucianej oprawce. Wydawało mi się, że wszystko wie.

Chodziłem po wypożyczalni i próbowałem wybrać sobie jakieś książki. Wyciągałem z półek jedną po drugiej. Ale ciężko się naciąłem. Wszystkie były okropnie nudne. Całe stronicie pełne słów, które nic mi nie mówiły. A jeśli nawet, to tak rozwlekłe, że zanim przyszło co do czego, miałem dosyć i było mi wszystko jedno. Zaglądałem po kolei do różnych książek. Byłem pewien, że któraś jest dla mnie.

Codziennie chodziłem do biblioteki na rogu Adams Boulevard i La Brea. Codziennie widywałem tę swoją bibliotekarkę – surową, nieomylną i milczącą. Dalej robiłem przegląd na półkach. Autorem pierwszej książki z prawdziwego zdarzenia był niejaki Upton Sinclair. Pisał krótkimi, gniewnymi zdaniami. Czuło się w nich prawdziwy gniew. Pisał o chicagowskich świniarniach. Wszystko mówił wprost, bez owijania w bawełnę. Potem upatrzyłem sobie jeszcze jednego pisarza. Nazywał się Sinclair Lewis. Napisał *Ulicę Główną*. Zdierał z ludzi kolejne warstwy hipokryzji. Ale miał trochę za mało pasji.

Przychodziłem po następne książki. Każdą czytałem w jeden wieczór.

Pewnego dnia chodziłem po wypożyczalni, zerkając na tę swoją bibliotekarkę, i raptem wypatrzyłem książkę pod tytułem *Kłaniaj się drewnu i kamieniowi*. Spodobał mi się ten tytuł, bo przecież wszyscy bijemy takie pokłony. Nareszcie coś z ogniem! Otworzyłem. Autorka nazywała się Jo-

sephine Lawrence. Znaczy kobieta. Nie szkodzi. Wiedza dostępna jest wszystkim. Zacząłem kartkować. Ale w środku znalazłem to samo co w tylu innych książkach: mdłą nudę i mętniactwo. Odstawiłem to na miejsce. A skoro już wyciągnąłem rękę w tamtą stronę, sięgnąłem po sąsiednią książkę. Napisał ją jakiś inny Lawrence. Otworzyłem na chybił trafił i przeczytałem kawałek, coś o pianiście. Z początku czułem fałsz. Ale czytałem dalej. Pianista czymś się dręczył. Miał różne myśli. Mroczne i dziwne. Zdania tłoczyły się, jakby ktoś krzyczał, ale nie było to żadne: „Joe, gdzie się podziałeś?”, tylko raczej: „Joe, gdzie się podział cały świat?”. Ach, ten Lawrence od stłoczonych, krwawych zdań. Nikt nigdy mi o nim nie mówił. Czemu go przede mną ukrywano? Dlaczego nie miał żadnej reklamy?

Czytałem książkę dziennie. Przeczytałem wszystkie książki D.H. Lawrence’a z tamtej wypożyczalni. Bibliotekarka zaczęła mi się dziwnie przyglądać, kiedy wypisywała rewery.

– Jak się czujesz? – pytała.

Robiło mi się wtedy przyjemnie. Jakbym się z nią prześpał. Przeczytałem wszystkie książki D.H. Lawrence’a, a one z kolei zaprowadziły mnie do innych pisarzy. Do poetki podpisującej się inicjałami H.D. I do najmłodszego z Huxleyów – tego, co się przyjaźnił z Lawrence’em. Książki leciały na mnie jak lawina. Każda sprowadzała następną. Pojawił się Dos Passos. Właściwie nienadzwyczajny, ale znośny. Jego trylogia o Stanach Zjednoczonych zajęła mi więcej niż dzień. Dreiser zupełnie na mnie nie działał. Za to Sherwood Andersen – owszem. I wreszcie przyszedł Hemin-

gway. Ale odjazd! Ten to dopiero umiał pisać. Czytałem go z radością. Nareszcie jakieś słowa, które nie są nudne, słowa, od których szumi w mózgu. Jeśli człowiek pozwolił sobie na to, żeby poczuć ich czar, mógł się uwolnić od bólu i odnaleźć nadzieję, cokolwiek by go spotkało.

A tymczasem w domu...

– CAPSTRZYK! – darł się ojciec.

Zacząłem czytać Rosjan, Turgieniewa i Gorkiego. Ojciec zarządził, że od ósmej wieczór światła mają być pogaszone. Wcześniej się kładł, bo chciał pójść do pracy rzeźki i sprawny. W domu nie mówił o niczym innym, tylko o tej swojej „posadzie”. Zaczynał o niej mówić, ledwo wieczorem wszedł za próg, i rozmawiał tak z matką, póki nie poszli spać. Uparł się, że musi awansować.

– Dostyc już tego cholernego czytania! Capstrzyk! – wołał.

Ci ludzie, którzy tak całkiem znikąd wkroczyli w moje życie, byli dla mnie jedyną szansą. Nikt inny do mnie nie mówił.

– Już gaszę – odpowiadałem.

Brałem lampę, włożyłem z nią pod kołdrę, wciągałem tam poduszkę, opierałem o nią książkę i czytałem dalej. Wszystkie książki po kolei czytałem pod kołdrą. Po jakimś czasie lampa się nagrzewała i robiło się strasznie gorąco. Nie miałem czym oddychać, więc trochę unosiłem kołdrę.

– Co to takiego? Gdzieś się jeszcze świeci? Zgasiłeś, Henry?

Szybko spuszczałem kołdrę i czekałem, aż ojciec zacznie chrapać.

Turgieniew pisał bardzo serio, ale czasem mnie śmieszył, bo prawda przy pierwszym zetknięciu może budzić śmiech. Kiedy ktoś zna tę samą prawdę co ty i zwraca się z nią specjalnie do ciebie, to po prostu jest super.

Tak właśnie czytałem te swoje książki – po nocach, pod kołdrą, przy pałającej lampie. Czytałem te wspaniałe zdania, dusząc się z gorąca. Czułem się jak zaczarowany.

A mój ojciec miał wreszcie pracę i też znalazł w tym czar...

Rozdział 36

Wróciłem do szkoły. Nic się tam pod moją nieobecność nie zmieniło. Jeden rocznik zdał maturę, ale jego miejsce zajął następny – tacy sami kolesie w drogich ciuchach i sportowych autach. Właściwie nigdy się z żadnym nie zetknąłem. Omijali mnie, jakbym nie istniał. Byli zajęci dziewczynami. Do chłopaków z biednych rodzin w ogóle się nie odzywali – ani w klasie, ani po lekcjach.

Mniej więcej tydzień po powrocie powiedziałem ojcu przy kolacji:

– Wiesz, nie bardzo sobie radzę w szkole. Dajesz mi pięćdziesiąt centów na tydzień. Nie mógłbyś podnieść do dolara?

– Całego dolara?

– Tak.

Nabrał na widelec kilka plasterów marynowanego bu-raka i włożył do ust. Kiedy pogryzł i przełknął, spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi.

– Jakbym ci dawał dolara, toby wyniosło pięćdziesiąt dwa dolary rocznie, czyli każdego roku musiałbym poświę-

cić więcej niż tydzień pracy, żebyś ty miał tę swoją tygodniówkę.

Nie odpowiedziałem. „Boże – pomyślałem – przecież jak człowiek tak rozumuje i oblicza każdą rzecz z osobna, to właściwie nie może kupić nawet chleba, melona, gazety, mąki, mleka, kremu do golenia. Po prostu na nic go nie stać”. Ale już się nie odezwałem, bo kogo się nienawidzi, tego się o nic nie prosi...

Dziani kolesie pomykali w swoich autach, lubili ruszać pełnym gazem, hamować z piskiem opon, drzeć gumy. Wozy błyszczały w słońcu, a dziewczyny stawały przy nich grupkami. Lekcje to była dla tych chłopaków jedna wielka zgrywa, wszyscy wybierali się przecież na uniwersytet, więc szkołę po prostu odbębniali, a i tak mieli same dobre stopnie, chociaż rzadko widywało się ich z książką w ręku; widać było tylko, jak drą gumy, ruszając spod krawężnika autami pełnymi piszczących, roześmianych dziewczyn. A ja miałem pięćdziesiąt centów w kieszeni i nawet nie umiałem prowadzić samochodu.

Tymczasem ubodzy, zagubieni i idioci wciąż się do mnie garnęli. Upatrzyłem sobie jedno miejsce pod trybunami i zawsze tam chodziłem z drugim śniadaniem. Ledwo wyjąłem z papierowej torby dwie kanapki z kiełbasą, zaraz któryś przyłaził i pytał:

– Hank, mogę zjeść razem z tobą?

– Spierdalaj, ale już! Żeby nie musiał dwa razy powtarzać!

Już i tak dosyć takich modeli się do mnie przyczepiło. Nie przepadałem ani za Głacą, ani za Jimmym Hatcherem,

ani za tym chudym, tyczkowatym Żydem, Abe Mortensonem. Mortenson nigdy nie dostał innego stopnia niż A, chociaż należał do najgorszych idiotów w szkole. Był jakiś okropnie pokręcony. Strasznie się ślinił, ale zamiast spluwać na ziemię, pluł w ręce. Nie wiem dlaczego. Nigdy go nie pytałem. W ogóle nie lubiłem pytać. Tylko na niego patrzyłem z obrzydzeniem. Kiedyś wracaliśmy razem ze szkoły i właśnie wtedy się dowiedziałem, dlaczego ma najlepsze stopnie. Ledwo przyszedł do domu, matka zaganiała go do książek i nie pozwalała się ruszyć z miejsca. Kazała mu w kółko czytać wszystkie podręczniki, strona po stronie.

– Musi zdać egzaminy – powiedziała mi. Nawet nie pomyślała, że książki mogą się mylić. Albo że i tak wszystko jedno. Zresztą nie wiem. Jej też nie pytałem.

Powtórzyło się to samo co w podstawówce. Zebrali się wokół mnie słabi zamiast silnych, brzydcy zamiast pięknych, przegrani zamiast zwycięzców. Wyglądało na to, że muszę wędrować przez życie w ich towarzystwie, bo taki już mój los. Ale tym się tak znów bardzo nie przejmowałem. Gorsze było to, że te nudne przygłupki czują do mnie taki nieodparty pociąg. Byłem jak kawał gówna, który wabi muchy, a nie kwiat nęcący motyle i pszczoły. Chciałem żyć w pojedynkę. Najbardziej lubiłem być sam, czułem się wtedy jakiś czystszy, ale nie umiałem splewić tej hałastry. Może było przesądzone, że mają nade mną panować, bo są moimi ojcami w przebraniu. Ledwo wytrzymałem, że tak mi wiszą nad głową, kiedy jem swoją kanapkę z kiełbasą.

Rozdział 37

Ale zdarzały się też dobre chwile. Mój dawny kolega z sąsiedztwa, Gene, o rok starszy ode mnie, miał kumpla. Ten kumpel nazywał się Harry Gibson i był początkującym bokserem. Miał już za sobą jedną walkę z zawodowcem, co prawda przegraną. Kiedyś po południu siedziałem u Gene'a i paliliśmy sobie papierosy, a tu nagle idzie Harry Gibson i niesie dwie pary rękawic. Palili z nami jeszcze dwaj starsi bracia Gene'a, Larry i Dan.

Harry Gibson zaczął się stawiać.

– Który ma chęć mnie sprawdzić? – spytał. Nikt się nie odezwał. Larry, najstarszy brat Gene'a, miał ze dwadzieścia dwa lata. Był największy z nas, ale przy tym jakiś nieśmiały, trochę nienormalny. Miał wielką głowę, był niski, krępy i doskonale zbudowany, ale wszystkiego się bał. Spojrzeliśmy na Dana. Dan był następnym w kolejce, bo Larry powiedział:

– Nie, nie chcę się bić.

Dan miał wielki talent muzyczny. Mało brakowało, a dostałby stypendium. Larry spasował, więc Dan włożył rękawice i stanął do walki z Harrym Gibsonem.

Harry Gibson był to rzadki okaz skurwiela, model na wysoki połysk. Nawet jego rękawice w jakiś szczególny sposób lśniły w słońcu. Ruszał się z precyzją, opanowaniem i gracją. Okrążał Dana w tanecznych podskokach. Dan schował się za podwójną gardą i czekał. Gibson trafił go już za pierwszym razem. Trzasnęło jak z karabinu. Po zagrodzie na podwórku łążyły kury. Dwie aż się poderwały w powietrze, kiedy usłyszały ten huk. Dan padł na wznak. Leżał wyciągnięty w trawie. Z rękami rozrzuconymi na boki wyglądał jak Chrystus dla ubogich.

Larry spojrział na niego i powiedział:

– Idę do domu.

Szybko ruszył do drzwi z siatki, otworzył je i wszedł do środka.

Podeszliśmy do leżącego. Gibson stał nad nim i się uśmiechał. Gene schylił się, wziął Dana za głowę i trochę ją podniósł.

– Dan? Nic ci nie jest?

Dan pokręcił głową i pomału usiadł.

– Rany Boga, przy takich piąchach facet powinien mieć pozwolenie na broń. Zdejmijcie mi rękawice!

Gene rozsznurował jedną, a ja drugą. Dan wstał i ruszył w stronę kuchennych drzwi. Szedł jak starzec.

– Idę się położyć – powiedział i znikł za drzwiami.

Harry Gibson podniósł rękawice i spojrział na Gene'a.

– Co powiesz, Gene?

Gene splunął w trawę.

– Co, do cholery? Uparłeś się przetrząść całą rodzinę, czy jak?

– Wiem, Gene, że jesteś mistrz, ale będę cię oszczędzał.

Gene kiwnął głową, a ja zasnuowałem mu rękawice. Umiałem to robić.

Stanęli w pozycji. Gibson okrążył Gene'a, szykując się do ataku. Poszedł najpierw w prawo, potem w lewo. Kicał i kuczał. Nagle dał krok do przodu i zasunął Gene'a lewym prostym. Trafił go równo między oczy. Gene się cofnął, a Gibson za nim. Zapędził go pod sam kurnik, przygwoździł lekkim ciosem z lewej w czoło i rąbnął prawym sierpem w lewą skroń. Gene cofał się wzdłuż siatki ogradzającej kurnik, aż walnął plecami o parkan i zaczął sunąć wzdłuż niego, trzymając podwójną gardę. Ani razu nie spróbował oddać Gibsonowi. Dan wyszedł z domu. W ręku miał kawał lodu zawinięty w ścierkę. Usiadł na schodkach ganku i przyłożył sobie ten kompres do czoła. Gene cofał się wzdłuż parkanu. Harry zapędził go w narożnik między parkanem a garażem i walnął lewym sierpem w brzuch, a kiedy Gene zgiął się wpół, wyprostował go prawym podbródkowym. Nie podobała mi się ta walka. Gibson wcale nie oszczędzał Gene'a, tak jak obiecał. Nagle się podpaliłem i krzyknąłem:

– Przypierdol temu chujowi, Gene! Przecież to cykor! W mordę go!

Gibson opuścił ręce, spojrzał na mnie i podszedł kawałek.

– Coś powiedział, gnoju?

– Dopingowałem swojego zawodnika.

Dan podszedł do Gene'a i zaczął mu ściągać rękawice.

– Mówiłeś, że ktoś tu jest cykor?

– Obiecałeś go oszczędzać, a wcale nie oszczędzasz.

Walisz ile wlezie.

- Czyli oszukuję?
 - Ja tylko mówię, że jesteś niesłowny.
 - Chodźcie no tu i załóżcie temu gnojowi rękawice!
- Gene i Dan podeszli do mnie i zaczęli sznurować.
- Oszczędzaj go, Hank – powiedział Gene. – Pamiętaj, że jest wypruty, bo tyle już się z nami namęczył.

Pewnego pamiętnego dnia Gene i ja walczyliśmy na gołe pięści od dziewiątej rano do szóstej wieczór. Gene nieźle się wtedy spisał. Miałem małe ręce, a z takimi rękami trzeba albo cholernie młócić, albo znać technikę. Nie byłem nadzwyczajny ani technicznie, ani siłowo. Na drugi dzień tułów miałem cały fioletowy, wargi rozbite na płask i kilka obłuzowanych siekaczy. A tu nagle się okazało, że muszę się bić z kimś, kto właśnie załatwił faceta, który wtedy spuścił mi takie lanie.

Gibson zrobił kółko w lewo, w prawo, a potem rzucił się na mnie. Nawet nie zauważyłem, kiedy mnie wałnął lewym prostym. Nie wiem, gdzie oberwałem, ale ten lewy prosty mnie rozłożył. Wcale nie zabołało, a jednak leżałem na ziemi. Wstałem. Jeżeli lewą tak mnie załatwił, to co zrobi prawą? Musiałem coś wymyślić.

Harry Gibson zaczął krążyć w lewo, czyli w moją lewą. Myślał, że pójdę w swoją prawą, a ja tymczasem poszedłem w lewo. Zrobił zdziwioną minę. Kiedy się zwarliśmy, rozpaczliwie wałnąłem lewym sierpowym i trafiłem w górną część skroni. Zdrowo oberwał, a ja super się poczułem, bo jak kogoś raz można trafić, to i za drugim razem się uda.

Staliśmy naprzeciw siebie i nagle Gibson runął na mnie i trzasnął prawym prostym. W ostatniej chwili zrobiłem unik w dół i w bok, najszybciej jak mogłem, więc mnie nie trafił. Jego prawa pięść przeleciała mi nad głową. Przypadłem do niego, wzięłem go w klincz i huknąłem napięstką w podstawę czaszki. Odskokczyliśmy od siebie. Czułem się jak prawdziwy bokser.

– Dasz mi radę, Hank! – wrzasnął Gene.

– Załatw go, Hank! – ryknął Dan.

Doskoczyłem do Gibsona i spróbowałem zahaczyć go prawą. Nie trafiłem, a on skontrował lewą i tak mnie rąbnął w szczękę, że mi w oczach zaświeciło zielono-żółto-czerwono. Zaraz potem wbił mi prawą pięść w brzuch, aż się prawie oparła o mój kręgosłup. Znowu go wzięłem w klincz. Ale już się wcale nie bałem, więc było ekstra.

– Zabiję cię, ty chuju! – powiedziałem.

Potem staliśmy czołem w czoło i już tylko napierdalailiśmy ile weszło. Nie miało to nic wspólnego z boksem. Gibson bił szybko i mocno. Uderzał celniej i mocniej, ale mnie też co jakiś czas udawało się wyprowadzić niezły cios, więc miałem swoją radochę. Im dłużej łomotał, tym mniej mnie bolało. Wciągnąłem brzuch. Podobała mi się ta zabawa. Nagle znaleźli się między nami Gene i Dan. Rozdzielili nas.

– Co jest? – spytałem. – Nie wtrącać się! Jeszcze mu się dobiore do dupy!

– Nie pierdol, Hank – powiedział Gene. – Lepiej zobacz, jak wyglądasz!

No to zobaczyłem. Koszulę z przodu miałem ciemną od krwi. Tu i ówdzie widać było plamy ropy. Od uderzeń

pękło mi kilka wrzodów. Nic podobnego się nie zdarzyło, kiedy się biłem z Genem.

– Drobiazg – stwierdziłem. – Mały pech i tyle. Nic mi nie zrobił. Dajcie mi szansę, to go skoszę.

– Nie, Hank. Jeszcze dostaniesz zakażenia – powiedział Gene.

– No dobra – zgodziłem się. – Jak tak, to ściągnijcie ze mnie, kurwa, ten szpej!

Gene rozsznurował mi rękawice. Dopiero wtedy zauważyłem, że drżą mi dłonie i trochę nawet całe ręce. Włożyłem je do kieszeni. Dan zdjął rękawice Harry'emu.

Harry spojrzał na mnie.

– Nieźle sobie radziłeś, mały – powiedział.

– Dziękuję. No to na razie, chłopaki...

Zrobiłem parę kroków i wyjąłem ręce z kieszeni. Kiedy wyszedłem z bocznej alejki na chodnik, przystanąłem, sięgnąłem po papierosa i wetknąłem go sobie do ust. Wyjąłem zapalniczkę, ale ręce tak mi się trzęsły, że nie dałem rady zapalić. Z wielką nonszalancją pomachałem chłopakom i odszedłem.

Po powrocie do domu przejrzałem się w lustrze. Nieźle, cholera. Pomału zaczynałem wyglądać jak trzeba.

Zdjąłem koszulę i wrzuciłem pod łóżko. Wiedziałem, że muszę jakoś sprać z niej krew. Miałem tylko kilka koszul, więc gdyby jedna znikła, starzy zaraz by się kapnęli. Mimo wszystko czułem, że trafił mi się wreszcie udany dzień, jeden z nielicznych w życiu.

Rozdział 38

Abe Mortensona ledwo tolerowałem, ale był w końcu tylko głupkiem. Głupkowi wiele można wybaczyć, bo cały czas jedzie na jednym biegu i nikogo nie oszukuje. A dopiero oszuści potrafią człowieka naprawdę zdołować. Jimmy Hatcher miał proste czarne włosy i jasną cerę, był niższy ode mnie, ale prosto się trzymał, ubierał się lepiej niż większość z nas i jakoś z każdym umiał się dogadać, jeśli tylko mu na tym zależało. Jego matka była barmanką, a ojciec popełnił samobójstwo. Jimmy ładnie się uśmiechał, pokazując nieskazitelne zęby. Podobał się dziewczynom, chociaż nie miał tyle forsy co ci dziani koleisie. Ile razy go widziałem, zawsze rozmawiał z jakąś dziewczyną. Nie wiem, co im mówił. W ogóle nie miałem pojęcia, co faceci im mówią. Dziewczyny były dla mnie kompletnie nieosiągalne, więc udawałem, że nie istnieją.

Co innego Hatcher. Wiedziałem, że nie jest pedałem, ale ciągle się do mnie przyklejał.

– Jimmy, po co ty właściwie za mną łazisz? Wcale cię nie lubię.

- Coś ty, Hank. Jesteśmy kumple, no nie?
- Mówisz?
- No.

Raz nawet wstał na angielskim i przeczytał wypracowanie pod tytułem „Wartość przyjaźni”, a kiedy czytał, to co chwila na mnie zerkał. Wypracowanie było głupie, kłajstrowate i jak spod sztancy, ale wszyscy bili brawo, kiedy skończył, a ja pomyślałem: „Trudno, ludzie właśnie tak uważają, nic się na to nie poradzi”. W odpowiedzi napisałem wypracowanie pod tytułem „Wartość zupełnego braku przyjaźni”. Nauczyciel nie pozwolił mi przeczytać go w klasie i postawił ledwo D.

Jimmy, Glaca i ja codziennie wracaliśmy razem ze szkoły. (Abe Mortenson na szczęście mieszkał gdzie indziej, więc nie musieliśmy z nim chodzić). Któregoś dnia Jimmy zaproponował:

- Wstąpmy do mojej dziewczyny, to was z nią poznam.
- Po kiego chuja? – spytałem.
- Zobaczysz, że jest fajna – powiedział Jimmy. – Powinieneś ją poznać. Dała mi pomacać.

Znałem z widzenia tę dziewczynę, piękną i zgrabną szatynkę o długich włosach i dużych piwnych oczach. Nazywała się Ann Weatherton. Była cicha. Dziani kolesie próbowali ją rwać, ale nie zwracała na nich uwagi. Ekstra wyglądała.

- Mam klucz do jej domu – powiedział Jimmy. – Wejdziemy i zaczekamy. Późno dzisiaj kończy lekcje.
- Wynudzimy się – stwierdziłem.

- Nie świruj, Hank – rzekł Glaca. – Jak nie pójdziesz z nami, to i tak będziesz tylko siedział w domu i walił konia.
- To też ma swój urok – odparłem.

Jimmy otworzył drzwi własnym kluczem i weszliśmy. Domek był nieduży, czysty i miły. Mały buldog w czarno-białe łaty podbiegł do Jimmy'ego, merdając kikutem ogona.

– Wabi się Bones – powiedział Jimmy. – Uwielbiam mnie. Patrzcie!

Splunął w prawą dłoń, złapał psa za fiuta i zaczął trzeć.

– Co ty, kurwa, robisz? – spytał Glaca.

– Cały czas siedzi uwiązany na podwórku. Nie ma szans się dorwać do żadnej dupy. Trzeba mu ulżyć!

Jimmy tarł wytrwale.

Długi i cienki kutas obrzydliwie szcerwieniiał i zwilgotniał. Wyglądał idiotycznie. Pies zaczął skomleć. Jimmy podniósł głowę i spojrzał na nas, nie odrywając się od pracy.

– Powiedzieć wam, jaką Ann i ja mamy ulubioną piosenkę? „Kiedy późny zmierzch zapada nad ogrodem sąsiada”.

Bones wreszcie dobił do mety. Trysnęła sperma. Jimmy wstał i butem wtarł ją w dywan.

– Któraś dnia zerżnę Ann. Chyba już niedługo. Ona mówi, że mnie kocha. Ja też ją kocham, kocham jej jebaną pizdę.

– Ty chuju – powiedziałem. – Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę.

– Coś ty, Hank, nie mówisz serio – odparł i poszedł do kuchni.

– Ann ma fajną rodzinę. Mieszka ze starymi i z bratem. Jej brat wie, że ją zerznę. Ale nic na to nie poradzi, bo jak mi się zachce, to zrobię z niego mokrą plamę. To gówniarz. Patrzcie!

Jimmy otworzył lodówkę i wyjął butelkę mleka. U nas w domu zamiast prawdziwej lodówki wciąż jeszcze używało się skrzynki z lodem. Widocznie Weathertonowie byli zamozni. Jimmy odpiął rozporek, zdjął z butelki tekturowy kapsel i wetknął do niej fiuta.

– Tylko ciut, ciut. Nawet się nie kapną, że piją moje szczyzny...

Wyciągnął kutasa z butelki, z powrotem założył kapsel, potrząsnął butelką i odstawił ją do lodówki.

– Co my tu jeszcze mamy? O, galaretka. Po kolacji zjedzą na deser galaretkę, a razem z galaretką... – Wyjął salaterkę z lodówki. Wtem usłyszeliśmy, że klucz obraca się w zamku i drzwi się otwierają. Jimmy szybko odstawił galaretkę na miejsce i zamknął lodówkę.

Do kuchni weszła Ann.

– Ann – powiedział Jimmy. – Poznaj moich przyjaciół, Hanka i Glacę.

– Cześć!

– Cześć!

– Cześć!

– To jest Glaca, a ten drugi to Hank.

– Cześć.

– Cześć.

– Cześć.

– Widuję was czasem pod szkołą.

– Aha – powiedziałem. – Często się tam kręcimy. My cię też parę razy widzieliśmy.

– No – przytaknął Glaca.

Jimmy spojrzał na Ann.

– Wszystko gra, kotku? – spytał.

– Tak, Jimmy. Dużo o tobie myślałam.

Przysunęła się do niego. Objęli się i zaczęli się całować. Całowali się o dwa kroki od nas. Jimmy stał do nas przodem, tak że widzieliśmy jego prawe oko. Mrugnął porozumiewawczo.

– No – powiedziałem. – Pora na nas.

– Aha – powiedział Glaca.

Wyszliśmy z kuchni na korytarz, a stamtąd na ulicę. Ruszyliśmy chodnikiem w stronę domu Glacy.

– Ten to się umie urządzać – rzekł Glaca.

– Aha – powiedziałem.

Rozdział 39

Którejś niedzieli Jimmy wyciągnął mnie na plażę. Popływać. Wolałem się nie pokazywać w kąpielówkach, bo miałem całe plecy w pryszczach i bliznach. Byłem nawet nieźle zbudowany, ale nikt nie zwróciłby na to uwagi. Nikt by nie zauważył, że mam nieźłą klatę i świetne nogi.

Nie było nic do roboty, nie miałem pieniędzy, a chłopaki w niedzielę nie grali w piłkę na ulicy. Uznałem, że plaża należy do wszystkich. Wolno mi. Moje blizny i pryszczki nie są sprzeczne z prawem.

Wsiadliśmy na rowery i pojechaliśmy. Do plaży było dwadzieścia kilometrów. Proszę bardzo. Miałem dobre nogi.

Śmignęliśmy z Jimmym do Culver City. Potem zacząłem przyspieszać. Jimmy pedałowal z całej siły, żeby za mną nadążyć. Widziałem, że brak mu tchu. Wyjąłem papierosa, zapaliłem i podsunąłem paczkę Jimmy'emu.

– Zapalisz?

– Nie... dziękuję...

– To lepsze niż strzelanie seriami do ptaków – stwierdziłem. – Powinniśmy częściej urządzać takie wypadki.

Zacząłem mocniej pedałować. Miałem jeszcze mnóstwo siły w zapasie.

– Ekstra – powiedziałem. – Większa frajda niż trzepanie konia!

– Ty, zwolnij trochę!

Obejrzałem się.

– Nie ma to jak wybrać się gdzieś z kumplem rowerami – zawołałem. – Dawaj, dawaj, stary!

Z całej siły nadepnałem na pedały i wyrwałem do przodu. Wiatr wiał prosto w twarz. Dobrze mi było.

– Ty, zaczekaj! NO, CZEKAJ, DO CHOLERY! – wrzasnął Jimmy.

Wybuchnąłem śmiechem i naprawdę dałem gazu. Jimmy został w tyle – o jedną przecnicę, potem dwie, wreszcie o trzy. Nikt nie wiedział, jaki ze mnie zawodnik. Nikt nie wiedział, na co mnie stać. Byłem cudem natury. Słońce rzucało wszędzie żółty blask, a ja wcinałem się w tę żółć jak jakiś szalony nóż na kołach. Mój ojciec był gdzieś w Indiach ulicznym żebrakiem, ale we mnie kochały się wszystkie kobiety świata...

Pełną parą dojechałem do świateł. Przemknąłem między rzędami czekających aut. Teraz już nawet auta zostawiłem w tyle. Ale nie na długo. Jakiś facet z dziewczyną w zielonym dwudrzwiowym wozie dogonił mnie i zaczął jechać równo ze mną.

– Hej, mały!

– Co?

Spojrzałem na kierowcę. Był to dwudziestoparoletni byk z włochatymi łapskami i tatuażem.

– Gdzie tak, kurwa, zapierdalasz? – spytał.

Chciał się popisać przed dziewczyną. Niezła była z niej sztuka. Jej długie włosy blond powiewały na wietrze.

– Pierdol się w dupę, koleś! – odparłem.

– Coś ty powiedział?

– Powiedziałem, pierdol się w dupę!

I pokazałem mu rękę z wyprostowanym środkowym palcem. Facet wciąż jechał równo ze mną.

– Nick, dasz wpierdol temu gnojowi? – spytała dziewczyna.

Nie wyprzedzał mnie ani nie zostawał w tyle.

– Ty, mały – rzekł wreszcie. – Nie dosłyszałem, co powiedziałaś. Byłbyś łaskaw powtórzyć?

– Właśnie, powtórz – powiedziała długowłosa lala blond.

Szlag mnie trafił. Głównie przez nią.

Spojrzałem na tego faceta.

– Dobra – powiedziałem. – Szukasz guza? Jak chcesz, to cię zaraz obsłużę. Hamuj.

Dodał gazu i wyprzedził mnie o parę domów, zatrzymał wóz i pchnął drzwiczki. Kiedy wyskoczył na chodnik, ominąłem go szerokim łukiem. O mało nie wpadłem pod jakiegoś chevroleta. Kierowca nacisnął klakson, a ja skręciłem w boczną uliczkę. Za sobą słyszałem śmiech tego byka od lali blond.

Kiedy tamci odjechali, wróciłem na Washington Boulevard, minąłem kilka przecznic i przy którymś przystanku autobusowym zsiadłem z roweru. Położyłem się na ławce, żeby zaczekać, aż Jimmy mnie dogoni. Widziałem, jak jedzie. Kiedy się przy mnie zatrzymał, udałem, że śpię.

– Hank, nie rób sobie jaj!

– To ty, Jim? Siema!

Na plaży usiłowałem tak jakoś wykręcić, żebyśmy nie weszli w najgorszy tłum. Póki miałem na sobie koszulę, czułem się jak normalny facet, ale kiedy się rozebrałem, wszystko się wydało. Nienawidziłem tych cholernych plażowiczów. Opalali się, kąpali, jedli, spali, gadali albo grali w piłkę, a ja nienawidziłem ich tyłków, twarzy, łokci, włosów, oczu, pępeków i kostiumów kąpielowych.

Wyciągnąłem się na piasku. „Warto by dać w mordę temu pierdolonemu grubasowi – pomyślałem. – Co on, kurwa, wie o życiu?”.

Jimmy położył się obok.

– Chodźmy popływać, co?

– Później – odparłem.

W wodzie było pełno ludzi. Co ta plaża ich tak ciągnie? Dlaczego w ogóle lubią plażę? Nie mają nic lepszego do roboty? Jebane ptasie mózdzki.

– Pomyśl, baby wchodzą do wody i szczają – powiedział Jimmy.

– No, a ty to potem pijesz.

Nie widziałem szans, żeby kiedykolwiek zgrać się z resztą ludzi. A gdybym tak został mnichem? Udawałbym, że wierzę w Boga, mieszkałbym w jakiejś pakamerce, grałbym na organach i na okrągło upijał się winem mszalnym. Nikt by się do mnie nie przypierdalał. Mógłbym na całe miesiące zamknąć się w celi i medytować. Nie musiałbym na nikogo patrzeć. Byle mi tylko przynosili wino. Sęk w tym, że te ich czarne habity są z czystej wełny. Gorsze niż mundury na przysposobieniu wojskowym. Nie wytrzymałbym w czymś takim. Trzeba znaleźć inny sposób.

– Oho – powiedział Jimmy.

– Co jest?
– Jakieś dziewczyny na nas patrzą.
– I co z tego?
– Gadają i się śmieją. Może do nas przyjdą.
– Myślisz?
– No. Powiem ci, kiedy zaczną tu iść, to się obrócisz na wznak.

Na piersi miałem tylko parę krost i blizn.

– Pamiętaj. Jak ci powiem, że idą, masz się obrócić na wznak.

– Słyszałem, nie musisz dwa razy powtarzać.

Spuściłem głowę na piasek i zasłoniłem ją rękami. Wiedziałem, że Jim patrzy na dziewczyny i się uśmiecha. Miał do nich podejście.

– Głupie cipy – powiedział. – Tępe jak nie wiem.

„Po co ja tu w ogóle przyjechałem? – przemknęło mi przez myśl. – Dlaczego zawsze muszę wybierać między złym i jeszcze gorszym?”

– Uwaga, Hank! Idą!

Podniosłem głowę i spojrzałem. Dziewczyn było pięć. Przeturlałem się na wznak. Podeszły, chichocząc i stanęły nad nami.

– Patrzcie, jacy fajni chłopcy! – powiedziała jedna.

– Gdzieś tu mieszkacie? – spytał Jim.

– No – odparła któraś. – W gnieździe u mew!

Zachichotały.

– My jesteśmy orły – rzekł Jim. – Nie jestem pewien, czy byśmy wiedzieli, co mamy zrobić z pięcioma mewami.

– A jak właściwie ptaki robią te rzeczy? – spytała jedna dziewczyna.

– Nie mam pojęcia – przyznał Jim. – Może wspólnie jakoś to rozpracujemy.

– Chodźcie do nas na koc, co? – zaproponowała któraś.

– Idziemy – zgodził się Jim.

Tylko trzy dziewczyny brały udział w rozmowie. Dwie się nie odzywały, tylko wciąż obciągały na sobie kostiumy kąpielowe, żeby lepiej zasłonić to, czego nie chciały pokazywać.

– Ja się wypisuję – powiedziałem.

– Co tego twojego kumpla napadło? – spytała jedna z dwóch dziewczyn, które próbowały chować dupy.

– Jest trochę dziwny – wyjaśnił Jim.

– Ale co mu się stało? – spytała piąta dziewczyna.

– Jest dziwny i kropka.

Wstał i odszedł z dziewczynami. Zamknąłem oczy i zacząłem słuchać, jak morze szumi. Pływały w nim tysiące ryb, tysiące ryb pożerały się nawzajem. Niezliczone pyski i dupy łykały i srały. Na całej ziemi nie było nic oprócz pysków i dup, które łykały i srały, a do tego jeszcze się pierdoliły.

Przeturlałem się z powrotem na brzuch i patrzyłem, jak Jim zabawia pięć panienek. Stał z wypiętą piersią i prężył jaja. Nie miał takiej klaty jak moja ani muskularnych nóg. Był szczupły, schludny. Miał te swoje ciemne włosy i wredne usteczka z równiutkimi zębami, okrągłe uszka i smukłą szyję. Ja nie miałem szyi. Prawie wcale. Wyglądałem, jakby mi głowa wyrastała prosto z ramion. Byłem za to silny i zły. Nic mi to wprawdzie nie dawało, bo damy lubią elegancików. Ale gdyby nie krosty i blizny, pokazałbym tym laskom to i owo. Wypiąłbym przed nimi jaja, ażby im w tych

pustych mózgownicach zadzwoniło na alarm. Tak bym zrobił, chociaż tydzień mojego życia wart był tylko pięćdziesiąt centów.

Dziewczyny zerwały się z koca i pobiegły za Jimem do wody. Chichotały i darły się jak głupie... Że co? Nie, właściwie były całkiem fajne, wcale nie takie jak rodzice albo inni dorośli. Śmiały się. Wszystko je śmieszyło. Nie bały się przejąć życiem. A życie nie miało sensu, nie trzymało się kupy. D.H. Lawrence dobrze o tym wiedział. Potrzebna była miłość, ale wcale nie taka, z jakiej ludzie przeważnie robili użytek i sami się przy tym używali. Stary Dawid H. wiedział to i owo. Jego kumpel Huxley miał wprawdzie tylko intelektualne łaskotki, ale jakie fantastyczne! Był lepszy niż G.B. Shaw, bo ten intelektem ostrym jak kil wciąż wydrapywał z dna samo gęste, a swój wysilony dowcip zaczął w końcu traktować jak robotę do odwalenia, jak ciężar, który pozwalał mu właściwie niczego nie czuć. G.B. Shaw, krasomówcza piła jeżdżąca w tę i nazad po umyśle i wrażliwości czytelnika. Ale i tak dobrze się ich wszystkich czytało. Człowiek przynajmniej sobie uświadamiał, że myśli i słowa mogą być fascynujące, chociaż w sumie na nic się nie przydają.

Jim ochlaprywał dziewczyny wodą. Był wodnym bożkiem, a one go uwielbiały. Był dla nich szansą i obietnicą. Był wspaniały. Miał obcykane te numery. Przeczytałem co prawda wiele książek, ale on znał jedną z tych, na które nigdy nie trafiłem. Doskonale wiedział, co mogą zdziałać kąpielówki, jaja, nieczne spojrzenie i krągłe uszka. Był niezrównany. Nie miałem z nim szans, tak samo jak z tym pierdolonym bykiem, który woził zielonym autem lalę

z rozwianymi włosami. Obaj mieli to, co im się należało, a ja byłem tylko gnojem za pięćdziesiąt centów, pływającym w zielonym oceanie życia.

Patrzyłem, jak wychodzą z wody – lśniące, gładkoskóre, młode, zwycięskie. Chciałem, żeby mnie chciały. Tylko nie z litości – co to, to nie. Ale chociaż miały te swoje gładkie, nietknięte ciała i umysły, czegoś im jednak brakowało, bo nie przeszły jeszcze żadnej istotnej próby. Kiedy napotkają w życiu przeciwności, może się okazać, że sprawdzian nastąpił za późno albo jest za trudny. A ja byłem gotów. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Patrzyłem, jak Jim wyciera się ręcznikiem któregoś z nich. Tymczasem podeszło do mnie czyjeś dziecko, mniej więcej czteroletni chłopak. Nabrał garść piasku i rzucił mi prosto w twarz. Potem stanął i zaczął się gapić spode łba, zwycięsko wydymając te swoje głupie zapiaszczone usteczka. Czarująco bezczelny szczył. Kiwnąłem na niego palcem. Kici, kici. Nie ruszył się z miejsca.

– No, chodź, chłopczyku – powiedziałem. – Dam ci gówna w czekoladzie. Mam całą torbę.

Mały skurwiel jeszcze raz na mnie spojrzał, odwrócił się i uciekł, trzęsąc tym swoim głupim tyłkiem. Miał pośladki jak gruszki. Podrygiwały każdy osobno. O jednego wroga mniej.

Potem stanął nade mną Jim, pożeracz serc. On też gapił się spode łba.

– Poszły – powiedział.

Spojrzałem w stronę koca tych pięciu dziewczyn. Rzeczywiście już ich nie było.

– Gdzie poszły? – spytałem.

- Chuj z nimi. Dwie najlepsze dały mi telefony.
- Do czego najlepsze?
- Do dupczenia, frajerze!

Wstałem.

- Uważaj, frajerze, bo się zaraz nakryjesz nogami!

Wiatr od morza owiewał jego przystojną twarz. Już widziałem, jak się wiję na piasku i wierzga nogami, pokazując białe podeszwy.

Cofnął się.

– Hank, nie świruj. Jak chcesz, to ci dam te dwa telefony.

- Obejdzcie się. Musiałbym być głuchy tak jak ty!

- No już dobrze, dobrze. Pamiętaj, jesteśmy kumple.

Poszliśmy plażą w stronę nabrzeża po rowery zostawione za czymś domkiem kempingowym. Obaj dobrze wiedzieliśmy, kto tego dnia był górą, i żadna fanga w zęby nic by nie zmieniła. Trochę może by zrównała szale, ale i tak za mało. Kiedy jechaliśmy do domu, już się nie popisywałem tak jak w drodze na plażę. Potrzebne mi było większe zwycięstwo. Może potrzebna mi była ta blondyna w zielonym aucie, której wiatr rozwiewał włosy.

Rozdział 40

Na przysposobienie wojskowe chodzili sami nieudacznicy. Można je było wybrać zamiast gimnastyki. Właściwie wolałbym gimnastykę, ale nie chciałem pokazywać pryszczatych pleców. Na przysposobieniu wszyscy byli jacyś pokręceni. Albo nie lubili sportu, albo chodzili na te zajęcia, bo ich zmusili rodzice, którzy uważali, że tak każe patriotyzm. Rodzice dzianych kolesi byli na ogół większymi patriotami, ponieważ mieli więcej do stracenia, w razie gdyby szlag trafił cały kraj. Biedacy wykazywali dużo mniej patriotyzmu, a jeśli już, to często tylko dlatego, że tego od nich oczekiwano albo że tak zostali wychowani. Podświadomie czuli, że ich własna sytuacja ani by się nie poprawiła, ani nie pogorszyła, gdyby krajem rządili Rosjanie, Niemcy, Chińczycy albo Japończycy. Zwłaszcza ci, co mieli ciemniejszą skórę, uważali, że może by im się nawet lepiej żyło. Ale do naszej szkoły chodziło sporo smyków z bogatych rodzin, więc na przysposobieniu mieliśmy frekwencję jak mała gdzie.

Maszerowaliśmy w prażącym słońcu, uczyliśmy się kopać latryny, leczyć ukąszenia węży, pielęgnować rannych, ta-

mować krwotoki, iść do ataku na bagnety; nauczyliśmy się obchodzenia z granatami, infiltracji, rozmieszczenia wojsk, poznawaliśmy zasady manewrów, marszu w odwrocie i w natarciu, dyscypliny fizycznej i umysłowej; chodziliśmy na strzelnicę, robiliśmy bum-bum i dostawaliśmy medale za celność. Mieliśmy nawet manewry na poligonie: szliśmy do lasu i prowadziliśmy wojnę na niby. Z karabinami w garści czołgaliśmy się na brzuchach w stronę przeciwnika, czyli kumpla ze szkoły. Traktowaliśmy to bardzo serio. Wszyscy, nawet ja. Takie manewry dobrze robiły na krążenie. Był to jeden wielki idiotyzm i wszyscy o tym wiedzieliśmy, a przynajmniej większość z nas, ale nagle coś nam pstrykało w mózgowicach i odtąd wkładaliśmy serce w ten cały cyrk. Mieliśmy w szkole emerytowanego oficera, pułkownika Susseksa. Tak już zdzia-
dział, że ślina ciekła mu z kącików ust i spływała pod brodę. Nigdy się nie odzywał, tylko stał jak kołek w tym swoim mundurze obwieszonym orderami i ciągnął od szkoły pensję. W czasie tych naszych manewrów na niby brał notes i zapisywał wyniki. Stał na wzgórzu i coś tam sobie notował. Nigdy nam nie mówił, kto zwyciężył. Każda strona twierdziła, że to ona wygrała, i zaczynały się kwasy.

Najlepszy był porucznik Herman Beechcroft. Jego ojciec miał piekarnię i coś, co się nazywało „hotelowy serwis gastronomiczny”. Ale porucznik był najlepszy i kropka. Przed manewrami wygłaszał zawsze to samo przemówienie.

– Pamiętajcie, że musicie nienawidzić wroga! Tamci chcą zgwałcić wasze matki i siostry! Chcecie, żeby te potwory zgwałciły wam matki i siostry?

Porucznik Beechcroft prawie nie miał podbródka. Twarz nagle mu się kończyła, a zamiast dolnej szczęki ster-

czał mały guzek. Nie byliśmy pewni, czy to już kalectwo, czy jeszcze nie. Ale jego oczy wyglądały wspaniale, kiedy pałały furią jak wielkie błękitne symbole wojny i zwycięstwa.

– Whitlinger!

– Tak jest!

– Chciałbyś, żeby tamci zgwałcili twoją matkę?

– Moja matka nie żyje, panie poruczniku.

– O, przepraszam... Drake!

– Tak jest!

– Chciałbyś, żeby tamci zgwałcili twoją matkę?

– Nie, panie poruczniku!

– Dobrze. Pamiętajcie, że toczy się wojna! Jak tamci nam popuszczą, to ich sprawa, ale my żadnemu nie darujemy! Musicie nienawidzić wroga! Zabić drania! Nieboszczyk już was nie pokona. Klęska to klątwa! Zwycięzcy dyktują historię! **A TERAZ CHODŹMY ZAŁATWIĆ TYCH PIŹDZIELCÓW!**

Rozwinęliśmy się w tyralierę, wystaliśmy zwiadowców i zaczęliśmy się czołgać przez krzaki. Widziałem pułkownika Susseksa, który stał na wzgórzu ze swoim notesem. Wojnę toczyli Niebiescy przeciwko Zielonym. Każdy z nas miał rękę powyżej łokcia przewiazaną kolorową szmatką. Ja należałem do Niebieskich. Czołgać się przez krzaki, istne piekło. Upał, pełno robactwa, kurzu, kamieni i cierni. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Nasz dowódca, niejaki Kozak, gdzieś się zawieruszył. Ustała wszelka łączność. Czyli daliśmy dupy. Tamci jednak zgwałcą nasze matki. Czołgałem się prosto przed siebie i byłem wprawdzie coraz bardziej posiniaczony i podrapany, zagubiony i wystraszony, ale przede wszystkim czułem, że robię z siebie durnia. Tyle

ziemi leży odłogiem, puste niebo, wzgórza, strumienie, całe hektary tego wszystkiego. Czyje to może być? Pewnie ojca któregoś z tych dzianych koleśi. Wiadomo było, że niczego nie zdobędziemy. Szkoła dzierżawiła cały ten teren. NO SMOKING. Poczołgałem się dalej. Nie mieliśmy osłony lotniczej, czołgów ani nic. Byliśmy bandą głupich ciot na idiotycznych manewrach, bez prowiantu, bez kobiet, bez sensu. Wstałem, podszedłem do drzewa i oparłem się plecami o pień. Odłożyłem karabin i zacząłem czekać.

Tymczasem wszyscy już zdążyli zabłądzić, ale nie miało to znaczenia. Zdjąłem z ramienia opaskę i czekałem, aż przyjedzie karetka Czerwonego Krzyża albo co. Wojna musiała pewnie być piekłem, ale w przerwach robiło się cholernie nudno.

Nagle rozchyliły się krzaki. Jakiś facet wyskoczył z nich i mnie zobaczył. Miał na ramieniu zieloną opaskę. Znaczy gwałcieciel. Wycelował we mnie z karabinu. Moja opaska leżała w trawie. Tamten chciał mnie wziąć do niewoli. Znałem go. Nazywał się Harry Missions. Jego ojciec miał wielki tartak. Nie ruszyłem się spod drzewa.

– Niebieski czy Zielony? – ryknął.
– Mata Hari.
– Szpieg! Biorę takich do niewoli!
– Nie pierdol, Harry. Przecież to dziecinada. Nie zwracaj mi głowy tym rzygliwym melodramatem.

Krzaki znów się rozchyliły i wyszedł z nich porucznik Beechcroft. On i Missions stali dokładnie naprzeciw siebie.

– Biorę cię do niewoli! – wrzasnął Beechcroft na Missionsa.

– To ja ciebie biorę do niewoli! – wrzasnął Missions na Beechcrofta.

Czułem, że obaj naprawdę są wściekli i zdenerwowani. Beechcroft wyciągnął szablę.

– Poddaj się, bo cię zaraz przedziurawię!

Missions złapał swój karabin za lufę.

– No chodź, no chodź, to ci łeb rozwalę!

I wtedy ze wszystkich stron zaczęły się rozchyłać krzaki, bo te wrzaski zwabiły i Niebieskich, i Zielonych. Siedziałem sobie pod drzewem, a tamci mieszały się w jeden tłum i zaczęli się szarpać. Z kłębów kurzu co jakiś czas dobiegał złowrogi łomot karabinowej kolby o czyjąś czaszkę.

– O Jezu! Boże!

Niektórzy padali na ziemię. Gubiono karabiny. Jedni walczyli na pięści, inni siłowali się jak zapaśnicy. Dwaj goście z zielonymi opaskami zwarli się w śmiertelnym uścisku. Nagle pojawił się pułkownik Sussex. Przerażliwie dmuchnął w gwizdek, aż ślina trysnęła na wszystkie strony. Podbiegł ze szpicrutą i zaczął nią chłostać na prawo i lewo. Dobrze mu to szło. Szpicruta cięła jak bicz, rżnęła jak brzytwa.

– O, kurwa! Poddaję się!

– Dosyć! Jezu! Ratunku!

– Mamo!

Walczący rozdzielili się i stanęli, spoglądając po sobie. Pułkownik Sussex podniósł z ziemi notes. Jego mundur wyglądał jak prosto spod żelazka. Medale wisiały na swoim miejscu. Czapkę też miał włożoną pod przepisowym kątem. Podrzucił szpicrutę, złapał ją w powietrzu i pomaszerował, a my za nim.

Wsiadliśmy do tych samych starych ciężarówek wojskowych z podartymi plandekami, które nas przywiozły na poligon. Zawarczały silniki i pojechaliśmy. Siedzieliśmy na długich drewnianych ławkach, rzędami naprzeciw siebie. Kiedy wyruszyliśmy ze szkoły, w jednej ciężarówce byli sami Niebiescy, a w drugiej Zieloni. Ale potem wsiadaliśmy byle jak i wszystko się pomieszało. Większość gapiała się w czubki własnych butów, porysowanych i zakurzonych. Rzuciło nami w lewo, w prawo, w górę, w dół, bo jechaliśmy starą drogą z głębokimi koleinami. Byliśmy zmęczeni, przegrani i zniesmaczeni. Wojna się skończyła.

Rozdział 41

Przez to całe przysposobienie wojskowe nie mogłem trenować żadnego sportu, a inni trenowali codziennie. Wchodzili do szkolnej reprezentacji, zdobywali odznaczenia i dziewczyny. Ja tymczasem głównie maszerowałem, prażąc się w słońcu. Oglądałem tylko uszy i półdupki koleś, którzy maszerowali przede mną. Cała ta wojskowość szybko mnie rozczarowała. Inni czyścili sobie buty na glans i mieli takie miny, jakby manewry sprawiały im nie wiem jaką frajdę. Nie widziałem w tym wszystkim ani odrobiny sensu. Przecież oni tylko po to tak się ćwiczyli, żeby im ktoś później odstrzelił jaja. Ale z drugiej strony nie bardzo widziałem siebie w roli faceta, który wkłada futbolowy kask i niebiesko-biały kostium z numerem 69, przypina do ramion ochraniacze, a potem kuca w trawie i usiłuje zablokować atak jakiegoś wrednego skurwiela z drugiego końca miasta albo wypchnąć z pozycji innego bydlaka, któremu jedzie z gęby meksykańskimi pasztecikami, a wszystko tylko po to, żeby syn prokuratora okręgowego mógł podciągnąć piłkę jeszcze o te sześć metrów do bramki przeciwnika. Sęk

w tym, że wciąż trzeba wybierać mniejsze zło, a cokolwiek by się wybrało, inni zawsze skrawają z człowieka kolejny plasterk i wreszcie nic nie zostaje. Większość ludzi w wieku dwudziestu pięciu lat jest skończona. Cały naród cholernych dupków, którzy prowadzą auta, jedzą, mają dzieci i wszystko robią najgorzej, jak tylko można – chociażby to, że w wyborach prezydenckich głosują na tego kandydata, który najbardziej przypomina ich lustrzane odbicie.

Nie miałem żadnych zainteresowań. Nic mnie nie obchodziło. Zupełnie nie wiedziałem, jak się wywinąć z tego wszystkiego. Inni umieli przynajmniej delektować się życiem. Jakby rozumieli coś, czego ja nie rozumiałem. Może miałem jakiś brak. Niewykluczone. Często czułem, że jestem gorszy. Chciałem się tylko od nich odczepić. Ale nie było dokąd pójść. Samobójstwo? Jezus Maria, jeszcze jedna robota do odwalenia. Miałem ochotę przespać pięć lat, ale mi nie dawali.

No i dalej tkwiłem w Chelsej, dalej chodziłem na przysposobienie i dalej byłem pryszczaty. I to mi stale przypominało, jakie mam spierdolone życie.

Nadszedł wielki dzień. W każdym pododdziale odbyły się zawody z musztry, a zwycięzcy stanęli w długim szeregu do ostatniej rundy. Jakoś tak się stało, że wygrałem zawody w swoim pododdziale. Nie mam pojęcia jakim cudem. Nie należałem przecież do orłów.

Była sobota. Na trybunach zebrał się tłum rodziców. Ktoś zadał w trąbkę. Mignęła szabla. Zadźwięczały komen-

dy. Na prawe ramię broń! Na lewe ramię broń! Lufy uderzały o ramiona, kolby grzmociły o ziemię i znowu waliły nas po ramionach. Na trybunach siedziały dziewczynki w niebieskich, zielonych, żółtych, pomarańczowych, różowych i białych sukieneczkach. Dręczył nas upał, nuda i cudzy obłąd.

– Pamiętaj, Chinaski, że walczysz o honor kompanii – rzekł pułkownik Monty.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Każda z tych dziewczynek, które siedziały na trybunach, czekała na swojego ukochanego, swojego zwycięzcę, swojego ważnego dyrektora. Smutna sprawa. Jakiś papier uniesiony wiatrem w górę spłoszył stadko gołębi. Odleciały, głośno łopocząc skrzydłami. Strasznie chciałem upić się piwem. Chciałem się urwać – wszystko jedno dokąd.

Wszyscy po kolei robili jakieś błędy i odpadali z szeregu. Wkrótce zostało nas tylko sześciu, pięciu, trzech. Ja jakoś nie odpadałem. Wcale mi nie zależało na wygranej. Wiedziałem, że nie wygram. Że już niedługo wylecę. Nawet chciałem wylecieć. Byłem zmęczony i znudzony. I cały w krostach. Gównu mnie obchodził ten ich zasrany cel. Ale nie mogłem się kropnąć tak, żeby to się rzucało w oczy. Pułkownikowi Monty'emu byłoby przykro.

W końcu zostało nas tylko dwóch, ja i Andrew Post, ten pupilek. Jego ojciec był wielkim specem od prawa karnego. Siedział na trybunach razem z żoną. Andrew był cały spocony, ale pełen determinacji. Obaj wiedzieliśmy, że wygra. Czułem w powietrzu energię i to była tylko jego energia, mojej ani trochę.

„W porządku – pomyślałem. – On potrzebuje tego zwycięstwa. Wszyscy ci ludzie potrzebują jego wygranej. Tak właśnie działa ten interes. Tak już go urządzono”.

W kółko powtarzaliśmy elementy musztry. Spojrzałem kątem oka w stronę bramki i pomyślałem, że gdybym się bardziej starał, to może bym został wielkim piłkarzem.

– Ładuj! – krzyknął dowódca, a ja szczęknąłem zamkiem. Ale rozległ się tylko jeden taki szcęk. Na lewo ode mnie panowała cisza. Andrew Post zastygł w bezruchu. Z trybun dobiegł cichy jęk zawodu.

– Celuj! – zakomenderował oficer, a ja wykonałem rozkaz. Post też, ale z otwartym zamkiem...

Właściwa uroczystość na cześć zwycięzcy odbyła się w kilka dni później. Całe moje szczęście, że przy okazji wręczano też różne inne odznaczenia. Stałem i czekałem razem z resztą, a pułkownik Sussex szedł wzdłuż szeregu. Strasznie dokuczały mi wrzody. Zawsze tak było, kiedy w upał miałem na sobie szorstki mundur z brązowej wełny. Czuję wtedy każdą nitkę tej pierdolonej bluzy. Wszyscy wiedzieli, że żaden ze mnie żołnierz. Wygrałem fuksem, bo tak mi to wszystko zwiślało, że w ogóle się nie denerwowałem. Żał mi było pułkownika Susseksa, bo wiedziałem, co sobie myśli, a niewykluczone, że on też wiedział, co ja sobie myślę: to mianowicie, że ten akurat rodzaj poświęcenia i męstwa, który on reprezentuje, nie jest niczym szczególnym.

Nagle zobaczyłem go przed sobą. Chociaż stałem na baczność, obciąłem go ukradkiem. Ślina była na miejscu. Może wysychała tylko wtedy, kiedy się wkurwiał. Pomimo upału wiał silny wiatr z zachodu. Pułkownik Sussex przypiął mi medal i podał rękę.

– Gratuluję – powiedział. Uśmiechnął się do mnie i poszedł dalej.

Stary kutafon. Może jednak nie był taki zły...

Szedłem do domu, a w kieszeni niosłem medal. Kim był pułkownik Sussex? Jeszcze jednym facetem, który musi srać tak jak wszyscy. Każdy musi się jakoś dostosować, znaleźć formę i się w niej zmieścić. Lekarz, prawnik, żołnierz – obojętne. Kiedy już się wciśniesz w formę, musisz zasuwać. Sussex był tak samo bezradny jak wszyscy. Albo coś się umie, albo się umiera z głodu na ulicy.

Sam jeden szedłem chodnikiem. Miałem kawał drogi do domu. Po mojej stronie ulicy tuż przed pierwszym bulwarem był zaniedbany sklepik. Przystanąłem i spojrzałem w witrynę. Stały tam rozmaite przedmioty z brudnymi metkami. Lichtarze. Elektryczny toster. Lampa. Szyba z obu stron była brudna. Przez warstwę kurzu i jakiejś mazi zobaczyłem dwa uśmiechnięte pieski-zabawki. Miniaturowe pianinko. Wszystkie te graty czekały na nabywców. Niezbyt kusząco wyglądały. Klientów jakoś nie było widać, sprzedawcy zresztą też nie. Wielokrotnie mijałem ten sklep, ale dopiero tym razem zatrzymałem się, żeby mu się przyparzeć.

Zajrzałem do środka i spodobało mi się. Nic się tam nie działo. Miejsce, w którym można odpocząć, pospać. Wszystko w nim było martwe. Potrafiłem sobie wyobrazić, że pracuję tam jako sprzedawca i jest mi całkiem dobrze – póki klienci nie przestępują progu.

Odsunąłem się od wystawy i przeszedłem jeszcze kawałek. Tuż przed bulwarem szedłem na jezdnię i stanąłem nad studzienką ścieku. Przypominała olbrzymie czarne usta

prowadzące do bebeczów ziemi. Wyjąłem z kieszeni medal i cisnąłem go w tę czarną dziurę. Wpadł i znikł w ciemnościach.

Wróciłem na chodnik i znowu ruszyłem w stronę domu. Kiedy tam dotarłem, rodzice sprząтали. Była przecież sobota. Musiałem przystrzyc trawnik i podlać go, a potem jeszcze podlać kwiaty.

Przebrałem się w strój roboczy i wyszedłem przed dom. Ojciec spod ciemnych, złowrogich brwi śledził każdy mój ruch. Otworzyłem garaż i ostrożnie wyciągnąłem maszynkę do strzyżenia. Prowadziłem ją tyłem, więc ostrza się nie obracały, tylko czekały swojej chwili.

Rozdział 42

– Bierz przykład z Abe Mortensona – powiedziała matka. – On ma same A. Czemu ty nie masz ani jednego?

– Musiałby się na dupie i wkuwać, a przecież mu się nie chce – odparł ojciec. – Czasem nie mogę uwierzyć, że to mój syn.

– Henry, czy ty nie chcesz być szczęśliwy? – spytała matka. – Nigdy się nie uśmiechasz. Uśmiechnij się i bądź szczęśliwy.

– Przestań się nad sobą litować – rzekł ojciec. – Bądź mężczyzną!

– Uśmiechnij się, Henry!

– Co z ciebie wyrośnie? Do diabła, jak ty sobie dasz radę w życiu? W ogóle nie masz bigła!

– Może byś wpadł do Abe'a? Porozmawiaj z nim, weź z niego przykład – powiedziała matka...

Zapukałem do Mortensonów. Otworzyła mi matka Abe'a.

– Abe jest zajęty. Uczy się.

– Wiem, proszę pani, ale ja tylko na minutkę.

– No dobrze. Jego pokój jest tam.

Poszedłem korytarzem. Abe miał swoje własne biurko. Siedział nad otwartym podręcznikiem, który leżał na dwóch innych książkach. Poznałem po kolorze okładki, co to takiego: *Prawa i obowiązki obywatela*. Rany boskie, żeby w niedzielę wkuwać prawa i obowiązki obywatela.

Abe podniósł głowę i spojrzał na mnie. Splunął w dłoń i znowu wbił nos w książkę.

– Cześć – powiedział, nie odrywając od niej wzroku.

– Zakład, że już z dziesięć razy czytałeś tę stronę, patafianie jeden – odparłem.

– Muszę wszystko dokładnie zapamiętać.

– Przecież to sranie w banię.

– Muszę zdać egzaminy.

– A przyszło ci kiedyś do głowy, żeby przetrząść dziewczynę?

– Że co? – spytał i znowu splunął w dłoń.

– Zajrzałeś kiedyś dziewczynie pod sukienkę i poczułeś, że chcesz zobaczyć coś więcej? Pomyślałeś chociaż raz o jej cipie?

– To nie są ważne sprawy.

– Dla dziewczyny cipa to jest bardzo ważna sprawa.

– Muszę się uczyć.

– Gramy dzisiaj w baseball. Montujemy mecz z paroma chłopakami ze szkoły.

– Przecież jest niedziela.

– I co z tego? Ludzie w niedzielę robią różne rzeczy.

– Ale żeby właśnie baseball?

– Zawodowcy też grają w niedzielę.

– Ale im płacą.

– A tobie ktoś płaci za to, że czytasz w kółko tę samą stronę? No chodź, przewietrz się trochę, może ci się w głowie rozjaśni.

– Dobra, ale tylko na chwilę.

Wstał i ruszył korytarzem do pokoju od ulicy, a ja za nim. Poszliśmy w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz, Abe?

– Tylko na chwileczkę.

– Dobrze, ale szybko wracaj. Musisz się uczyć.

– Wiem...

– Henry, dopilnuj, żeby Abe niedługo wrócił.

– Już ja się nim zajmę, proszę pani.

Przyszedł Glaca, Jimmy Hatcher, paru innych chłopaków ze szkoły i jeszcze różni kolesie z naszej dzielnicy. Mieliśmy tylko po siedmiu w drużynie, więc obrona była trochę dziurawa, ale to mi właśnie odpowiadało. Grałem na środku pola. Wyrobiłem się, pomału nadrabiałem braki. Umiałem pokryć prawie całe zewnętrzne pole. Byłem szybki. Starłem się grać blisko strefy, żeby wyłapywać krótkie piłki. Ale najbardziej lubiłem biegać po te ostre loby, które przelatywały mi wysoko nad głową. Tak właśnie grał Jigger Stutz w „Aniołach” z Los Angeles. W sezonie potrafił łączyć raptem jakieś dwieście osiemdziesiąt punktów, ale przeciwnicy tyle przez niego tracili, że był wart równe pięćset trafień.

W każdą niedzielę kilkanaście dziewczyn z naszej dzielnicy przychodziło popatrzeć, jak gramy. Nie zwracałem na nie uwagi. Kiedy działo się coś emocjonującego, darły się na całe gardło. Graliśmy małą, twardą piłką i każ-

dy miał własną rękawicę, nawet Mortenson. Właściwie to miał najlepszą, prawie nieużywaną.

Wybiegłem truchcikiem na środek boiska i zaczęliśmy mecz. Abe grał u nas na drugiej bazie. Walnąłem lewą pięścią w rękawicę i krzyknąłem do Mortensona:

– Ty, Abe, branzlowałeś się kiedyś surowym jajkiem? Wcale nie trzeba umrzeć, żeby pójść do nieba!

Usłyszałem śmiech dziewczyn.

Pierwszy pałkarz minął się z piłką. W ogóle był kiepski. Ja też często mijałem się z piłką, ale jak już walnąłem, to najmocniej ze wszystkich. Umiałem tak przyładować drągalem, że wybijałem piłkę z naszej pustej parceli aż na ulicę. I zawsze nisko kucąłem przed wybiciem. Wyglądałem wtedy jak nakręcona sprężyna.

Cieszyłem się każdą chwilą meczu. Tyle razy nie mogłem zagrać, bo musiałem strzyc trawnik, tyle razy w podstawówce dobierano mnie do składu jako przedostatnią ofertę. Te czasy już się skończyły. Rozkwitłem. Miałem coś, czego inni nie mieli. Wiedziałem, że to mam, i fantastycznie się czułem.

– Ty, Abe! – ryknąłem. – Właściwie to tak się ślinisz, że poradzisz sobie bez surowego jajka!

Drugi pałkarz niezłe przyrąbał, ale piłka poszła górą, bardzo wysoko. Pobiegłem, żeby ją złapać z półobrotu. Rwałem ostrym sprintem i czułem się super, bo wiedziałem, że za chwilę znów dokonam cudu.

O, kurwa. Piłka wleciała w koronę wysokiego drzewa w głębi parceli. Widziałem, jak spada, odbijając się od gałęzi. Stałem w pogotowiu. Nic z tego, piłka poszła w lewo. Pobiegłem na lewo od drzewa. Nagle odbiła się w prawo. Po-

biegłem za nią. Uderzyła w gałąź, zakolebała się na niej, a potem szustnęła przez liście i spadła mi prosto w rękawicę.

Dziewczyny wrzasnęły.

Z całej siły posłałem piłkę do naszego miotacza i wróciłem truchtem na środek pola, blisko strefy. Następnny pałkarz w ogóle nie trafił. Nasz miotacz, Harvey Nixon, umiał przyczadować.

Zmieniliśmy strony. Pierwszy z naszej drużyny wziąłem kij do ręki. Na górcie miotacza stanął jakiś chłopak, którego nigdy przedtem nie widziałem. Nie chodził do naszej szkoły. Zastanawiałem się, skąd może być. Miał ogromną głowę, usta, uszy, całe cielsko. Włosy opadały mu na oczy. Wyglądał jak ostatni głupek. Był szatynem, oczy miał zielone. Patrzył na mnie spod grzywki, jakby mnie nienawidził. Lewą rękę miał chyba dłuższą od prawej, a rzucał właśnie lewą. Nigdy przedtem nie rzucał do mnie szmaja, i to twardą piłką. Ale na każdego jest sposób. Jak ich postawić na głowach, to wszyscy są podobni.

Nazywali go Floss Kociak. Też mi kociak, dziewięćdziesiąt pięć kilo żywej wagi.

– Ty, Kosa, weź go zniszcz! – zawołała błagalnym tonem jedna z dziewczyn.

Mówiły na mnie Kosa, bo grałem dobry mecz i je olewałem.

Kociak spojrział na mnie spomiędzy tych swoich wielgachnych uszu. Splunąłem, wparłem się piętami w ziemię i machnąłem pałką.

Kociak skinął głową, jakby dostał sygnał od swojego łapacza. Szpanował i tyle. Potoczył wzrokiem po strefie, żeby jeszcze bardziej przyszpanować. Wszystko to robił

dla dziewczyn. Miał widać fiuta zamiast mózgu i wciąż myślał o cipie.

Wziął zamach. Patrzyłem na piłkę, którą trzymał w lewej łapie. Nie spuszczałem jej z oka, bo tymczasem odkryłem cały sekret: trzeba było się skupić tylko na piłce, wodzić za nią spojrzeniem, póki nie wleciała w strefę, a wtedy utłuc ją drągalem.

Patrzyłem pod słońce, jak gruby wypuszcza piłkę z palców. Aż zaszumiało w powietrzu. Była to zabójcza gała, ale też do wzięcia. Poleciała niżej moich kolan, daleko poza strefą odbicia. Łapacz musiał się rzucić na ziemię, boby mu się wymknęła.

– Piłka zaliczona – mruknął stary pierdziel z sąsiedztwa, który zwykle nam sędziował. Był nocnym stróżem w domu towarowym i lubił gadać do dziewczyn.

– Mam w domu dwie córeczki, całkiem take same jak wy, ślicznotki. Też noszą obcisłe sukenki.

Kucał na boisku i pokazywał dziewczynom te swoje wielkie półdupki. Oprócz nich miał do pokazania tylko jeden złoty ząb.

Łapacz odrzucił piłkę Kociakowi.

– Ty, Mruczek! – zawołałem.

– Do mnie mówisz?

– Do ciebie, łamago. Każ sobie dosztukować kawałek ręki albo rzucaj bliżej mnie, bo w końcu będę musiał sprowadzić taksówkę.

– Następnej piłki nikt ci nie odbierze – powiedział.

– Dobra – odparłem i przykucnąłem, gotów do akcji.

Kociak znowu przerobił swój program: kiwnął głową, jakby odpowiadał na znak dany przez łapacza, rozejrzał się

po strefie. Patrzył na mnie zielonymi oczami przez brudną grzywkę. Widziałem, jak bierze zamach. Widziałem, jak wypuszcza z palców piłkę, ciemny punkcik na słonecznym niebie, który nagle pomknął, mierząc prosto w moją czaszkę. Błyskawicznie padłem na ziemię, a i tak poczułem, że piłka muska mi czubek głowy.

– Trafienie zaliczone – mruknął stary pierdziel.

– Co takiego? – wrzasnąłem.

Łapacz miał jeszcze piłkę w ręku. Ogłoszony wynik tak samo go zaskoczył jak mnie. Zabrałem mu piłkę i pokazałem sędziemu.

– Co to jest? – spytałem.

– Piłka.

– Właśnie. Spróbuj zapamiętać, jak wygląda.

Z piłką w ręku poszedłem na górkę. Zielone ślepia pod brudną grzywką nawet nie mrugnęły. Tylko usta lekko się rozchyliły, jak pysk żaby wciągającej powietrze.

Podszedłem do Kociaka.

– Nie mam zwyczaju odbijać głową. Jak mi jeszcze raz zasuniesz taki numer, wetknę ci gałę w ten twój zasrany tyłek, i to bez zdejmowania spodni.

Oddałem mu piłkę i wróciłem na swoje miejsce. Usta-wiłem się w pozycji i machnąłem kijem.

– Jeden do jednego – powiedział stary pierdziel.

Floss na swojej górcie parę razy wierzgnął nogą, aż wzbili się kurz. Spojrzał w lewo, chociaż na tamtej części pola nic się nie działo, tylko jakiś zagłodzony pies drapał się w ucho. Floss popatrzył, czy łapacz nie daje mu znaków. Myślał o dziewczynach. Chciał się podobać. Stary pierdziel kucnął, rozchylając półdupki, bo też chciał się podo-

bać. Oprócz mnie chyba mało kto rzeczywiście myślał o meczu.

Wreszcie Kociak wziął zamach. Lewą ręką wywinął takiego młynka, że na sam widok można było wpaść w panikę. Ale nie wolno sobie na to pozwalać. Należy cierpliwie czekać, aż nadleci piłka. Miotacz prędzej czy później musi ją przecież wypuścić z palców i od tej chwili jest nasza. Trzeba ją zniszczyć, a im mocniej ją rzuca, tym mocniej w nią rąbnjemy drągalem.

Widziałem, jak Floss puszcza gałę w powietrze. Któraś dziewczyna krzyknęła. Kociak wciąż miał dość pary. Piłka wyglądała jak pocisk z broni maszynowej, ale była większa i znów mknęła najkrótszą drogą w stronę mojej czaszki. Pamiętam tylko tyle, że klapnąłem na ziemię najszybciej jak mogłem. Najadłem się piachu.

– Druge trafienie zaliczone! – wrzasnął stary pierdziel. Nie umiał nawet porządnie mówić. Jak ktoś się godzi pracować za frajer, to znaczy, że się po prostu chce podłączyć do cudzej akcji.

Wstałem i otrzepałem się z ziemi. Miałem ją nawet w spodenkach. Wiedziałem, że matka spyta: „Henry, jakim cudem tak wybrudziłeś spodenki? Tylko nie rób takiej miny. Uśmiechnij się i bądź szczęśliwy!”

Poszedłem na górkę, stanąłem twarzą w twarz z Kociakiem i tylko na niego popatrzyłem. Nikt inny też się nie odezwał. W ręku miałem kij. Podniosłem go i przycisnąłem czubek Kociakowi do nosa. Machnął ręką i odepchnął pałę. Odwróciłem się i poszedłem z powrotem na swoje miejsce. W połowie drogi przystanąłem i znów popatrzyłem na grubego. Potem poszedłem dalej.

Ustawiłem się w pozycji i machnąłem pałą. Postanowiłem, że tym razem odbiję. Kociak wyteżał wzrok, wypatrując znaku, który nigdy nie miał nadejść. Długo tak się przyglądał, a potem pokręcił głową, że niby mówi nie. I dalej patrzył zielonymi oczami spod brudnej grzywki.

Mocniej machnąłem kijem.

– Wybij, Kosa! – krzyknęła któraś dziewczyna.

– Kosa! Kosa! Kosa! – wrzasnęła inna.

Kociak odwrócił się do nas plecami i zaczął się gapić w głąb pola.

– Zamawiam – powiedziałem i zszedłem ze stanowiska. Jedna dziewczyna bardzo mi się podobała. Miała pomarańczową sukienkę i długie włosy blond, które wisały jak żółty wodospad, coś pięknego. Na chwilę spotkaliśmy się wzrokiem i blondynka powiedziała:

– Kosa, proszę cię, wybij.

– Cicho bądź – odparłem i wróciłem na swoje miejsce.

Piłka pomknęła w moją stronę. Dokładnie widziałem, jak leci. Była moja. Ale ja niestety spodziewałem się, że polecą fałszem. Chciałem, żeby tak poleciała, bo wtedy mógłbym pójść na górkę i zabić wroga albo samemu polec. Tymczasem piłka poszybowała środkiem, wysoko nad moją głową. Nie zdążyłem się w porę ustawić i tylko machnąłem kijem obok niej. Poleciała dalej.

Czyli jednak mnie skurwysyn wyrolował.

W następnej turze trafił mnie trzy razy z rzędu. Musiał mieć przynajmniej dwadzieścia trzy lata. Pewnie grywał czasem u zawodowców.

Ale w końcu któremuś z naszych udało się zaliczyć u niego jedną bazę.

Za to w polu nieźle się spisywałem. Wyłapałem kilka piłek. Wszedłem ze strefy w pole, bo wiedziałem, że im dokładniej się przyjrzę, jak właściwie Kociak puszcza te swoje bomby, tym większe mam szanse odkryć jego sekret. A on już nie próbował zrobić mi jajecznicy z mózgu. Już nie musiał. Po prostu śmigał piłkami przez środek strefy. Miałem nadzieję, że prędzej czy później przygwożdżę gałę.

Tymczasem sprawy brały coraz gorszy obrót. Wcale mi się to nie podobało. Dziewczynom też nie. Gruby świetnie sobie radził i na górce, i na wyboju. Za pierwszym razem zaliczył wszystkie bazy w jednym ciągu, a za drugim zrobił debła. Za trzecim podbił piłkę od dołu i puścił wysokim lobem między środek pola i drugą bazę, czyli między mnie i Abe'a. Ruszyłem z kopyta, dziewczyny rozdarły się na całe gardło, ale Abe wciąż patrzył w górę i trochę do tyłu. Szczeka mu opadła, kiedy tak się gapił w niebo. Z otwartymi i zaślinionymi ustami wyglądał naprawdę jak kretyn.

– Moja! – wrzasnąłem, szarżując prosto na niego. Właściwie to miał bliżej do tej piłki, ale jakoś nie mogłem znieść myśli, że mu ją zostawię. Był w końcu zidiociałym mołem książkowym i tak naprawdę to wcale go nie lubiłem, więc natarłem na niego całą parą. Zderzyliśmy się, Abe się przewrócił, piłka wypadła mu z rękawicy, a ja ją złapałem w powietrzu.

Stałem nad nim. Leżał i się nie podnosił.

– Wstawaj, palancie – powiedziałem.

Abe dalej leżał na ziemi. Trzymał się za lewe przedramię i płakał.

– Chyba mam złamaną rękę – powiedział.

– No, wstawaj, cykorze.

Wreszcie wstał i zszedł z boiska, płacząc i trzymając się za bolące miejsce.

Rozejrzałem się.

– Dobra, gramy dalej – powiedziałem.

Ale wszyscy już się rozchodzili, nawet dziewczyny. Najwyraźniej było po meczu. Jeszcze chwilę tam zamarudziłem, a potem też poszedłem do domu...

Tuż przed kolacją zadzwonił telefon. Odebrała matka. Mówiła bardzo podekscytowanym tonem. W końcu odłożyła słuchawkę i chwilę porozmawiała z ojcem.

Potem weszła do mojej sypialni.

– Chodź do dużego pokoju – powiedziała.

Poszedłem za nią i usiadłem na kanapie. Każde z nich miało swój fotel. Zawsze tak było. Kto miał swój fotel, czuł się jak u siebie. Kanapa była dla gości.

– Przed chwilą dzwoniła pani Mortenson. Zrobili rentgen i okazało się, że złamałeś jej synowi rękę.

– To był wypadek – powiedziałem.

– Mówi, że pójdzie do sądu. Weźmie sobie jakiegoś Żyda na adwokata i wszystko nam zabiorą.

– Niewiele tego jest.

Matka zwykle w takich razach wybuchwała bezgłośnym płaczem. Wtedy też. Łzy płynęły coraz gęściej. W wieczornym półmroku zaczęły jej błyszczeć policzki.

Otarła oczy. Były piwne i matowe.

– Dlaczego złamałeś rękę temu chłopcu?

– Obaj naraz lecieliśmy do znajdy.

– Co to jest znajda?

– Bezpańska piłka.

– I ty ją złapałeś?

– Tak.

– Ale co nam to pomoże, jeżeli w sądzie opowiemy o tej twojej znajdzie? Ten Żyd zawsze będzie mógł się powołać na złamaną rękę.

Wstałem i poszedłem do swojego pokoju, żeby tam poczekać na kolację. Ojciec w ogóle się nie odezwał. W głowie miał zupełny mętlik. Bał się, że straci cały swój skromny majątek, a zarazem był dumny z syna, który umiał złamać koledze rękę.

Rozdział 43

Jimmy Hatcher pracował na ćwierć etatu w sklepie spożywczym. Nikt nie mógł znaleźć pracy, a temu się zawsze udawało. Miał tę swoją buźkę gwiazdora filmowego, a jego matka miała świetną figurę. Dzięki swojej twarzy i jej ciału bez trudu znajdował zajęcia.

– Wpadłbyś do mnie po kolacji? – spytał któregoś dnia.

– Po co?

– Kradnę piwo ze sklepu. Wynoszę tylnymi drzwiami.

Możemy się napić.

– Gdzie je trzymasz?

– W lodówce.

– Pokaż.

Staliśmy mniej więcej o jedną przecznicę od jego domu. Poszliśmy tam. Na klatce schodowej Jimmy powiedział:

– Czekał, muszę sprawdzić, czy nie ma poczty.

Wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył skrzynkę. Była pusta. Zamknął ją z powrotem.

– Mój klucz pasuje do skrzynki sąsiadki. Patrz.

Otworzył cudzą skrzynkę, wyjął list i rozdarł kopertę. Przeczytał na głos:

– „Droga Betty! Wiem, że miałem wcześniej przysłać ten czek i że pewnie się niecierpliwisz. Straciłem pracę. Potem znalazłem nową, ale przez to ta zwłoka. Dopiero teraz mogłem ci wysłać czek. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Kochający Don”.

Jimmy wyjął czek i obejrzał. Podarł go na kawałki, a potem to samo zrobił z listem. Strzępki schował do kieszeni płaszcza. Zamknął skrzynkę.

– Chodź.

W mieszkaniu poszliśmy prosto do kuchni. Jimmy otworzył lodówkę. Cała była wypchana puszkami piwa.

– Matka wie?

– Jasne. Same je pije.

Zamknął lodówkę.

– Jim, czy to prawda, że twój ojciec przez twoją matkę strzelił sobie w łeb?

– No. Zadzwoił i powiedział, że ma broń. „Jak do mnie nie wrócisz, to się zabiję”, mówi. „Wrócisz?”. A matka na to, że nie. Huknął strzał i po sprawie.

– A co ona wtedy zrobiła?

– Odłożyła słuchawkę.

– Dobra, wpadnę wieczorem.

W domu powiedziałem, że idę do Jimmy’ego odrabiać lekcje. „Już ja wiem, co sobie zadać” – pomyślałem.

– Jimmy to miły chłopiec – rzekła matka.

Ojciec nic nie powiedział.

Jimmy wyjął piwo z lodówki i wzięliśmy się do roboty. Fajnie było. Matka Jimmy’ego pracowała w barze aż do drugiej w nocy. Mieliśmy całą chatę dla siebie.

– Wiesz, Jimmy, twoja matka to dopiero ma ciało. Dlaczego niektóre kobiety są fantastycznie zbudowane, a większość wygląda jak kaleki? Dlaczego wszystkie nie mogą być super?

– O Jezu, nie mam pojęcia. Może dlatego, że jakby wszystkie były takie same, toby nam się znudziły.

– Napij się jeszcze. Za wolno pijesz.

– Dobra.

– Może po paru piwach spuszczę ci wpierdol.

– Jesteśmy kumple, Hank.

– Nie mam kumpli. No, pij!

– Dobra. Pali się, czy co?

– Trzeba obalać jedno za drugim. Inaczej nie działa.

Otworzyliśmy jeszcze kilka puszek.

– Jakbym był kobietą, tobym chodził w podkasanej kiecce, żeby wszystkim facetom stawało – powiedział Jimmy.

– Rzygać mi się chce, jak cię słucham.

– Jeden znajomy mojej matki pił jej szczyny.

– Że co?

– Mówię ci. Chlali przez całą noc, potem on kładł się w wannie, a matka szczała mu w usta. Dawał jej za to dwadzieścia dolców.

– Sama ci powiedziała?

– Od śmierci ojca często mi się zwierza. To trochę tak, jakbym wszedł na jego miejsce.

– To znaczy...?

– Nie, nie. Tylko mi się zwierza.

– Opowiada ci takie kawałki, jak o tym gościu w wannie?

– No.

– Opowiedz jeszcze coś w tym stylu.

– Nie.

– No to chociaż pij. A czy ktoś je gówno twojej matki?

– Nie mów tak.

Dopiłem piwo i rzuciłem puszkę przez cały pokój.

– Podoba mi się ta knajpa. Kto wie, może się tu wprowadzę na stałe.

Podszedłem do lodówki i wyjąłem następną paczkę: sześć puszek.

– Jestem cholerny kosior – powiedziałem. – Robię ci łaskę, że się z tobą w ogóle zadaję.

– Jesteśmy kumple, Hank.

Podetknąłem mu pod nos puszkę piwa.

– Pij!

Poszedłem do łazienki, żeby się wyszczać. Łazienka była bardzo damska: kolorowe ręczniki, puszyste różowe chodniczki. Nawet sedes był różowy. Siadała na nim tym swoim białym dupskiem, a na imię miała Clare. Spojrzałem na swojego dziewiczego chuja.

– Jestem facet – powiedziałem. – Każdej jednej dam radę zerznąć dupę.

– Hank, muszę do łazienki...

Jim stał pod drzwiami. Wpuściłem go. Słyszałem, jak rzyga.

– O, kurwa – powiedziałem i otworzyłem sobie jeszcze jedno piwo.

Po paru minutach Jim wrócił i usiadł w fotelu. Był bardzo blady. Podetknąłem mu pod nos puszkę piwa.

– Pij! Jesteś facet czy nie jesteś? Miałeś jaja, żeby ukraść ten cały browar, to teraz miej jaja, żeby go wypić!

– Chwilę, niech odpocznę.

– Pij!

Usiadłem na kanapie. Fajnie było się upijać. Postanowiłem, że zawsze będę to lubił. Po pijaku znikało wszystko, co jednoznaczne, a jak człowiek dość często ucieka przed jednoznacznością, to może sam też w końcu nie stanie się jednoznaczny.

Spojrzałem na Jima.

– Pij, gnoju.

Rzuciłem pustą puszką przez cały pokój.

– Opowiedz mi jeszcze coś o swojej matce, chłoptasiu. Co mówiła o tym facecie, który w wannie pił jej szczyzny?

– Że jelenie rodzą się co minutę.

– Jim.

– No?

– Pij. Bądź facet!

Podniósł puszkę, ale zaraz pobiegł do łazienki. Usłyszałem, że znowu rzuca pawia. Po chwili wrócił i usiadł w fotelu. Nie najlepiej wyglądał.

– Muszę się położyć – powiedział.

– Jimmy – odparłem. – Zostanę, póki nie wróci twoja matka.

Jimmy wstał z fotela i ruszył w stronę sypialni.

– A jak wróci, to ją zerżnę, Jimmy.

Nie słyszał, co mówię. Szedł do sypialni.

Poszedłem do kuchni po piwo.

Siedziałem, piłem piwo i czekałem na Clare. Gdzie się ta kurwa podziewa? Nie mogę tolerować takiego spóźnienia. Trzeba ludzi krótko trzymać.

Wstałem i poszedłem do sypialni. Jim leżał na łóżku z twarzą w poduszce. Nie rozebrał się ani nie zdjął butów. Wyszedłem stamtąd.

Chłoptaş najwyraźniej miał słabą głowę. A Clare potrzebowała mężczyzny. Usiadłem, otworzyłem kolejne piwo i zdrowo sobie pociągnąłem. Na stoliku leżała paczka papierosów. Zapaliłem.

Nie wiem, ile wypłem piw, czekając na Clare, ale wreszcie klucz zazgrzytał w zamku i otworzyły się drzwi. Stała w nich Clare, złocista blondyna o imponującej figurze. Imponująca figura stała na wysokich obcasach i lekko się chwiała. Żaden rzeźbiarz nie wyobraziłby sobie lepszej. Gapiły się na nią nawet ściany, abażury, fotele, dywan. Istne czary. Chociaż nic nie robiła, tylko stała...

– Coś ty za jeden? Co to ma znaczyć, do ciężkiej cholery?

– Clare, przecież my się znamy. Jestem Hank, kolega Jimmy'ego.

– Wynos się!

Wybuchnąłem śmiechem.

– Kochanie, ja się nie wynoszę, tylko wprowadzam! Będziemy razem żyli!

– Gdzie jest Jimmy?

Pobiegła do sypialni i zaraz wróciła.

– Ty mały chujku! Co tu się w ogóle dzieje?

Sięgnąłem po papierosa i zapaliłem. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Jesteś piękna, kiedy się gniewasz...

– A ty jesteś cholernym gówniarzem, który się uchłwał piwem. Idź do domu.

- Siadaj, mała. Napij się piwa.
- Usiadła. Bardzo mnie to zdziwiło.
- Uczysz się w Chelsey, prawda? – spytała.
- No. Kumpluję się z Jimem.
- To ty jesteś Hank.
- Tak.
- Opowiadał mi o tobie.
- Podałem jej puszkę piwa. Ręka mi się trzęsła.
- Napij się, kochanie.

Otworzyła puszkę i pociągnęła łyżeczkę.

Patrząc na nią podniosłem swoją puszkę i też sobie strzeliłem. Z Clare był kawał baby, w typie Mae West. Ubrana była w tym samym stylu, w obcisłą sukienkę. Miała szerokie biodra, potężne uda. No i piersi. Niebawale piersi.

Założyła nogę na nogę. Trochę jej się zadarła spódnica. Nogi miała cudowne – pełne, opalone na złoty kolor, w pończochach, które przylegały jak skóra.

- Znam twoją matkę – powiedziała.

Opróżniłem puszkę i postawiłem przy własnych butach. Otworzyłem następną, upiłem trochę i znów spojrzałem na Clare. Sam nie wiedziałem, czy patrzeć na jej piersi, nogi czy zmęczoną twarz.

- Przepraszam, że tak upiłem pani syna. Ale muszę coś pani powiedzieć.

Odwróciła głowę, zapaliła papierosa i znowu popatrzyła w moją stronę.

- Tak?
- Kocham cię, Clare.

Nie wyśmiała mnie, tylko uśmiechnęła się leciutko, ledwo unosząc kąciki ust.

– Biedne kurczątko. Przecież dopiero co się wyklułeś.

Miała rację, ale się na nią wściekłem. Może właśnie dlatego, że miała rację. Wypiłem morze piwa i marzyła mi się całkiem inna rola. Pociągnąłem jeszcze jeden łyk, spojrziałem na nią i powiedziałem:

– Nie pierdol, tylko podnieś kieckę i pokaż mi kawałek nogi. Pokaż mi kawałek uda.

– Przecież jesteś jeszcze chłopcem.

I wtedy powiedziałem – sam nie wiem, skąd wytrzasnąłem właśnie te słowa, ale powiedziałem:

– Przerznąłbym cię na pół, mała, tylko mi daj.

– Serio?

– Serio.

– No dobra. Zaraz zobaczymy.

I jakby nigdy nic rozkraczyła się i podciągnęła sukienkę.

Była bez majtek.

Zobaczyłem jej potężne białe uda, całe zwały ciała. Na lewym udzie od wewnątrz sterczała spora brodawka, a między nogami rósł gąszcz splątanych włosów. Wcale nie były złociste tak jak te na głowie, tylko brunatne, przetykane siwizną, stare jak chory, usychający krzak, smutne i bez życia.

Wstałem.

– Muszę już iść, proszę pani.

– Jezu, zdawało mi się, że masz chęć zabalować!

– Nie, bo w drugim pokoju śpi pani syn.

– Nim się nie przejmuj, Hank. Jest zupełnie padnięty.

– Nie, proszę pani. Naprawdę muszę już iść.

– No to zjeżdżaj, szczyłu pierdolony!

Wyszedłem na korytarz, zamknąłem za sobą drzwi i po chwili znalazłem się na ulicy.

Pomyśleć, że człowiek popełnił samobójstwo przez takie coś.

Noc zaczęła mi się nagle podobać. Poszedłem w stronę domu rodziców.

Rozdział 44

Widziałem, jaką drogę mam przed sobą. Byłem biedny i tak już miało zostać. Ale właściwie nie chciałem pieniędzy. W ogóle nie wiedziałem, czego chcę. Owszem wiedziałem: mieć jakąś dobrą kryjówkę, jakieś miejsce, gdzie mógłbym nic nie robić. Na samą myśl, że muszę kimś zostać, ogarniał mnie nie tylko strach, ale wręcz mdłości. Nie mogłem znieść myśli, że zostanę prawnikiem, radnym, inżynierem czy kimś takim. Ożenię się, będę miał dzieci, dam się złapać w strukturę rodzinną. Codziennie będę chodził do pracy i wracał. Niemożliwa sprawa. Robić to i owo, załatwiać jakieś proste drobiazgi, brać udział w rodzinnych piknikach, Gwiazdkach, Czwartych Lipca, Dniach Pracy, Dniach Matki... czy człowiek rodzi się tylko po to, żeby znosić takie rzeczy, a potem umrzeć? Wolałbym już zmywać gary, wracać do jakiejś klatki i samotnie upijać się do snu.

Ojciec obmyślił dalekosiężny plan.

– Synu – powiedział. – Każdy mężczyzna powinien w życiu kupić jeden dom. Kiedy umrze, zostawi go swojemu synowi. Ten syn też potem kupi sobie dom, a po jego śmier-

ci oba przejdą na jego syna. To razem daje dwa domy. Syn syna kupi sobie dom, to w sumie będą trzy...

Struktura rodzinna. Przeciwności pokonuje się dzięki rodzinie. On w to naprawdę wierzył. Bierze się rodzinę, miesza z Bogiem i Ojczyzną, dodaje dziesięciogodzinny dzień pracy i ma się to, o co chodzi.

Spojrzałem na ojca, na jego ręce, twarz, brwi, i zrozumiałem, że nie mam z tym człowiekiem nic wspólnego. Był obcy. Moja matka nie istniała. A ja byłem przeklęty. Patrząc na ojca, widziałem tylko tępotę przekraczającą granice przyzwoitości. Co gorsza, ojciec jeszcze bardziej niż większość ludzi bał się, że z czymś nawali. Całe stulecia chłopskiej krwi i chłopskiego wychowania. Krew rodu Chinarskich rozwodniły pokolenia wieśniaków, którzy idąc na służbę, zrzekali się swojego prawdziwego życia w zamian za drobne i złudne korzyści. Ani jeden z tego rodu nie powiedział:

– Basta! Nie chcę domu, chcę mieć tysiąc domów, i to już!

Posłał mnie do szkoły dla bogatych, bo miał nadzieję, że przyswoję sobie postawę rozkazodawcy, patrząc, jak bogaci koleśie zajeżdżają z piskiem opon tymi swoimi kremowymi autami i rwą kolorowo ubrane dziewczyny. Ale ja tylko się tam przekonałem, że biedacy zwykle pozostają biedni. A młodzi bogacze wyczuwają smród biedy i z czasem dochodzą do wniosku, że jest trochę śmieszny. Muszą się z niego śmiać, bo inaczej by ich przerażał. Przekonali się o tym w ciągu stuleci. Czułem, że nigdy nie przebaczę dziewczynom, które wsiadały do kremowych aut roześmianych chłopców. Dziewczyny oczywiście nic nie zawiniły, to było

od nich silniejsze, ale człowiek zawsze sobie myśli, że może jednak... Nie, nie było miejsca na żadne „może”. Majątek dawał zwycięstwo, a oprócz zwycięstwa nic się nie liczyło.

Która kobieta zechce żyć z pomywaczem?

Przez całą szkołę średnią starałem się za dużo nie myśleć o tym, co ze mną w końcu będzie. Wydawało mi się, że lepiej to myślenie odłożyć na później...

W końcu nadszedł dzień rozdania świadectw. Odbył się z tej okazji bal w sali gimnastycznej dziewczyn. Była muzyka na żywo, prawdziwa kapela. Sam nie wiem, dlaczego przyszedłem wtedy pod szkołę, ponad cztery kilometry od domu rodziców. Stałem w ciemnościach, zająłem przez okno zasłonięte siatką i dopiero się zdziwiłem. Dziewczyny wyglądały bardzo dojrzałe, dostojnie, po prostu prześlicznie. Miały na sobie długie suknie i wszystkie były piękne. Ledwo je poznałem. Chłopcy w smokingach też wyglądali ekstra. Tańczyli wyprostowani, każdy z dziewczyną w objęciach, i wtulali twarze we włosy partnerek. Wszyscy umieli pięknie tańczyć, a muzyka też była super – głośny, czysty, potężny dźwięk.

Nagle mignęło mi w szybie moje własne odbicie – twarz cała w krostach i bliznach, obszarpana koszula. Przypominałem jakieś zwierzę, które wyszło z dżungli zwabione światłem i zagłąda w okno. Po co tam przyszedłem? Robiło mi się niedobrze, a mimo to patrzyłem. Taniec się skończył. Była przerwa. Partnerzy rozmawiali bez żadnego skrępowania. Wszystko odbywało się normalnie i kulturalnie. Gdzie oni się nauczyli rozmawiać i tańczyć? Nie umiałem

ani jednego, ani drugiego. Każdy człowiek umiał coś, czego ja nie potrafiłem. Dziewczyny były ładne, chłopcy przystojni. Bałbym się choćby spojrzeć na którąś z tamtych dziewczyn, a co dopiero być z nią blisko. Nie było mowy, żebym popatrzył dziewczynie w oczy albo zatańczył.

A jednak zdawałem sobie sprawę, że to, co widzę, wcale nie jest takie proste i dobre, jak się na pozór wydaje. Za to wszystko należało zapłacić cenę ogólnego fałszu, który łątwo budził wiarę, a mógł być pierwszym krokiem w głąb ślepej uliczki. Kapela znów zagrała i wszyscy zaczęli tańczyć, a nad głowami wirowały im kolorowe reflektory, rzucając na nich plamy światła – złote, czerwone, niebieskie, zielone i znowu złote. „Kiedyś i ja zacznę swój taniec – pomyślałem, patrząc na tamtych. – A gdy wreszcie przyjdzie ten dzień, będę miał coś, czego oni nie mają”.

W końcu jednak zacząłem mieć potąd tego wszystkiego. Nienawidziłem ich. Nienawidziłem ich urody, beztrojskiej młodości. Kiedy patrzyłem, jak tańczą w czarodziejskich kałużach wielobarwnego światła, w pół objęci, szczęśliwi, kiedy tak patrzyłem na te dzieci, niczym na razie nie drażnione, cieszące się chwilowym powodzeniem, nienawidziłem ich, bo mieli coś, czego mnie jeszcze nikt nie dał, więc powiedziałem sobie: „Pewnego dnia będę szczęśliwszy niż wy, zobaczycie”.

Tańczyli dalej, więc jeszcze raz im to powtórzyłem.

Z tyłu usłyszałem jakiś odgłos.

– Hej, ty, co tu robisz?

Był to jakiś dziadyga z latarką. Głowę miał jak żabi łeb.

– Patrzę, jak tańczą.

Podetknął sobie latarkę pod nos. Wielkie, okrągłe oczy przy księżycu błyszczały mu jak kotu. Miał zwiędłe, zapad-

nięte usta i okrągłą głowę. Była jakoś tak głupio okrągła, że wyglądał na głaba, który udaje głębię mądrości.

– Bierz dupę w troki i zjeżdżaj!

Przejechał po mnie snopem światła z latarki.

– Kto pan jest?

– Nocny stróż. Zabieraj się stąd, bo zawołam policję!

– Po co? Przecież to jest bal absolwentów, a ja właśnie jestem absolwentem.

Zaświecił mi latarką w twarz. Orkiestra grała akurat „Ciemny fiolet”.

– Gówno prawda! – powiedział. – Masz co najmniej dwadzieścia dwa lata!

– Jestem na liście. Henry Chinaski, rocznik trzydziesty dziewiąty.

– No to dlaczego się nie bawisz razem ze wszystkimi?

– Mniejsza. Idę do domu.

– Radzę ci, idź.

Odszedłem stamtąd. Nie zatrzymywałem się, tylko szedłem dalej. Światło latarki stróża biegło w ślad za mną, skacząc po ścieżce. Wyszedłem poza teren szkoły. Noc była przyjemna, tak ciepła, że prawie upalna. Wydawało mi się, że widzę świetliki, ale głowy bym nie dał.

Rozdział 45

Rozdanie świadectw. Weszliśmy gęsiego do auli, każdy w czapce i todze. Orkiestra grała „Uroczysty dzień”. Czegoś pewnie się nauczyliśmy przez te trzy lata. Prawdopodobnie trochę opanowaliśmy ortografię, no i podrośliśmy. Wciąż jeszcze byłem prawiczkiem. „Ty, Henry, miałeś już jakąś dupę?”. „Nie ma szans” – odpowiedziałbym.

Obok mnie siedział Jimmy Hatcher. Dyrektor przemawiał. Musiał chyba wyskrobać na tę okazję najgorsze pierduły, jakie miał w zapasie.

– Ameryka to kraina wielkiej szansy. Każdy, komu na tym zależy, odniesie sukces.

– Jako pomywacz – wtrąciłem.

– Hycel – dodał Jimmy.

– Włamywacz.

– Śmieciarz.

– Pielęgniarz u czubków.

– Ameryka to wspaniały kraj stworzony rękami wspaniałych ludzi... Żyjemy w społeczeństwie sprawiedliwym...

– Zwłaszcza dla niektórych – powiedział Jimmy.

– ...w społeczeństwie równych szans, więc każdy, kto próbuje uchwycić wymarzony koniec tęcz, znajdzie...

– Kosmate pełzające gówno – podsunąłem.

– ...i stwierdzam bez wahania, że ten oto rocznik trzydziesty dziewiąty, kończący szkołę w niespełna dziesięć lat po tym, jak zaczął się nasz straszliwy ogólnonarodowy kryzys, otóż ten właśnie rocznik wykazał najwięcej odwagi, zdolności i uczucia ze wszystkich roczników, których rozwój miałem przyjemność oglądać!

Matki, ojcowie i inni krewni zaczęli klaskać jak szaleni; niektórzy uczniowie przyłączyli się do tych oklasków.

– Roczniku trzydziesty dziewiąty, jestem dumny z czekającej cię przyszłości. Nie wątpię, że będzie wspaniała. Wysyłam was w świat, na spotkanie wielkiej przygody!

Większość absolwentów wybierała się na Uniwersytet Południowej Kalifornii, żeby jeszcze przez co najmniej cztery lata nie musieć pracować.

– A towarzyszyć wam będą moje modlitwy i błogosławieństwa!

Ci, którzy zdali z wyróżnieniem, pierwsi dostali dyplomy. Wywołano Abe Mortensona. Biłem brawo, kiedy odbierał dyplom.

– Ciekawe, gdzie wyląduje? – powiedział Jimmy.

– Będzie układał kosztorysy w koncernie produkującym części samochodowe. Tu, w Kalifornii. Gdzieś w okolicach Gardeny.

– Całe życie na jednej posiadzie...

– Całe życie z jedną żoną...

– Abe nigdy nie będzie zdołowany...

– Ani szczęśliwy.

- Posłuszny facet...
- Flimon.
- Drętusus.
- Łajza.

Kiedy ciało pedagogiczne rozprawiło się z wyróżnionymi, wzięło się za nas. Niewyraźnie się czułem w tej auli. Miałem ochotę wstać i wyjść.

- Henry Chinaski! – wywołano mnie.
- Urzędnik państwowy – powiedziałem do Jimmy’ego.

Przeszedłem przez całe podium i wziąłem dyplom. Dyrektor podał mi rękę. Była oślizgła jak wnętrze brudnego akwarium. (W dwa lata później wydało się, że zdefraudował szkolne pieniądze; postawiono go przed sądem, skazano i wsadzono do więzienia).

Wracając na miejsce, przeszedłem obok Mortensona i reszty wyróżnionych. Abe pokazał mi „takiego wała”, ale ukradkiem, żebym tylko ja widział. Szlag mnie trafił, takie to było nieoczekiwane.

Usiadłem obok Jimmy’ego.

– Mortenson pokazał mi „takiego wała”!

– Nie mów!

– A to skurwysyn! Popsuł mi cały humor! Dzień i tak był zaszrany, a ten mnie do reszty upierdolił!

– W pale się nie mieści, że miał tyle jaj!

– To wcale nie w jego stylu. Myślisz, że ktoś go podpuścił?

– Nie mam pojęcia.

– Przecież wie, że mogę zrobić z niego miazgę, i to jednym palcem!

– Zrób z niego miazgę!

– Ale on już mnie załatwił, kapujesz? Żeby tak człowieka zaskoczył!

– Skop mu porządnie dupę i po sprawie.

– Myślisz, że ten chuj czegoś się nauczył z tych swoich książek? Przecież w nich nic nie ma. Wiem, bo czytałem co czwartą stronę.

– Jimmy Hatcher! – rozległo się od strony podium.

– Pastor – powiedział Jimmy.

– Hodowca drobiu – odparłem.

Jimmy wszedł na podium i wziął swój papierek. Głośno klaskałem. Komuś, kto umiał wytrzymać z taką matką, należały się brawa. Wrócił i usiadł obok. Dalej patrzyliśmy, jak złota młodzież odbiera dyplomy.

– Nie ich wina, że są bogaci – powiedział Jimmy.

– Nie, to wina ich pierdolonych rodziców.

– I dziadków.

– No. Chętnie bym im zabrał te ich nowe auta i ładne dziewczyny i miałbym w dupie sprawiedliwość społeczną.

– Aha. Większość ludzi chyba tylko wtedy myśli o niesprawiedliwości, kiedy właśnie im ktoś robi krzywdę.

Korowód złotej młodzieży paradował przez podium, a ja się zastanawiałem, czy Abe powinien dostać w zęby. Wyobrażałem sobie, jak od mojego prawego sierpa osuwa się na chodnik w tej swojej czapce i todze, a wszystkie ślicznotki drą się na całe gardło i myślą: „Boże, ten cały Chinaski to dopiero musi być ogier!”

Tylko że Abe był cherlak, prawie przeźroczysty. Mogłem go rozłożyć, i to lekko. Postanowiłem dać sobie z tym spokój. I tak już złamałem mu rękę, a jego starzy nie ciągali moich po sądach. Gdybym mu dał w łeb, tym razem na

pewno by poszli do sądu. Ogołociliby mojego starego do ostatniego centa. Nic by mnie to zresztą nie obeszło. Chodziło mi o matkę: cierpiałyby jak głupia: bez sensu, bezmyślnie.

Uroczystość wreszcie się skończyła. Uczniowie wstali z miejsc i wyszli. Na trawniku przed gmachem spotkali się z rodzicami i innymi krewnymi. Uściskom nie było końca. Zobaczyłem, że na mnie też czekają rodzice. Podszedłem i stanąłem jakieś półtora metra od nich.

– Chodźmy stąd, ale już – powiedziałem.

Matka patrzyła na mnie.

– Henry, taka jestem z ciebie dumna!

Nagle spojrzała w inną stronę.

– O, idzie Abe ze swoimi rodzicami! To tacy mili ludzie! Ach, pani Mortenson!

Tamci przystanęli. Matka podbiegła do nich i rzuciła się Mortensonowej na szyję. To właśnie pani Mortenson po wielu godzinach rozmów telefonicznych z moją matką zdecydowała, że procesu nie będzie. Uznano, że mam jakieś zaburzenia i matka tak czy owak dość się przeze mnie nacierpiała.

Ojciec podał rękę panu Mortensonowi, a ja podszedłem do Abe'a.

– Gadaj, chuju jebany, co to miało znaczyć?

– Co?

– To! – pokazałem mu „takiego wała”.

– O czym ty mówisz?

– Pokazałeś mi „takiego wała”!

– Henry, ja naprawdę nie mam pojęcia, o co ci chodzi!

– Abraham, pora na nas! – powiedziała jego matka.

Mortensonowie odeszli całą rodziną. Stałem i patrzyłem w ślad za nimi. Potem my też poszliśmy do naszego starego wozu. Szliśmy na zachód, a na rogu skręciliśmy na południe.

– Ten chłopak Mortensonów to dopiero umie się przyłożyć do pracy! – rzekł ojciec. – Jak ty sobie dasz radę w życiu? Ani razu nie widziałem, żebyś chociaż popatrzył na okładkę podręcznika, a co dopiero zajrzał do środka!

– Niektóre książki są straszne nudne – powiedziałem.

– Nudne? Nauka ci nie w smak? A co ty właściwie umiesz? Do czego się nadajesz? Co potrafisz? Wydałem tysiące dolarów, żeby cię wychować, nakarmić, ubrać! A jakbym tak cię tu zostawił na ulicy? Co byś zrobił?

– Łapałbym motyle.

Matka zaczęła płakać. Ojciec pociągnął ją za sobą, tam gdzie zostawili ten swój dziesięcioletni samochód. Stałem na ulicy, a inne rodziny śmigaly dokądś nowymi autami.

Nadszedł Jimmy Hatcher ze swoją matką. Przystanęła na chwilę.

– Zaczekaj – powiedziała do Jimmy’ego. – Chcę pogratulować Henry’emu.

Jimmy zczekał, a Clare podeszła do mnie. Przysunęła twarz blisko mojej i powiedziała cicho, żeby Jimmy nie usłyszał:

– Wiesz, złotko, jakbyś chciał dostać prawdziwe świadectwo dojrzałości, to ci mogę załatwić.

– Dziękuję, Clare. Może kiedyś wpadnę.

– Urwę ci jaja, Henry!

– Nie wątpię, Clare.

Wróciła do Jimmy'ego i razem odeszli.

Podjechało bardzo stare auto i stanęło przy mnie. Silnik zgasł. Widziałem, że matka płacze. Wielkie łzy spływały jej po policzkach.

– Chodź, Henry! Wsiądź, proszę cię! Ojciec ma rację, ale ja cię kocham!

– Nie zwracaj sobie głowy. Mam gdzie pójść.

– Nie, Henry, chodź! – jęczała. – Pojedź z nami, bo umrę!

Podszedłem do wozu, otworzyłem tylne drzwiczki i wsiadłem. Silnik zapalił i ruszyliśmy. Ja, Henry Chinaski, rocznik trzydziesty dziewięty, jechałem ku świetlanej przyszłości. Przepraszam: nie jechałem, wieziono mnie. Na pierwszym czerwonym świetle zgasł silnik. Ojciec nie zdążył go uruchomić, nim zapaliło się zielone. Z tyłu ktoś zatrąbił. Ojcu wreszcie udało się zapalić i znowu ruszyliśmy. Matka już nie płakała. Jechaliśmy we troje i nikt się nie odzywał.

Rozdział 46

Wciąż było ciężko. Nikt nie zdziwił się bardziej niż ja sam, kiedy zadzwoniono od Mearsa-Starbucka, żebym w najbliższy poniedziałek zgłosił się do pracy. Obszedłem całe miasto i wszędzie składałem podania. Nie było innego wyjścia. Wcale nie chciałem pracować, ale mieszkać z rodzicami też nie miałem ochoty. U Mearsa-Starbucka musiały leżeć tysiące takich zgłoszeń jak moje. Nie mogłem uwierzyć, że wybrano akurat mnie i odtąd mam pracować w tym domu towarowym, który ma filie w tylu miastach.

W poniedziałek poszedłem do pracy, niosąc w papierowej torbie drugie śniadanie. Dom towarowy stał tylko o parę ulic od mojego liceum.

Dalej nie rozumiałem, czemu właśnie mnie wybrano. Wypełniłem kwestionariusz, a potem rozmawiano ze mną raptem kilka minut. Widać trafnie odpowiedziałem na wszystkie pytania.

„Za pierwszą wypłatę wynajmę sobie pokój w centrum, niedaleko biblioteki miejskiej” – pomyślałem.

Kiedy tak szedłem, nie czułem się szczególnie samotny, bo i nie byłem. Zauważyłem, że idzie za mną wygłodzony kundel. Biedne stworzenie było przeraźliwie chude; sterczały mu żebra, prawie cała sierść wyliniała. Resztki zwisały suchymi, skręconymi kępkami. Ten pies na pewno był bity, upokarzany, porzucany, zastraszonej – ofiara gatunku *Homo sapiens*.

Przystanąłem i ukląknąłem. Wyciągnąłem do niego rękę. Cofnął się.

– No chodź, kolego, nic ci nie zrobię... No chodź, chodź...

Podszedł bliżej. Miał strasznie smutne oczy.

– Co oni ci zrobili, stary?

Podszedł jeszcze bliżej. Pełznął po chodniku, dygotał i nawet dosyć szybko merdał ogonem. Wtem sko czył na mnie. Był duży, chociaż taki zabiedzony. Pchnął mnie przednimi łapami, aż padłem na wznak. Leżałem jak długi, a on lizał mnie po twarzy, po ustach, uszach, czole, gdzie popadło. Odepchnąłem go, wstałem i wytarłem twarz.

– Uspoko się! Musisz coś zjeść! Czekać, zaraz będzie jedzenie!

Sięgnąłem do torby po kanapkę. Odwinąłem ją z papieru i ułamałem kawałek.

– Podzielimy się, stary!

Położyłem jego porcję na chodniku. Zbliżył się, powąchał i odszedł chyłkiem, oglądając się za siebie.

– Czekać, koleś! To było tylko masło fistaszkowe! Chodź, spróbuj kiełbasy! No chodź, stary! Wróć!

Zawrócił i ostrożnie podszedł. Wybrałem z torby kanapkę z kiełbasą, urwałem kawałek, otarłem go z taniej, wodnistej musztardy i położyłem na chodniku.

Pies podszedł, przytknął nos, powąchał, odwrócił się i poszedł sobie. Tym razem już się nie obejrzał. Szedł coraz szybciej.

Nic dziwnego, że przez całe życie miałem depresję. Źle mnie odżywiano.

Ruszyłem w stronę domu towarowego, w którym miałem pracować. Szedłem tą samą ulicą, którą w ostatnich latach chodziłem do szkoły.

Wreszcie znalazłem się na miejscu. Odszukałem wejście dla personelu, pchnąłem drzwi i wszedłem. Prosto ze słonecznej ulicy wylądowałem w półmroku. Kiedy oczy przywykły, zobaczyłem, że o kilka metrów ode mnie stoi jakiś mężczyzna. Brakowało mu połowy lewego ucha – widocznie ktoś mu je obciął. Był wysoki i bardzo chudy. Źrenice miał szare, małe jak łebki od szpilek, a całe oczy zupełnie bezbarwne. Chociaż był taki wysoki i chudy, nad samym paskiem od spodni sterczał mu o dziwo żałosny i wstrętny brzuch. Cały jego tłuszcz zgromadził się w tym brzuchu, a reszta ciała wychudła.

– Jestem Ferris, kierownik – powiedział. – A to pewnie pan Chinaski?

– Tak jest.

– Spóźniłeś się pięć minut.

– Spóźniłem się, bo... Zatrzymałem się, żeby nakarmić głodnego psa – odparłem z uśmiechem.

– Niewiele słyszałem równie kiepskich wymówek, a pracuję tu już trzydzieści pięć lat. Nie mogłeś wymyślić czegoś lepszego?

– Ja dopiero zaczynam, panie kierowniku.

– I o mało co od razu nie skończyłeś. Patrz. Tu jest zegar – powiedział, wskazując palcem – a tu wiszą przepustki. Znajdź swoją i odbij godzinę.

Znalazłem przepustkę. Henry Chinaski, numer 68 754. Podszedłem z nią do zegara, ale nie wiedziałem, co dalej.

Ferris stanął za mną.

– Masz już sześć minut spóźnienia – rzekł, patrząc na zegar. – Przy dziesięciu minutach potrącamy ci całą godzinę.

– To chyba już lepiej od razu spóźnić się godzinę.

– Żarty na bok. Jak chcę się pośmiać, to słucham Jacka Benny'ego. Za godzinę spóźnienia wywalimy cię w cholerę.

– Przepraszam, ale nie umiem obsługiwać tego zegara. Jak się odbija godzinę?

Ferris wyrwał mi przepustkę i wskazał ją palcem.

– Widzisz tę rubrykę?

– No.

– Słucham?

– Chciałem powiedzieć, że tak.

– Przeznaczona jest na pierwszy dzień tygodnia. Czyli na dzisiaj.

– Aha.

– Wsuwasz przepustkę.

Wetknął kartę w otwór w zegarze i wyciągnął z powrotem.

– A jak już tu siedzi, to naciskasz dźwignię.

Tak też zrobił, tylko że przepustka wcale nie siedziała w zegarze.

– Rozumiem. No to zaczynamy.

– Nie, poczekaj.

Jeszcze raz mi pokazał przepustkę.

– Kiedy wychodzisz na lunch, odbijasz godzinę w drugiej rubryce.

– Tak, rozumiem.

– Czas powrotu odbijasz w trzeciej. Przerwa na lunch trwa pół godziny.

– Pół godziny. Zapamiętam.

– Wychodząc z pracy, odbijasz godzinę w ostatniej rubryce. Czyli razem cztery odbicia dziennie. Wracasz do domu, do wynajętego pokoju czy gdzie tam mieszkasz, na drugi dzień przychodzisz do pracy i znów cztery razy odbijasz godzinę, i tak już będzie codziennie, aż wylecisz na bruk, sam się zwolnisz, umrzesz albo przejdziesz na emeryturę.

– Rozumiem.

– I zdaj sobie sprawę, że przez ciebie opóźniło się przemówienie wprowadzające, które mam wygłosić do nowych pracowników, a sam chwilowo jesteś jednym z nich. Bo właśnie ja tu rządę. Moje słowo jest prawem, a twoje życzenia nic nie znaczą. Jeżeli mi się cokolwiek w tobie nie spodoba – to, jak sznurujesz buty, jak się czeszesz albo pierdzisz – z miejsca lądujesz na ulicy, jasne?

– Tak, panie kierowniku!

Jakaś młoda szatynka na wysokich obcasach wparowała zamaszystym krokiem. Długie włosy frunęły za nią w powietrzu. Ubrana była w obcisłą czerwoną sukienkę. Miała wydatne wargi, którym dodawał ekspresji nadmiar szminki. Teatralnym gestem wyjęła z przegródki swoją przepustkę, odbiła godzinę i dysząc z lekkiego podniecenia wsunęła kartę na miejsce.

Przelotnie spojrzała na Ferrisa.

– Cześć, Eddie!

– Cześć, Diana!

Widać było, że to ekspedientka. Ferris podszedł do niej. Chwilę stali i rozmawiali. Nie uchwyciłem słów, ale słyszałem, jak się śmieją. W końcu przerwali rozmowę. Diana poszła do wind i zaczęła czekać, aż któraś po nią przyjedzie. Ferris wrócił z moją przepustką w rękę.

– To ja teraz odbiję godzinę, panie kierowniku – powiedziałem.

– Sam ci odbiję. Na dobry początek.

Wetknąłem moją przepustkę do zegara i zaczekałem. Słyszałem, jak zegar tyka. Wreszcie Ferris nacisnął dźwignię. Odłożył przepustkę na miejsce.

– To ile się spóźniłem, panie kierowniku?

– Dziesięć minut. Chodź za mną.

Zrobiłem, jak kazał.

Zobaczyłem kilka osób, które na niego czekały.

Czterej mężczyźni i trzy kobiety. Sami starzy. Mieli chyba jakieś problemy ze śliniankami. W kącikach ust zbierały im się grudki śliny, która wyschła i zbielała, a potem pokryła ją świeżą, mokra warstwa. Jedni byli za chudzi, inni za grubi. Niektórzy mieli słaby wzrok, inni drżączkę. Jeden starszy jegomość w jaskrawej koszuli był garbaty. Wszyscy uśmiechali się i kasłali, paląc papierosy.

Nagle załapałem, w czym rzecz.

U Mearsa-Starbucka dobierano takich, co nie odejdą. Firma nie życzyła sobie dużej rotacji kadr (jasne było, że świeży narybek, który właśnie zobaczyłem, może odpłynąć najwyżej na tamten świat, a póki co będzie pracował

z wdzięcznością i oddaniem. Otóż wybrano mnie, żebym pracował z takimi ludźmi. Panienska z kadr uznała, że moje miejsce jest wśród tych żałosnych nieudaczników.

Co pomyślą chłopaki ze szkoły, jak mnie tu zobaczą? Przecież w ostatniej klasie byłem jednym z największych zabijaków.

Podszedłem do tamtych i stanąłem razem z nimi. Ferris usiadł na stole przodem do nas. Z okna nad drzwiami padała na niego smuga światła. Zaciągnął się papierosem i uśmiechnął.

– Witamy w firmie Mears-Starbuck...

Na chwilę pogрузił się w zadumie. Może wspominał ten dzień sprzed trzydziestu pięciu lat, kiedy zaczął pracować w domu towarowym. Puścił ustami parę kótek i patrzył, jak się wznoszą. W świetle padającym z góry jego przycięte ucho robiło spore wrażenie.

Obok mnie stał jakiś nieduży człowieczek, cały pokręcony. Wbił mi w bok spiczasty łokieć. Należał do tych osobników, którzy tak wyglądają, jakby im lada chwila miały spaść okulary. Był brzydszy ode mnie.

– Cześć! – szepnął. – Jestem Mewks. Odell Mewks.

– Cześć, Mewks.

– Słuchaj, synu, chodź skoczmy po pracy we dwóch gdzieś do baru. Może poderwiemy jakieś lalki.

– Nie mogę, Mewks.

– Boisz się dziewczyn?

– Muszę się opiekować bratem.

– Jest chory?

– Żeby tylko chory. Rak! Do nogi ma przyczepioną butelkę i musi do niej sikać przez rurkę.

Ferris znów zaczął mówić:

– Na początek dostaniecie czterdzieści cztery i pół centa za godzinę. Związków zawodowych nie tolerujemy. Dyrekcja uważa, że dobro firmy jest waszym dobrem. Żyjemy tu jak w rodzinie, złączeni wspólnym celem: służyć i korzystać. Każdy z was dostanie dziesięcioprocentową zniżkę na wszystkie produkty zakupione u Mearsa-Starbucks...

– O rany! – głośno powiedział Mewks.

– Tak, panie Mewks, to korzystna oferta. Dbajcie o nas, to i my zadbamy o was.

„Mógłbym spędzić u Mearsa-Starbucks czterdzieści pięć lat – pomyślałem. – Żyłbym z jakąś wariatką, dałbym sobie obciąć połowę lewego ucha, a jak Ferris przeszedłby na emeryturę, to może odziedziczyłbym jego stanowisko”.

Ferris powiedział nam jeszcze, na ile wolnych dni możemy liczyć, i wreszcie skończył. Każdy dostał swój kitel i klucz od szafki i wysłano nas do magazynów w suterenie.

Ferris też tam pracował. Obsługiwał telefony. Ilekroć rozlegał się dzwonek, lewą ręką przykładł słuchawkę do resztek lewego ucha, a prawą dłoń przytrząskiwał lewą pachą.

– Tak? Tak? Już wysyłam!

– Chinaski!

– Słucham, panie kierowniku.

– Dział bielizniarstwa...

Sięgał po specjalny notes i zapisywał, ile czego zamówiono. Zawsze robił to dopiero po odłożeniu słuchawki, nigdy wcześniej.

– Znajdź to wszystko, dostarcz na miejsce, weź pokwitowanie i wracaj.

Za każdym razem wygłaszał dokładnie ten sam tekst.

Swoj pierwszy transport rzeczywiście dostarczyłem do działu bielizniarstwa. Najpierw wybrałem z półek wszystko co trzeba, załadowałem zielony wózek na czterech gumowych kołach i pojechałem do windy. Winda była akurat gdzieś na górze. Nacisnąłem guzik i zacząłem czekać. Po pewnym czasie zobaczyłem spód zjeżdżającej kabiny. Strasznie się wlokła. Wreszcie zjechała do sutereny. Otworzyły się drzwi. Przy tablicy rozdzielczej stał albinos. O Jezu.

Spojrzał na mnie.

– Jesteś tu nowy, co? – spytał.

– Aha.

– Jak ci się podoba Ferris?

– Moim zdaniem to wspaniały facet.

Mieszkali pewnie we wspólnym pokoju i mieli dyżury przy kuchence elektrycznej.

– Nie mogę cię teraz zabrać.

– Dlaczego?

– Muszę się wysrać.

Wysiadł z windy i gdzieś sobie poszedł.

Stałem przed windą w tym swoim kitlu. Tak to już w życiu było. Człowiek zostawał gubernatorem albo śmieciarzem, linoskoczkiem albo bandytą, dentystą albo zbieraczem owoców, jak nie tym, to tamtym. W każdym razie chciał zrobić dobrą robotę. Obsługiwał swoją działkę, a potem musiał stać i czekać na jakiegoś dupka. Stałem w tym swoim kitlu obok zielonego wózka i czekałem, aż windziarz się wysra.

I nagle zrozumiałem, czemu złota młodzież bez przerwy się śmieje. Oni po prostu o tym wiedzą.

Wrócił albinos.

– Bomba. Ubyło mi piętnaście kilo.

– Świetnie. Możemy już jechać?

Zamknął drzwi i pojechaliśmy na piętro ze stoiskami.

Otworzył drzwi.

– Powodzenia – powiedział.

Szedłem między stoiskami, pchałem przed sobą zielony wózek i rozglądałem się za działem bielizniarstwa i jakąś panną Meadows.

Panna Meadows już na mnie czekała. Była szczupła, babka z klasą. Wyglądała jak modelka. Stała z założonymi rękami. Kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem, jakie ma oczy. Były szmaragdowe, czuło się w nich głębię i mądrość. Szkoda, że nie znam nikogo takiego jak panna Meadows. Te oczy, ta klasa. Zatrzymałem wózek przed jej ladą.

– Dzień dobry, panno Meadows – powiedziałem z uśmiechem.

– Do diabła, gdzieś ty był przez tyle czasu? – spytała.

– Szybciej nie dałem rady.

– Nie rozumiesz, że klienci czekają? Nie rozumiesz, że staram się prowadzić dział na poziomie?

Sprzedawcy zarabiali o dziesięć centów za godzinę więcej niż my, plus procent od obrotów. Z czasem się przekonałem, że nigdy się do nas przyjaźnie nie odzywają. Nie było pod tym względem żadnej różnicy między mężczyznami a kobietami. Wszyscy ekspedienci każdą próbę spoufalenia się z naszej strony uważali za zniewagę.

– Mam ochotę zatelefonować do pana Ferrisa.

– Na drugi raz lepiej się postaram, panno Meadows.

Położyłem zamówione towary na ladzie i podałem jej formularz. Wściekle nabazgrała swój podpis i nie oddała mi formularza, tylko cisnęła go na zielony wózek.

– Boże, skąd oni biorą takich ludzi!

Dopchałem wózek do windy, nacisnąłem guzik i zacząłem czekać. Drzwi otworzyły się i wjechałem z wózkiem do środka.

– Jak poszło? – spytał albinos.

– Czuję się o piętnaście kilo cięższy – odparłem.

Uśmiechnął się, zamknął drzwi i pojechaliśmy w dół.

Wieczorem przy kolacji matka powiedziała:

– Henry, taka jestem dumna, że masz tę pracę!

Nie odezwałem się.

– Nie cieszysz się, że znalazłeś zajęcie? – spytał ojciec.

– No.

– No? Tylko tyle masz do powiedzenia? Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi w tym kraju jest bez pracy?

– Pewnie sporo.

– No to powinieneś być wdzięczny losowi.

– Nie możemy zwyczajnie zjeść?

– Za jedzenie też powinieneś być wdzięczny. Wiesz, ile taka kolacja kosztuje?

Pchnąłem talerz daleko od siebie.

– Nie mogę jeść tego gówna!

Wstałem i poszedłem do swojego pokoju.

– Oj, bo przyjdę i dam ci nauczkę!

Przystanąłem.

– Będę czekał, staruszk.

Poszedłem do siebie i czekałem. Ale wiedziałem, że nie przyjdzie. Nastawiłem budzik, żeby zdążyć do Mear-

sa-Starbucka. Było dopiero wpół do ósmej, ale rozebrałem się i położyłem. Zgasilem światło i leżałem po ciemku. Nie miałem nic do roboty, nie miałem dokąd pójść. Wiedziałem, że rodzice niedługo też się położą i zgaszą światło.

Ojciec często przypominał, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Ale w jego przypadku jakoś się to nie sprawdziło. Postanowiłem, że spróbuję odwrócić ten proces.

Nie mogłem zasnąć.

A gdybym tak się poonanizował, myśląc o pannie Meadows?

Taniocha.

Po ciemku przewracałem się z boku na bok, oczekując nie wiadomo czego.

Rozdział 47

Pierwszych kilka dni u Mearsa-Starbucka wyglądało identycznie. Monotonia to w ogóle było coś, na co w tej firmie człowiek mógł liczyć. Wszyscy akceptowali system kastowy. Sprzedawcy nigdy nie rozmawiali z magazynierami, najwyżej rzucali kilka zdawkowych słów. Bolesnie to odczuwałem. Czyżby byli bardziej inteligentni od magazynierów? Lepiej się ubierali, to fakt. Wydawało im się, że być ekspedientem to nie wiem jaki wyczyn, a mnie szlag trafiał. Ale może czułbym się tak samo, gdybym był sprzedawcą. Wcale nie przepadałem za innymi magazynierami. Za sprzedawcami też nie.

„No więc mam tę robotę – myślałem, pchając wózek – i to już wszystko? Nic dziwnego, że ludzie napadają na banki. Za dużo jest upokarzających zajęć. Do diabła, dlaczego nie mogę być sędzią w Sądzie Najwyższym ani dawać solowych koncertów na fortepianie? Dlatego, że to wymaga studiów, a studia wymagają pieniędzy”. Ale ja i tak nie chciałem zostać nikim wielkim. I tu miałem fart, nie można powiedzieć.

Dopchałem wózek do windy i nacisnąłem guzik.

Kobiety chciały mężczyzn z pieniędzmi, kobiety chciały mężczyzn wybitnych. Ile szykownych kobiet żyje z kłoszardami? Ale mnie kobieta właściwie nie była potrzebna. Przynajmniej nie na stałe. Jak facet może dzielić życie z kobietą? I co to w ogóle znaczy? Marzyła mi się jaskinia w Kolorado z zapasem jedzenia i alkoholu na trzy lata. Podcierałbym się piaskiem. Wszystko byłoby lepsze niż takie pograżanie się w nudnej i banalnej egzystencji tchórza.

Z dołu podjechała winda. Przy tablicy rozdzielczej stał wciąż ten sam albinos.

– Podobno ty i Mewks zrobiliście wczoraj wieczór rundę po barach!

– Postawił mi parę piw, bo nie mam ani centa.

– Zerznęliście jakieś dupy?

– Ja nie.

– Na drugi raz może mnie też weźmiecie? Pokażę wam, jak się rwie.

– A co ty o tym wiesz?

– Niejedno się przeżyło. W zeszłym tygodniu miałem Chinę. I wiesz co, jest dokładnie tak, jak ludzie mówią.

– Czyli?

Zjechaliśmy do sutereny i drzwi się otworzyły.

– One mają szparę w poprzek, a nie z góry na dół.

Ferris na mnie czekał.

– Gdzieś ty był, do cholery?

– Pracowałem w ogródku.

– Znaczy co, podkładałeś nawóz pod fuksje?

– Tak, wtykałem po balasie do każdej doniczki.

- Słuchaj, Chinaski...
- Tak?
- Puenty to w tym dziale moja rzecz. Jasne?
- Jasne.
- Masz. Przyszło zamówienie z odzieży męskiej. Podał mi kartkę.
- Znajdź to wszystko, dostarcz na miejsce, weź pokwitowanie i wracaj.

Dział odzieży męskiej prowadził pan Justin Phillips junior. Dobrze urodzony, uprzejmy, miał jakieś dwadzieścia dwa lata. Trzymał się bardzo prosto, miał ciemne włosy, ciemne oczy, posępny wyraz ust. Niefortunnego braku kości policzkowych prawie się nie zauważało. Był blady, nosił ciemne ubrania i przepięknie wykrochmalone koszule. Ekspedientki go uwielbiały. Był wrażliwy, inteligentny, sprytny. Trochę też wredny. Pewnie jakiś przodek przekazał mu tę cechę. Tylko raz złamał tradycję, żeby powiedzieć do mnie:

– To przykre, że masz te wstrętne blizny na twarzy, co?

Kiedy dopchałem wózek do działu odzieży męskiej, Justin Phillips stał bardzo wyprostowany, z głową lekko przechyloną w bok, i zgodnie ze swoim zwyczajem patrzył w dal, wzwyż, jakby widział coś, czego inni nie dostrzegają. Bo coś tam musiał widzieć. Ale może po prostu nie umiałem się poznać na szlachetnym rodowodzie. Phillips niewątpliwie wyglądał jak ktoś, kto wyrasta ponad otoczenie. Była to sprytna sztuczka, zwłaszcza jeśli nie przeszkadzała mu zarabiać na życie. Może właśnie dlatego tak go lubiła dyrekcja i sprzedawczynie. Wszyscy widzieli w nim człowie-

ka, który jest naprawdę za dobry jak na swoją robotę, a jednak się do niej zniża.

Przyturlałem wózek.

– Przywiozłem, co pan zamawiał, panie Phillips.

Jakby mnie w ogóle nie zauważył. Z jednej strony było to bolesne, a z drugiej właściwie mi odpowiadało. Ułożyłem towar na ladzie, a Phillips stał ze wzrokiem wbitym w przestrzeń tuż nad drzwiami windy.

Wtem usłyszałem złocisty śmiech. Obejrzałem się. Zobaczyłem kilku kolesi, z którymi kończyłem Chelsey. Przymierzali swetry, szorty, rozmaite ciuchy. Znałem ich tylko z widzenia, bo przez całe cztery lata spędzone w jednej szkole ani razu nie rozmawialiśmy. Najważniejszy nazywał się Jimmy Newhall. Był środkowym obrońcą w futbolowej reprezentacji naszej szkoły, trzy sezony bez porażki. Jego włosy pięknie się złociły; słońce zawsze podkreślało szczególnie ładny odcień niektórych pasemek – a jak nie słońce, to lampy w klasie. Miał grubą, silną szyję, a nad nią twarz idealnego chłopca, która wyglądała, jakby wyszła spod mistrzowskiego dłuta. Wszystko u niego było dokładnie takie, jakie być powinno: nos, czoło, podbródek i cała reszta. Ciało też, idealnie zbudowane. Ci, co przyszli z Newhallem, nie byli aż tak doskonali, ale bliscy ideału. Stali sobie i przymierzali swetry, cali roześmiani. Wybierali się na Uniwersytet Południowej Kalifornii albo do Stanforda.

Justin Phillips podpisał pokwitowanie. Szedłem już do windy, kiedy usłyszałem, że ktoś woła:

– Hej, Ski! Ekstra wyglądasz w tym kostiumie!

Przystanąłem, odwróciłem się w ich stronę i od niechcienia pomachałem im ręką.

– Patrzcie! Największy twardziel w tym mieście od czasów Tommy’ego Dorseya!

– Gable wygląda przy nim jak szczotka do kibla!

Zostawiłem wózek i zawróciłem. Jeszcze nie wiedziałem, co zrobię. Stałem i popatrzyłem na nich. Nie lubiłem ich, nigdy mi się właściwie nie podobali. Inni mogli się nimi zachwycać, ale nie ja. Ich ciała miały w sobie coś kobiecego. Byli jacyś miękcy, nie przeszli próby ognia. Piękne nic i tyle. Rzygać mi się chciało, kiedy na nich patrzyłem. Nienawidziłem ich. Byli częścią koszmaru, który wciąż mnie prześladował, przybierając to taką, to inną postać.

Jimmy Newhall uśmiechnął się do mnie.

– Ty, tragarz, właściwie dlaczego nigdy nie przyszedłeś do nas na trening? Może byś się dostał do drużyny.

– Nie zależało mi.

– Nie miałeś jaj, co?

– Wiesz, gdzie tu na dachu jest parking?

– Jasne.

– Spotkajmy się tam...

Bez pośpiechu ruszyli w stronę parkingu, a ja zdjąłem kitel i rzuciłem na wózek. Justin Phillips junior uśmiechnął się do mnie.

– Dostaniesz w dupę, drogi chłopcze – powiedział.

Jimmy Newhall czekał w gronie swoich kumpli.

– Patrzcie, idzie tragarz!

– Myślicie, że on nosi damskie majtki?

Newhall stał w słońcu. Zdjął koszulę i podkoszulek. Wciągnął brzuch i wypiął pierś. Dobrze się prezentował. Cholera, w co ja się właściwie wpakowałem? Czuję, że

drży mi dolna warga. Dopiero na dachu ogarnął mnie strach. Patrzyłem na Newhalla, któremu w złotym blasku słońca złociły się włosy. Wiele razy oglądałem go w akcji na boisku. Wiele razy widziałem, jak solo ciągnął piłkę przez pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt metrów, kiedy ja dopingowałem przeciwną drużynę.

A teraz staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Nie zdjąłem koszuli. Staliśmy bez ruchu. Przynajmniej ja.

Bo Newhall w końcu powiedział:

– No dobra, teraz ci pokażę – i wolno ruszył naprzód. Akurat przeszła mała damulka w czerni, objuczona mnóstwem paczek. Na głowie miała zielony filcowy kapelutek.

– Dzień dobry, chłopcy! – powiedziała.

– Dzień dobry pani...

– Piękna dziś pogoda...

Otworzyła drzwiczki auta i załadowała sprawunki. Potem zwróciła się do Jimmy'ego Newhalla.

– Ależ ty masz wspaniałe ciało, chłopcze! – powiedziała. – Spokojnie mógłbyś zagrać Tarzana wśród małp!

– Nie, proszę pani – sprostowałem. – Bardzo przepraszam, ale on jest najważniejszą małpą, a ci inni to jego plemię.

– O – westchnęła paniusia. Wsiadła do auta i ruszyła. Poczekaliśmy, aż wymanewruje na wstecznym i odjedzie.

– Dobra, Chinaski – rzekł Newhall. – Przez wszystkie szkolne lata słynałeś z bezczelnych min i niewyparzonej mordy. Pora, żebym cię wyleczył!

Rzucił się naprzód. Był gotowy, a ja niezupełnie. Zobaczyłem tylko ciało i pięści migające na tle błękitnego nieba. Newhall był szybszy od małpy, no i potężniejszy. Nie mogłem zadać ani jednego ciosu. Czuję na sobie jego

pięści, twarde jak kamienie. Przez szparki w zapuchniętych powiekach widziałem, jak młóci tymi pięściami, jak mnie trafia. Boże, to dopiero był siłacz, po prostu niespożyty, a ja nie miałem gdzie się cofnąć.

„Może jednak jesteś oferumą – myślałem – może nie masz być nikim innym, może lepiej się poddaj”.

Ale im dłużej mnie łomotał, tym mniej się bałem. Byłem tylko zdumiony jego siłą i energią. Skąd je brał? Skąd je czerpała ta świnia? Był niezłe napakowany. Nic już nie widziałem, bo w oczach migwały mi oślepiające błyski – żółte, zielone i fioletowe. Nagle wybuchła straszliwa plama czerwieni i poczułem, że się osuwam.

A więc tak się to odbywa?

Padłem na jedno kolano. Usłyszałem przelatujący górą samolot. Żałowałem, że nie mogę się znaleźć na jego pokładzie. Coś mi ciekło po ustach i po podbródku. Była to ciepła krew z rozbitego nosa.

– Zostaw go, Jimmy, jest skończony...

Spojrzałem na Newhalla.

– Twoja matka daje mordy – powiedziałem.

– ZABIJĘ CIĘ!

Skoczył, zanim zdążyłem wstać. Złapał mnie za gardło. Potoczyliśmy się po ziemi i wturlaliśmy pod jakiegoś dodge'a. Usłyszałem, że uderzył o coś głową. Nie wiedziałem o co, ale wyraźnie usłyszałem stukot. Stało się to bardzo szybko. Jego kumple nie od razu się kapnęli.

Wstałem pierwszy, Newhall po mnie.

– Zabiję cię, zobaczysz – powiedział.

Rzucił się, młóćąc rękami jak cepami. Tylko że nie był już taki straszny. Walił z tą samą furją, ale czegoś tym

ciosom brakowało. Osłabł. Kiedy mnie bił, już nie widziałem kolorowych błysków, tylko niebo, zaparkowane auta, twarze jego kumpli, no i jego. Bo ja zawsze pomału się rozkręcałem. Newhall się starał, ale był wyraźnie słabszy niż na początku. A ja miałem małe dłonie. Los dał mi małe pięści, tę nędzną broń.

Cóż to były za męczące lata. Chciałem żyć, musiałem jakoś żyć, a nie mogłem.

Wbiłem mu prawą pięczę w brzuch, aż sapnął, więc złapałem go lewą za kark i poprawiłem w to samo miejsce. Odepchnąłem go i trzasnąłem z obu rąk po kolei w tę rzeźbioną twarzyczkę. Zobaczyłem jego spojrzenie i to było super, bo widziałem, że daję mu poczuć coś, czego dotąd nie zaznał. Był przerażony. Przerażało go to, że nie wie, jak przyjąć porażkę. Postanowiłem wykończyć go powolutku.

Nagle ktoś rąbnął mnie w potylicę. Nawet zdrowo oberwałem. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, który to.

Uderzył mnie rudy kumpel Newhalla, Cal Evans.

– Co się przypierdalasz! – ryknąłem, wytykając go palcem. – Załatwię was wszystkich po kolei! Jak tylko oporzędzę tego faceta, to się wezmę za ciebie!

Potem nietrudno już było wykończyć Jimmy'ego. Pokuśiłem się nawet o wyszukaną pracę nóg. Puknąłem go parę razy, poigrałem, wreszcie ruszyłem do zwarcia i zacząłem łomotać. Nawet mi się nieźle postawił, więc przez chwilę myślałem, że jednak nie dam rady go skończyć, ale ni stąd, ni zowąd jakoś tak dziwnie na mnie spojrział, jakby mówił – ty, może się lepiej zakumplujmy i chodźmy na piwo. No i padł.

Koledzy zaraz rzucili się go podnosić. Podparli go ze wszystkich stron i zaczęli wypytywać:

– Jak tam, Jim? Trzymasz się jakoś?

– Co ci ten chuj zrobił? Zaraz z nim zrobimy porządek, Jim. Powiedz tylko słowo.

– Odprowadźcie mnie do domu – rzekł Jim.

Patrzyłem, jak schodzą z nim na dół. Wszyscy naraz usiłowali go podpieierać na schodach. Jeden chłopak niósł jego podkoszulek i koszulę...

Wróciłem na dół po wózek. Justin Phillips czekał na mnie.

– Myślałem, że nie wrócisz – rzekł z pogardliwym uśmiechem.

– Niech się pan nie spoufala z niewykwalifikowanym personelem – zwróciłem mu uwagę.

Zabrałem wózek i odjechałem. Twarz i ubranie miałem całe we krwi. Podszedłem do windy i nacisnąłem guzik. Albinos przyjechał w przewidzianym czasie. Otworzył mi drzwi.

– Już się rozniosło – oświadczył. – Podobno jesteś nowym mistrzem świata w wadze ciężkiej.

Tam, gdzie nic specjalnego nigdy się nie dzieje, wiadomości szybko się rozchodzą.

Ferris o uciętym uchu też już na mnie czekał.

– Nie ma u nas takiego zwyczaju, żeby pracownicy napierdalali klientów – powiedział.

– Tylko jednego tak obsłużyłem.

– Nikt nam nie zaręczy, że nie weźmiesz się za następnych.

– Sam mnie sprowokował.

– Gównu nas to obchodzi. Takie rzeczy się zdarzają. Wiemy tylko, że przekroczyłeś pewne granice.

- Co będzie z moją wypłatą?
- Wyślemy ci przekaz.
- No to na razie...
- Chwileczkę, musisz mi jeszcze oddać klucz od szafki.

Wyjąłem kółko z kluczami, zdjąłem ten od szafki i oddałem Ferrisowi. Na kółku został mi tylko jeden klucz.

Podszedłem do drzwi dla personelu i je otworzyłem. Były stalowe, masywne i ciężko chodziły na zawiasach. Pchnąłem je, wpuszczając smugę światła dziennego, i machnąłem ręką Ferrisowi. Nie zareagował. Patrzył na mnie, nie dając znaku, że widzi. Znikł mi z oczu, kiedy zamknąłem drzwi. Lubiałem go, sam nie wiem za co.

Rozdział 48

– Nawet przez tydzień nie dałeś rady utrzymać się na posadzie?

Jedliśmy makaron z pulpetami. Moje problemy zawsze omawiano przy kolacji. Pora kolacji była dla mnie najczęściej porą cierpień.

Nie odpowiedziałem ojcu.

– Co się stało? Za co cię wypierdzielili na bruk?

Nie odpowiedziałem.

– Henry, odpowiadaj, kiedy ojciec pyta! – rzekła matka.

– Nie dał rady i tyle! – stwierdził ojciec.

– Popatrz na jego twarz – powiedziała matka. – Cała posiniaczona i podrapana. Henry, czy to szef tak cię pobił?

– Nie, mamoo...

– Henry, dlaczego nie jesz? Nigdy nie masz apetytu.

– Nie może jeść – rzekł ojciec. – Nie może pracować, nic nie może, w ogóle jest gównno wart!

– Tatusiu, nie mów tak przy stole – zwróciła mu uwagę matka.

– Kiedy to prawda! – Ojciec nawinał sobie na widelec ogromny kłęb makaronu. Wepchnął go do ust i zaczął żuć.

Nadział na widelec wielki pulpet i też wetknął go sobie w usta. Potem wepchnął tam jeszcze kawałek bułki.

Przypomniało mi się pytanie Iwana z *Braci Karamazow*: „Któż nie chce zabić ojca?”.

Tymczasem ojciec żuł tę całą bryłę jedzenia, a z kącika ust zwisała mu długa nitka makaronu. W końcu ją zauważył i wessał z hałasem. Potem wsypał sobie do kawy dwie czubate łyżeczki cukru, podniósł filiżankę, pociągnął tęgi haust i natychmiast wypluł wszystko na swój talerz i na obrus.

– Parzy, kurwa!

– Trzeba było uważać, tatusiu – rzekła matka.

Przeczesałem rynek pracy, jak to się wtedy mówiło, ale było to żmudne i bezpłodne zajęcie. Bez znajomości nikt nie miał szans zostać choćby konduktorem autobusu. Pozostawało tylko mycie garów, toteż w mieście było pełno bezrobotnych pomywaczy. Po południu przesiadywałem z nimi na Pershing Square. Przychodzili tam uliczni kaznodzieje. Jedni mieli bębny, inni gitary, a w krzakach i w toaletach publicznych roіło się od pedałów.

– Niektórzy mają kupę forsy – zwierzył mi się młody kloszard. – Jeden wziął mnie do siebie na dwa tygodnie. Mogłem jeść i pić, ile chcąc, i jeszcze ciuchy mi kupił, ale ciągnął ze mnie jak pijawka, po jakimś czasie ledwo dawałem radę wstać z łóżka. Mówię ci, horror. Kiedyś mnie pocałował, to tak go palnąłem, że przeleciał przez cały pokój. „Spróbuj jeszcze raz – powiedziałem – to cię zabije!”.

Bar Clintona to było fajne miejsce. Kto nie miał pieniędzy, płacił, ile mógł. A jak ktoś był całkiem goły, to w ogóle nie płacił. Niektórzy włączędzy specjalnie tam

przychodzili, żeby się najeść za fryko. Właścicielem był miły starszy pan, bardzo bogaty i niezwykle. Jakoś nigdy nie mogłem się na to zdobyć, żeby się u niego solidnie napchać. Wpadałem na kawę z szarlotką i płaciłem piątkę, Czasem zjadałem kilka serdelków. W środku było cicho, chłodno i czysto. Po ścianie spływał duży wodospad. Można było usiąść tuż przy nim i wyobrażać sobie, że w sumie jest nieźle. Lubiłem też chodzić do Philippe'a. Kawa kosztowała trzy centy i można było sobie dolewać, ile się chciało. Każdy mógł tam siedzieć cały dzień przy kawie. Nigdy nikogo nie wypraszano, nawet najbardziej zaniedbanych. Kłoszardom nie pozwalano przychodzić z własnym winem, ale poza tym wszystko było wolno. W takich miejscach człowiek odzyskiwał nadzieję, a bardzo jej wtedy brakowało.

Na Pershing Square po całych dniach spierano się o istnienie Boga. Mało kto umiał dyskutować, ale jeśli czytany ateista trafił akurat na czytanego religianta, były nieźle cyrki.

Kiedy wpadało mi trochę drobnych, chodziłem do baru w podziemiach wielkiego kina. Miałem dopiero osiemnaście lat, ale i tak sprzedawali mi alkohol. Trudno było określić mój wiek. Czasem wyglądałem na dwadzieścia pięć lat, a kiedy indziej czułem się, jakbym skończył trzydzieści. Bar prowadził Chińczyk, który nigdy do nikogo się nie odzywał. Kupowałem tylko pierwsze piwo, a pedały stawiały następne. Potem przerzucałem się na whisky z cytryną. Naciągałem ich na parę szklanek, a kiedy robili się nachalni, zaczynałem być nieprzyjemny, odpychałem ich i wychodziłem. Po kilku takich numerach kapnęli się i już nie miałem po co tam zaglądać.

Chodziłem w różne miejsca, ale najbardziej mnie do-
łowała biblioteka. Przeczytałem wszystko, co w niej było.
W końcu przychodziłem już tylko po to, żeby złapać pierw-
szą lepszą grubą książkę i rozejrzeć się za jakąś młodą dzie-
wczyną. Zawsze się tam kręciły. Siadałem o kilka krzeseł
dalej i udawałem, że czytam. Robiłem inteligentne miny, bo
miałem nadzieję, że któraś mnie poderwie. Wiedziałem,
jaki jestem brzydki, ale myślałem, że jeżeli będę dosyć in-
teligentnie wyglądał, to może jednak mi się uda. Nigdy się
nie udało. Panienki robiły notatki, wstawały i wychodziły,
a ja śledziłem magiczny rytm ich ciał pod czystymi sukien-
kami. Co zrobiły w podobnych okolicznościach Maksym
Gorki?

W domu było wciąż tak samo. Stałe pytanie padało
dopiero po pierwszych paru kęsach kolacji.

– Znalazłeś dziś pracę? – pytał ojciec.

– Nie.

– A w ogóle szukałeś?

– Żeby w jednym miejscu. W niektórych byłem już
drugi albo trzeci raz.

– Nie wierzę.

Ale ja mówiłem prawdę. Prawdą było też to, że nie-
które firmy codziennie dawały do prasy ogłoszenia o nie-
istniejącej pracy. Urzędnicy z działów zatrudnienia mieli
dzięki temu jakieś zajęcie oprócz pierdzenia w stołki, a
zrozpaczeni bezrobotni niepotrzebnie robili sobie nadzieję
i tracili czas.

– Jutro na pewno znajdziesz pracę, Henry – za każdym
razem mówiła matka...

Rozdział 49

Szukałem pracy przez całe lato i nie znalazłem. Jimmy Hatcher załapał się w fabryce samolotów. W Europie Hitler coraz bardziej podnosił głos, więc bezrobotnych pomalu ubywało. Jimmy i ja razem złożyliśmy kwestionariusze. Wypełniliśmy je podobnie, tylko że ja w rubryce „miejsce urodzenia” napisałem „Niemcy”, a on „Reading, Pensylwania”.

– Jimmy znalazł pracę. Jest twoim rówieśnikiem i skończył tę samą szkołę – powiedziała matka. – Dlaczego jego przyjęli do fabryki samolotów, a ciebie nie?

– Umieją poznać, kto się nie pali do roboty – rzekł ojciec. – Tylko by siedział na dupie u siebie w pokoju i słuchał tych swoich symfonii!

– Dobrze, że chłopiec przynajmniej lubi muzykę.

– I co z tego? Nie umie z niej wyciągnąć żadnego pożytku!

– A co twoim zdaniem powinien zrobić?

– Pójść do radia, powiedzieć, że lubi taką a taką muzykę, i dostać posadę prezentera.

– Jezu, przecież tego się w ten sposób nie załatwia, to nie takie proste.

– Skąd wiesz? Próbowales?

– Mówię ci, nie ma szans.

Ojciec włożył sobie do ust kawał wieprzowiny i zaczął żuć. Plaster sadła zwisał mu jak trzecia warga. Wreszcie stary wessał go i powiedział do matki:

– Widzisz, mamuśka, że chłopakowi nie chce się pracować.

Matka spojrzała na mnie.

– Henry, dlaczego nie jesz?

W końcu postanowiono, że mam się zapisać do Koleżu Miejskiego. Nie płaciło się tam czesnego, a w spółdzielczej księgarni tanio sprzedawano używane podręczniki. Ojcu było po prostu wstyd, że nie mam pracy. Uznał, że dla samej przyzwoitości powinienem chodzić do szkoły. Eli LaCrosse, czyli Glaca, uczył się tam już przez cały semestr. Właśnie u niego zasięgnąłem rady.

– Na czym najłatwiej jest się opierdalać?

– Na dziennikarstwie. Ci, co poszli na dziennikarstwo, w ogóle nic nie robią.

– Dobra. Zostanę dziennikarzem.

Przejrzałem broszurę z informacjami o szkole.

– Co to za wprowadzenie?

– Pierdolenie w bambus, spokojnie możesz sobie odpuścić.

– Fajny jesteś kumpel, żeś mi powiedział. Zamiast na to jakieś wprowadzenie idziemy na piwo do baru przed szkołą.

– Mowa!

– No.

W dzień po wprowadzeniu trzeba się było zapisać na zajęcia. Wszyscy biegali jak wariaci z arkuszami papieru i broszurami. Do szkoły przyjechałem tramwajem. Najpierw wsiadłem w W i dojechałem do Vermontu, a potem przesiadłem się w V, które jedzie na północ, czyli właśnie do Monroe. Nie wiedziałem, dokąd ci ludzie tak biegają i co mam robić. Poczuję się fatalnie.

– Bardzo przepraszam... – zwróciłem się do jakiejś dziewczyny.

Odwróciła głowę i szybko poszła dalej. Przebiegał jakiś chłopak. Złapałem go z tyłu za pasek od spodni.

– Co ci odbiło, do cholery? – spytał.

– Nie pieprz, tylko mów, co tu jest grane? Nie wiem, co robić!

– Przecież na wprowadzeniu była o wszystkim mowa.

– Aha...

Puściłem go. Pobiegł dalej. Nie miałem pojęcia, co robić. Wyobrażałem sobie, że po prostu gdzieś się idzie i mówi się, że się wybiera dziennikarstwo, a wtedy dają człowiekowi plan zajęć. Nic z tych rzeczy. Wszyscy wiedzieli, co jest do zrobienia, ale nie chcieli mi powiedzieć. Poczuję, że wylądowałem z powrotem w podstawówce i znów znęca się nade mną ta hałastra, która wie więcej niż ja. Usiadłem na ławce i patrzyłem, jak biegają w tę i nazad. A może by tak wcisnąć kit? Mógłbym przecież powiedzieć w domu, że chodzę na zajęcia, a potem codziennie przyjeżdżać do koledżu i wylegiwać się w trawie. Nagle zobaczyłem znajomą twarz. Korytarzem biegł Glaca. Złapałem go z tyłu za kołnierz.

– Co jest, Hank? No, co jest grane?

– Powiniennem cię rozsmarować po ścianie, ty gnojku!
– Co się stało? O co ci chodzi?
– Skąd się, kurwa, teraz dowiem, kiedy mam zajęcia?
– Myślałem, że wiesz!
– Niby skąd? Myślisz, że urodziłem się od razu z tą wiedzą i noszę ją w głowie razem z wszystkimi przypisami, żeby mieć w każdej chwili pod ręką?

Zaprowadziłem go do ławki i nie puszczając kołnierza, powiedziałem:

– Mów po kolei, co mam robić. Jak się dobrze postarasz, to może ci na razie nie dam smarów!

No i Glaca wszystko mi wytłumaczył. Urządził mi indywidualne wprowadzenie. Przez cały czas trzymałem go za kołnierz.

– Teraz cię puszcę, ale jeszcze się z tobą rozliczę. Zapłacisz mi za to, że tak mnie wyruchałeś. Nawet nie będziesz wiedział, kiedy cię załatwię.

Puściłem go. Pobiegł razem z resztą. Nie miałem o co się martwić ani dokąd spieszyć. I tak wiadomo było, że dostanę najgorsze zajęcia, najgorszych wykładowców i najgorsze godziny. Przechadzałem się od niechcienia i zapisywałem na wykłady. W całej szkole tylko ja sprawiałem wrażenie człowieka, który niczym się nie przejmuje. Zaczęło mnie ogarniać poczucie wyższości.

Starczyło mi go do pierwszej lekcji angielskiego, która zaczynała się o siódmej. Było wpół do ósmej, a ja miałem kaca, stałem pod drzwiami i podsłuchiwałem. Rodzice kupili mi książki, ale je zaraz przepiłem. Wieczorem wymknąłem się przez okno sypialni i przesiedziałem w pobliskim barze aż do zamknięcia. Po piwie dostałem takiego kaca, że

głowa mi pękała. Właściwie jeszcze byłem pijany. Otworzyłem drzwi i wszedłem. Nauczyciel angielskiego, niejaki Hamilton, stał twarzą do uczniów i śpiewał. Głośno grał adapter i wszyscy śpiewali z panem Hamiltonem piosenkę Gilberta i Sullivana.

Słucha mnie najlepsza
Marynarka na świecie...

Równy i wyraźnie
Piszę w swym kajecie...

Unikajcie morza,
Nad książką gnijcie karki...

A też zyskacie posłuch
Królewskiej marynarki...

Poszedłem na koniec sali i znalazłem wolne miejsce w ostatnim rzędzie. Hamilton wyłączył adapter. Miał na sobie garnitur w czarno-białe ciapki, a do tego jaskrawopomarańczową koszulę. Wyglądał jak Nelson Eddy. Stanął przodem do nas, rzucił okiem na zegarek i powiedział:

– Pan Chinaski, prawda?

Kiwnąłem głową.

– Spóźnił się pan pół godziny.

– Tak.

– Czy na ślub albo na pogrzeb też by się pan tyle spóźnił?

– Nie.

– A czemuż to, jeśli można wiedzieć?

– Bo gdyby to był mój własny pogrzeb, nie mógłbym się spóźnić. A mój ślub byłby moim pogrzebem.

Zawsze miałem niewyparzony język. Doświadczenie niczego mnie nie nauczyło.

– Szanowny panie – rzekł pan Hamilton. – Słuchamy piosenki Gilberta i Sullivana, żeby się nauczyć prawidłowej wymowy. Proszę wstać.

Wstałem.

– Proszę zaśpiewać: Unikajcie morza, nad książką gnijcie karki, a też zyskacie posłuch królewskiej marynarki.

Stałem i milczałem.

– No, niech pan zaczyna!

Odśpiewałem całość i usiadłem.

– Ledwo pana słyszałem, panie Chinaski. Czy mógłby pan zaśpiewać z trochę większą werwą?

Znowu wstałem. Nabrałem powietrza, jakbym chciał wypić całe morze, i zacząłem:

– **SIEDZICIE NAD KSIĄŻKAMI AŻ WAM ZGNIJĄ KARKI TO ZYSKACIE POSŁUCH KRÓLEWSKIEJ MARYNARKI!**

Wszystko pokręciłem.

– Panie Chinaski – powiedział Hamilton. – Proszę usiąść.

Usiadłem. To Glaca tak mnie wrobił.

Rozdział 50

Na gimnastykę wszystkie grupy chodziły równocześnie. Glaca miał szafkę w moim rzędzie, o cztery czy pięć miejsc dalej. Pierwszy poszedłem do szatni. Glacę i mnie dręczył ten sam problem. Nie cierpieliśmy wełnianych spodni, bo swędziały od nich nogi, ale rodzice najbardziej lubili ubierać nas właśnie w wełnę. Znalazłem na to sposób i Glacę też dopuściłem do sekretu. Trzeba było tylko pod spód wkładać spodnie od piżamy.

Otworzyłem szafkę i się rozebrałem. Zdjąłem obie pary spodni i położyłem te od piżamy na wierzchu szafki. Z dołu nie było ich widać. Włożyłem kostium gimnastyczny. Reszta chłopaków akurat zaczęła wchodzić do szatni.

Obaj znaleźmy sporo bombowych historii o spodniach od piżamy, ale najlepszy numer zdarzył się Glacy. Któregoś wieczoru poszedł ze swoją dziewczyną potańczyć. Między jednym a drugim tańcem dziewczyna pyta:

- Co to?
- O co ci chodzi?

– Coś ci wystaje z nogawki.
– Że co?
– O Boże! Przecież ty masz na sobie spodnie od piżamy!

– Tak? A, widocznie zapomniałem zdjąć...

– Wracam do domu, i to już!

Nigdy więcej się z nim nie umówiła.

Wszyscy się przebierali w kostiumy gimnastyczne. Glaca też przyszedł i otworzył swoją szafkę.

– Jak ci leci, stary? – spytałem.

– Się masz, Hank...

– O siódmej rano mam angielski. Niezła sprawa, taki początek dnia. Tylko że zaliczenie powinniśmy dostać z wychowania muzycznego, a nie z angielskiego.

– No tak, Hamilton. Słyszałem o nim to i owo. Hi, hi, hi...

Podszedłem do niego.

Glaca właśnie rozpiął pasek. Złapałem go za górę spodni i mu je ściągnąłem. Pod spodem miał portki od piżamy w zielone paski. Próbował podciągnąć spodnie, ale byłem za silny, więc nie dał rady.

– Patrzcie, panowie! Facet chodzi do szkoły w piżamie!
O Jezu!

Glaca szamotał się ze mną. Twarz mu spąsowiała. Paru koleśki podeszło, żeby popatrzeć. I wtedy zrobiłem najgorszą rzecz. Ściągnąłem Glacy spodnie od piżamy.

– To dopiero! Nie dość, że bidulek jest łysy, to jeszcze w dodatku prawie wcale nie ma chuja! Kurwa, co on robi, jak się zada z kobitą?

Jakiś byk, który stał niedaleko, powiedział:

– Chinaski, jesteś skończony kutas!

– No – przytaknęło paru innych. – No... no...

Usłyszałem jeszcze kilka podobnych głosów.

Głaca podciągnął spodnie. Płakał rzewnymi łzami. Spojrzał na tamtych.

– Chinaski też nosi spodnie od piżamy! Sam mnie w to wrobił! Zajrzyjcie do jego szafki, no zajrzyjcie!

Podbiegł do mojej szafki i szarpnął drzwiczki. Wyciągnął całe moje ubranie. Spodni od piżamy nigdzie nie było.

– Schował! Musiał je gdzieś schować!

Zostawiłem swoje rzeczy tak, jak leżały, i wyszedłem na boisko. Właśnie zaczynał się apel. Stałem w drugim rzędzie. Zrobiłem kilka głębokich przysiadów. Zauważyłem, że zaraz za mną stoi jeszcze jeden byk. Słyszałem kiedyś, że nazywa się Sholom Stodolsky.

– Chinaski – powiedział. – Jesteś chuj.

– Stary, nie szuraj, bo się łatwo denerwuję.

– Właśnie że szuram.

– Nie drażnij mnie, grubasie.

– Znasz to miejsce między gmachem biologii a korytami?

– Owszem.

– Spotkamy się tam po wuefie.

– Dobra – powiedziałem.

Ale się nie stawiłem. Po gimnastyce urwałem się z reszty zajęć i pojechałem na Pershing Square. Usiadłem na ławce i czekałem, aż coś zacznie się dziać. Długo, długo nic. Wreszcie jakiś religiant i ateista wzięli się do roboty. Kiepsko im szło. Ja tam byłem agnostykiem. Agnostycy nie bardzo mieli o co się spierać. Wyszedłem z parku i przespac-

rowałem się na róg Siódmej i Broadwayu, czyli do samego centrum. Nie działało się tam nic specjalnego, poza tym, że ludzie czekali, aż zmienią się światła, żeby przejść przez jezdnię. Nagle poczułem, że swędzą mnie nogi. Zostawiłem spodnie od pizamy na szafce. Co za jebany dzień, spierdolony od samego rana. Wskoczyłem w W i usiadłem z tyłu. Tramwaj toczył się jezdnią, wioząc mnie do domu.

Rozdział 51

W koledżu polubiłem tylko jednego faceta. Nazywał się Robert Becker i chciał zostać pisarzem.

– Dowiem się wszystkiego, co tylko można wiedzieć o pisaniu. To będzie tak, jakbym rozebrał samochód na części i złożył z powrotem do kupy.

– Znowu jakaś praca.

– Zobacysz.

Był o kilka centymetrów niższy ode mnie, ale przysadzisty, mocno zbudowany, tęgi w barach.

– W dzieciństwie chorowałem – powiedział. – Kiedyś przez rok musiałem leżeć w łóżku. W każdej ręce trzymałem piłkę tenisową i ściszałem. Właśnie od tego tak się rozrosłem.

Pracował po nocach jako goniec, żeby mieć za co skończyć koledż.

– Jak znalazłeś tę robotę?

– Znałem, kogo trzeba.

– Jakbym chciał, tobym ci skopał dupę.

– Może tak, a może nie. Mnie tam interesuje tylko pisanie.

Siedzieliśmy w niszy z widokiem na trawnik. Jacyś dwaj kolesie gapili się na mnie.

W końcu jeden powiedział:

– Mogę o coś zapytać?

– Wal.

– Pamiętam cię z podstawówki. Byłeś wtedy mięczak, a teraz zrobił się z ciebie taki ostry facet. Skąd ta zmiana?

– Nie wiem.

– Jesteś cynikiem?

– Chyba tak.

– I jesteś z tym szczęśliwy?

– Tak.

– No to nie możesz być cynikiem, bo cynicy nie są szczęśliwi!

Podali sobie ręce jak w jakimś skeczu i pobiegli gdzieś, roześmiani.

– Zrobili cię w orła – powiedział Becker.

– Wcale nie. Przedobrzyli.

– Rzeczywiście jesteś cynikiem?

– Naprawdę jestem nieszczęśliwy. Gdybym był cynikiem, pewnie byłoby mi lepiej.

Zeskoczyliśmy z niszy na trawnik. Było już po zajęciach. Becker chciał odnieść książki. Poszliśmy do jego szafki. Rzucił je na półkę. Podał mi pięć czy sześć kartek.

– Masz, przeczytaj. To jest opowiadanie.

Poszliśmy do mojej szafki. Otworzyłem ją i podałem mu papierową torbę.

– Masz, dziabnij sobie...

W torbie miałem butelkę czerwonego słodkiego.

Napił się, a ja po nim.

– Zawsze trzymasz coś takiego w szafce? – spytał.

– Staram się.

– Słuchaj, dzisiaj w nocy mam wolne. Może wpadniesz? Poznałbyś moich przyjaciół.

– Towarzystwo nie najlepiej mi robi.

– To nie są tacy ludzie, jak myślisz.

– Tak? No to gdzie? U ciebie?

– Nie. Dam ci adres... – Zaczął pisać na kartce.

– Słuchaj, Becker, a co właściwie robią ci twoi ludzie?

– Piją.

Schowałem kartkę do kieszeni...

Po kolacji przeczytałem jego opowiadanie. Spodobało mi się. Poczułem zazdrość. Było o tym, jak Becker jechał w nocy na rowerze z telegramem do pięknej kobiety. Pisał obiektywnie i przejrzysto, z jakąś taką delikatną przyzwoitością. Twierdził wprawdzie, że jest pod wpływem Thomasa Wolfe'a, ale nie jęczał i nie przesadzał tak jak Wolfe. Wyrażał emocje, ale nie robił z nich kolorowych neonów. Naprawdę umiał pisać, lepiej ode mnie.

Rodzice sprawili mi maszynę i próbowałem wystukać parę opowiadań, ale wyszły z tego tylko jakieś gorzkie strzępy. To by nawet nie szkodziło, tylko że te moje opowiadania tak brzmiały, jakbym chciał się z czegoś wyłgać, jakby nie stały na własnych nogach. Były bardziej mroczne niż to, co pisał Becker, dziwniejsze, ale nie robiły wrażenia. Niektóre owszem, robiły – przynajmniej na mnie – ale czuło się, że to raczej przypadek złożył je do kupy niż moja ręka.

Becker był wyraźnie lepszy. Pomyślałem, że może się przeczuc na malarstwo.

Poczekalem, aż rodzice zasną. Ojciec zawsze głośno chrapał. Kiedy zaczął, odsunąłem ramę z siatką, która zasłaniała okno mojej sypialni, i wymknąłem się, przełaząc przez porzeczkę. Znalazłem się na podjeździe prowadzącym do domu sąsiadów. W ciemnościach poszedłem wolnym krokiem przez Longwood Avenue, aż dotarłem do Dwudziestej Pierwszej, skręciłem w prawo i ruszyłem pod górę wzdłuż Westview Avenue do pętli W. W tramwaju wrzuciłem żeton, usiadłem z tyłu i zapaliłem. Jeżeli przyjaciele Beckera są chociaż w połowie tacy fajni jak jego opowiadanie, czeka mnie kurewsko udana noc.

Kiedy trafiłem pod wskazany adres na Beacon Street, Becker już tam był. Jego przyjaciele siedzieli przy stole w niszy. Przedstawił mnie. Tamci nazywali się Harry, Lana, Gulgul, Śmierdziel, Człapa, Ellis, Pysk, no i Kosior. Siedzieli naokoło dużego stołu. Harry chodził gdzieś do jakiejś normalnej roboty. Tylko on i Becker mieli pracę. Lana była żoną Harry'ego. Ich synek Gulgul siedział w wysokim krzeselku. Oprócz Lany nie było żadnych kobiet. Kiedy Becker nas sobie przedstawił, spojrzała mi prosto w twarz i uśmiechnęła się. Wszyscy byli młodzi i chudzi i palili skręty.

– Becker opowiadał nam o tobie – rzekł Harry. – Podobno jesteś pisarzem.

– Stukam na maszynie.

– O nas też napiszesz? – zaciekał się Śmierdziel.

– Wolę pić.

– Dobra. Urządzimy zawody w picciu. Masz forse? – spytał Śmierdziel.

– Dwa dolary.

– W porządku, wszyscy ściepa po dwa dolce – zarządził Harry.

Uzbierało się osiemnaście dolarów. Fajnie wyglądała ta forsa, jak tak leżała na stole. Pojawiła się butelka i małpki.

– Becker nam mówił, że uważasz się za twardego face-ta. Rzeczywiście jesteś taki twardy?

– No.

– Zaraz się przekonamy...

Światło w kuchni było bardzo ostre. Piliśmy czystą whisky. Ciemnożółty płyn. Harry połał. Cudo. Moje usta i gardło nie mogły się doczekać. Grało radio. „Och, Johnny, och, Johnny, jak ty umiesz kochać!” – śpiewał kobiecy głos.

– Do dna! – zarządził Harry.

Nie było szans, żebym przegrał. Mogłem pić całymi dniami. Zawsze mi było mało.

Gulgul też dostał małą szklaneczkę. Kiedy zaczęliśmy pić, podniósł ją i sobie dziabnął. Wszyscy uważali, że to strasznie śmieszne. Nie widziałem nic śmiesznego w tym, że taki mały dzieciak pije, ale się nie odezwałem.

Harry znowu połał.

– Hank, czytałeś moje opowiadanie? – spytał Becker.

– No.

– Podobało ci się?

– Tak. Jesteś prawdziwy pisarz. Teraz musisz tylko mieć trochę fartu.

– Do dna! – powiedział Harry.

Druga kolejka przeszła bez problemów. Wszyscy gładko przełknęliśmy, nawet Lana.

Harry spojrzał na mnie.

– Lubisz się naparzać, Hank?

– Nie.

– Bo jakbyś lubił, to u nas od tego jest Pysk.

Pysk był dwa razy taki jak ja. Życie to okropnie marnudne zajęcie. Gdzie tylko się człowiek obróci, jakiś gość gotów jest wyzwać go na solo i załatwić jednym palcem. Spojrzałem na Pyska.

– Siema! – powiedziałem.

– Akurat – odparł. – Pij, nie pierdol.

Harry nalał wszystkim. Opuścił tylko Gulgula, który siedział w wysokim krzeselku. Dobrze zrobił. No i fajnie, podnieśliśmy szklaneczki i chlapanęliśmy. Po tej kolejce Lana odpadła.

– Ktoś musi potem sprzątnąć ten cały syf i rano wyprowadzić Harry'ego do roboty – powiedziała.

Nalano następną kolejkę. Drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wbiegł mniej więcej dwudziestoletni chłopak, potężnie zbudowany przystojniak.

– Harry, schowaj mnie, kurwa! – zawołał. – Przed chwilą obrobiłem stację benzynową!

– Wóz stoi w garażu – odparł Harry. – Połóż się z tyłu na podłodze i leż!

Wypiliśmy. Znowu ktoś polał. Zjawiła się nowa butelka. Osiemnaście dolarów wciąż leżało pośrodku stołu. Wszyscy prócz Lany dzielnie się trzymali. Wyglądało na to, że nie mało whisky popłynie, nim padniemy.

– Ty, starczy nam picia?

– Lana, pokaż mu...

Lana pootwierała górne drzwiczki kredensu. Butelki whisky stały tam całymi rzędami, wszystkie w jednym gantunku. Pomyślałem, że to łup z napadu na ciężarówkę, i chyba zgadłem. Do gangu należał Harry, Lana, Śmierdziel, Człapa, Ellis, Pysk i Kosior, może także Becker, i najprawdopodobniej ten młody człowiek, który dopiero co się położył na podłodze za przednim siedzeniem w samochodzie Harry'ego. Poczuję się zaszczycony, że piję z tak aktywnymi przedstawicielami ludności Los Angeles. Becker nie tylko umiał pisać, lecz także znał się na ludziach. Postanowiłem, że swoją pierwszą powieść zadedykuję Robertowi Beckerowi, a na pewno będzie lepsza niż *O czasie i rzecze*.

Harry wciąż nalewał. Piliśmy jedną kolejkę za drugą. W kuchni było sino od dymu z papierosów.

Pierwszy odpadł Człapa. Miał wielki nos i tylko kręcił głową: już nie chcę, już nie chcę. W sinym dymie nie było widać nic prócz tego merdającego nosa.

Ellis odpadł drugi. Miał strasznie włochatą pierś, ale ja ja widocznie dosyć gołe.

Pysk był trzeci. Zerwał się, pobiegł do kibla i rzucił pawia. Harry posłuchał go chwilę i zarażony tą ideą podskoczył i zrzygał się do zlewu.

Zostałem ja, Becker, Śmierdziel i Kosior.

Z nas czterech pierwszy odpadł Becker. Tak jak siedział z założonymi rękami, oparł je na stole, spuścił na nie głowę i więcej się nie ruszył.

– Noc jeszcze młoda – powiedziałem. – Zwyczajnie piję, póki słońce nie wszędzie.

– Aha – odparł Kosior. – Pijesz do rana i srasz w koszyk!

– No. Koszyk w kształcie twojej głowy.

Kosior wstał.

– Ty chuju, zobaczysz, jak cię pierdolnę!

Zamachnął się na mnie przez stół, ale nie trafił, tylko przewrócił butelkę. Lana wzięła ścierkę i wytarła blat. Harry otworzył następną flaszkę.

– Siadaj, Kosior, bo przegrasz zakład – rzekł Harry i nalał jeszcze jedną kolejkę. Wypiliśmy.

Kosior wstał, podszedł do kuchennych drzwi, otworzył je i wyjrzał na dwór.

– Kosior, co robisz, do jasnej cholery? – spytał Śmierdziel.

– Patrzę, czy jest już pełnia.

– No i co, jest?

Nie było odpowiedzi. Usłyszeliśmy, że Kosior wypada za drzwi i turla się po schodkach prosto w krzaki. Zostawiliśmy go, niech leży.

Zostałem ja i Śmierdziel.

– Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś załatwił Śmierdzia – rzekł Harry.

Lana położyła Gulgula do łóżeczka i wróciła do kuchni.

– Jezu, same zwłoki.

– Lej, Harry – powiedziałem.

Harry nalał Śmierdzielowi, a potem mnie. Wiedziałem, że nie mam szans przełknąć tej szklanki. Zrobiłem jedyne, co mogłem. Udałem, że to dla mnie betka. Złapałem za szklankę i połknąłem wszystko jednym haustem. Śmierdziel tylko się na mnie gapił.

– Zaraz wracam. Muszę iść do kibla.

Siedzieliśmy i czekaliśmy.

– Śmierdziel to fajny chłopak – powiedziałem. – Nie powinniście tak na niego mówić. Skąd ta ksywa?

– Nie mam pojęcia – odparł Harry. – Jakoś się do niego przykleiła.

– Ten gość, co leży w twoim aucie, to w ogóle kiedyś stamtąd wyjdzie?

– Dopiero rano.

Siedzieliśmy i czekaliśmy.

– Może lepiej zobaczymy, co u niego – powiedział Harry.

Otworzyliśmy drzwi łazienki. Śmierdziela nigdzie nie było widać. Ale nagle go zobaczyliśmy. Wpadł do wanny, nogi wystawały mu poza krawędź. Miał zamknięte oczy i leżał w tej wannie jak trup. Wróciliśmy do stołu.

– Cała forsa twoja – powiedział Harry.

– Może bym chociaż zapłacił za parę flaszek?

– Nie zawracaj głowy.

– Serio?

– Jasne.

Wziąłem pieniądze ze stołu i schowałem do prawej kieszeni z przodu spodni. Spojrzałem na szklanekę Śmierdziela.

– Co ma się marnować – powiedziałem.

– Masz zamiar to wypić? – spytała Lana.

– Czemu nie? Strzemienego...

Chlupnąłem.

– No to na razie, kochani. Było ekstra!

– Dobranoc, Hank...

Wyszedłem kuchennymi drzwiami, przechodząc nad padniętym Kosiorem. Trafiłem w alejkę za domem i skręciłem na lewo. Szedłem, aż zobaczyłem zielonego chevroleta.

Idąc w jego stronę, trochę się zataczałem. Chwyciłem za klamkę tylnych drzwiczek, żeby złapać równowagę. Cholerne drzwiczki nie były zamknięte na klucz. Otworzyły się i pchnęły mnie w bok. Potłukłem się i obtarłem sobie łokieć o chodnik. Rzeczywiście była pełnia. Nagle rąbnęły mnie te wszystkie promile, które miałem we krwi. Czułem, że nigdy nie wstanę. Ale musiałem wstać. Przecież byłem twardy facet. Podniosłem się, zawadziłem o niedomknięte drzwiczki i jakoś dałem radę się ich przytrzymać. Złapałem za wewnętrzną klamkę i dźwignąłem się na równe nogi. Wgramoliłem się na tylne siedzenie i tak już zostałem. Przesiedziałem w aucie sporo czasu. W końcu puściłem pawia. Był to paw nad pawie. Rzygałem jak najęty, aż zapaskudziłem całą podłogę. Posiedziałem jeszcze trochę i w końcu udało mi się wyleźć z auta. Już mi się tak nie kręciło w głowie. Wyjąłem chustkę do nosa i starłem rzygowiny z nogawek i z butów, na ile się dało. Zamknąłem drzwiczki i poszedłem dalej. Musiałem znaleźć tramwaj W. Uparłem się, że go znajdę.

No i znalazłem. Zajechałem nim prawie do samego domu. Potem szedłem wzdłuż Westview Avenue i Dwudziestej Pierwszej, skręciłem na południe i trafiłem pod numer 2122 na Longwood Avenue. Skręciłem w podjazd prowadzący do domu sąsiada, znalazłem porzeczkę, przebiegłem nad nią i przez odstłonięte okno wdrapałem się do swojej sypialni. Rozebrałem się i położyłem. Na balandze musiałem wypić chyba ponad litr whisky. Ojciec dalej chrapał, tak jak wtedy, kiedy wychodziłem, tylko głośniejszy i bardziej obrzydliwy. Mimo to zasnąłem.

Na lekcję angielskiego z panem Hamiltonem jak zwykle spóźniłem się trzydzieści minut. Było wpół do ósmej.

Stałem pod drzwiami i chwilę posłuchałem. Znowu walcowali Gilberta i Sullivana. Wciąż ten sam numer o królewskiej marynarce i unikaniu morza. Hamilton nigdy nie miał dość tej piosenki. W ogólniaku nauczyciel od angielskiego katował nas Edgarem Allanem Poe. Nic, tylko Poe i Poe.

Otworzyłem drzwi. Hamilton podszedł do adapteru i zdjął igłę z płyty. A potem obwieścił klasie:

– Ilekroć zjawia się pan Chinaski, wiemy, że jest wpół do ósmej. Bo pan Chinaski zawsze przychodzi punktualnie, tyle że nie w porę.

Urwał i popatrzył po twarzach. Był ogromnie dostojny. Potem spojrzał na mnie.

– Panie Chinaski, może pan przychodzić o wpół do ósmej albo i w ogóle się nie zjawiać. Z angielskiego tak czy owak ma pan u mnie D.

– D, panie profesorze? – spytałem, błyskając zębami w tym beczelnym uśmiechu, który był moją specjalnością.

– Czemu nie G?

– Bo G może znaczyć „gówniarz”, a dla pana nawet i to byłby komplement.

Klasa zawyła, zaryczała, wałać pięściami w ławki i tupiąc. Odwróciłem się i wyszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi. Szedłem korytarzem, a tamci dalej się cieszyli.

Rozdział 52

Na europejskiej wojnie wszystko szło znakomicie, zwłaszcza Hitlerowi. Większość studentów raczej się na ten temat nie wypowiadała. Za to wykładowcy owszem. Prawie wszyscy mieli lewicowe poglądy i byli przeciwko Niemcom. Chyba jedynym przedstawicielem frakcji prawicowej był wśród nich Glasglow od ekonomii, a i on niezbyt się z tym wychylał.

Powszechnie uważano, że sama inteligencja nakazuje człowiekowi opowiadać się za tym, żeby Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny z Hitlerem i powstrzymały nawałę faszyzmu. Osobiście nie czułem najmniejszej chęci, żeby iść na wojnę i bronić swojego dotychczasowego życia albo przyszłości, która ewentualnie mogła mnie czekać. Nie miałem tej ich słynnej Wolności, nie miałem nic. Pod Hitlerem może by mi się nawet od czasu do czasu trafiła jakaś dupa, no i tygodniówka powyżej dolara. Nie rozumiałem, czego miałbym właściwie bronić. A zresztą urodziłem się w Niemczech, więc powodowany naturalną lojalnością cierpiełem, kiedy cały naród niemiecki, wszystkich Niemców, na każ-

dym kroku przedstawiano jako stado zidiociałych potworów. W kinach kroniki filmowe wyświetlano w przyspieszonym tempie, żeby Hitler i Mussolini wyglądali jak rozhisteryzowani szaleńcy. Poza tym wszyscy wykładowcy opowiadali się przeciw Niemcom, a dla mnie było niepodobieństwem ot tak, po prostu się z nimi zgodzić. Wyobcowanie i wrodzona przekora kazały mi się sprzeciwiać. Nigdy nie czytałem *Mein Kampf* i nie miałem najmniejszej ochoty na tę lekturę. Hitler był dla mnie jeszcze jednym dyktatorem, tyle że zamiast się mądrzyć przy kolacji, pewnie by kazał swoim ludziom palnąć mi w łeb albo w jaja, gdybym poszedł na wojnę przeciwko niemu.

Kiedy wykładowcy rozwodzili się nad okropnościami hitleryzmu (kazali nam pisać to słowo małą literą nawet na początku zdania) i faszyzmu, zrywałem się czasem z miejsca i zmyślałem na poczekaniu jakiś slogan, na przykład:

– Przetrawanie rasy ludzkiej zależy od selektywnej odpowiedzialności!

Tylko ja wiedziałem, że znaczy to: „Uważaj, z kim idziesz do łóżka”. Wszystkich szlag trafiał, kiedy mówiłem coś takiego.

Sam nie wiem, skąd właściwie brałem te swoje teksty:

– Jedną z wad demokracji jest to, że wybory powszechne zapewniają wyłonienie powszechnie akceptowanego przywódcy, który potem prowadzi nas do powszechnej apatii i zupełnego braku niespodzianek!

Nie wspominałem wprost o Żydach ani o czarnych, bo ani jedni, ani drudzy nic mi nigdy nie zrobili. Całe zło wyrządzili mi biali goje. Nie byłem więc faszystą z usposobienia ani z wyboru; wykładowcy właściwie sami zmusili mnie

do przejścia na te pozycje – przez to, że tacy byli do siebie podobni, że tak podobnie myśleli i tyle mieli uprzedzeń wobec Niemców. Przeczytałem gdzieś, że jeśli człowiek w gruncie rzeczy nie wyznaje ani nie rozumie poglądów, które przyjmuje za swoje, to jego słowa mogą, o dziwo, brzmieć bardziej przekonująco. Dawało mi to znaczną przewagę nad wykładowcami.

– Jeśli skrzyżujemy konia pociągowego z wyścigowym, potomstwo nie będzie ani szybkie, ani silne. Nowa Rasa Panów powstanie dzięki celowej reprodukcji!

– Nie ma dobrych ani złych wojen. Wojna jest zła tylko wtedy, kiedy się ją przegrywa. W każdej z dotychczasowych wojen obie strony walczyły o słuszną sprawę. Ale historia miano słusznej sprawy nadaje tylko interesowi zwycięzcy. Nieważne, po czyjej stronie jest racja. Liczy się tylko to, kto ma lepszych generałów i lepsze wojska!

Uwielbiałem tak nawijać. Mogłem zmyślać, co mi się podobało.

Oczywiście takim gadaniem odbierałem sobie resztki szans u dziewczyn. Ale moje szanse tak czy owak nigdy nie były wielkie. Myślałem, że przez te zwariowane mowy skazuję się w szkole na zupełną samotność, ale się myliłem. Byli tacy, co ich uważnie słuchali. Pewnego dnia szedłem na zajęcia z aktualności politycznych i nagle usłyszałem, że ktoś zbliża się do mnie od tyłu. Nigdy nie lubiłem, żeby ktoś za mną szedł, zwłaszcza tak blisko. Nie zwalniając kroku, obejrzałem się za siebie. Zobaczyłem Boyda Taylora. Boyd był prezesem zrzeszenia studentów i bardzo popularną postacią. W całej historii szkoły tylko jego dwa razy wybrano na to stanowisko.

– Czekaj, Chinaski, mam z tobą do pogadania.

Nigdy za Boydem nie przepadałem. Był to typowy przystojniak z gwarantowaną przyszłością, zawsze odpowiednio ubrany, swobodny, gładki, z przyszczyżonym każdym włoskiem w czarnych wąsach. Nie miałem pojęcia, czym tak działa na wszystkich studentów. Zaczął iść obok mnie.

– Nie boisz się, Boyd, że ci to zaszkodzi, jak cię ktoś ze mną zobaczy?

– Nie twoje zmartwienie.

– Dobra. O co ci chodzi?

– Coś ci powiem, Chinaski, ale w cztery oczy, jasne?

– Jasne.

– Słuchaj, nie wierzę w to, co reprezentują tacy ludzie jak ty, i uważam, że nie dążycie do niczego dobrego.

– No więc?

– Ale pamiętaj, że jeżeli wygracie tutaj i w Europie, to chętnie do was dołączę.

Roześmiałem mu się w nos.

Stanął jak wryty, a ja poszedłem dalej. Nigdy nie ufaj facetowi z idealnie przyszczyżonym wąsem...

Inni też słuchali, co mówię. Po zajęciach z aktualności politycznych zobaczyłem Glacę. Stał z nim jakiś bysior, metr osiemdziesiąt wzrostu i niewiele poniżej metra w barach. Okrągła głowa ledwo mu wystawała z ramion. Miał małe uszka, włosy ostrzyżone na jeża, świńskie oczka, a usta malutkie, okrągłe i wilgotne.

„Jakiś świr – pomyślałem – morderca”.

– Hej, Hank! – zawołał Glaca.

Podszedłem do nich.

– Myślałem, LaCrosse, że między nami wszystko skończone.

– Gdzie tam! Możemy jeszcze dokonać wielkich rzeczy!

O, kurwa! Glaca też był jednym z nich!

Czemu cały ten Ruch na rzecz Rasy Panów przyciągał wyłącznie umysłowe i fizyczne kaleki?

– Poznaj Igora Stirnova.

Podąłem bykowi rękę. Ścisnął z całej siły. Zabolało.

– Puszczaj – powiedziałem – bo ci urwę ten pękaty baniak.

Puścił.

– Nie ufam facetom, którzy nie umieją porządnie ścisnąć ręki. Co masz taką sflaczałą łapę?

– Akurat dzisiaj jestem trochę osłabiony. Rano w domu przypalili mi grzankę, a przy drugim śniadaniu wylała mi się czekolada z mlekiem.

Igor popatrzył na Glacę.

– Ty, co to za facet?

– Spoko. Taki już jest.

Igor znowu na mnie spojrzał.

– Mój dziadek był w Rosji białogwardzistą. W czasie rewolucji zabili go czerwoni. Muszę się policzyć z tymi skurwysynami!

– Rozumiem.

Jeszcze jeden chłopak szedł w naszą stronę.

– Hej, Fenster! – krzyknął Glaca.

Fenster podszedł do nas. Podaliśmy sobie ręce. Znowu podałem sflaczałą. Nie lubiłem podawania rąk. Fenster

miął na imię Bob. Powiedział, że w jednym domu w Glendale odbędzie się zebranie partii Ameryka dla Amerykanów, a on ma reprezentować naszą szkołę. Potem sobie poszedł. Glaca nachylił się i szepnął mi do ucha:

– To są faszyści!

Igor miał samochód i pięciolitrowy gąsior rumu. Spotkaliśmy się przed domem Glacy. Igor puścił flaszkę w kółko. Dobry to był materiał, przepalał gardło na wylot. Igor prowadził wóz jak czołg, co chwila przejeżdżał na czerwonych światłach. Inni kierowcy trąbili i deptali hamulce, a on machał na nich czarnym straszakiem.

– Ty, Igor – powiedział Glaca. – Pokaż Hankowi splotę.

Igor prowadził, a Glaca i ja siedzieliśmy z tyłu. Igor podał mi rewolwer. Rzuciłem okiem.

– Ekstra, co? – zawołał Glaca. – Wyrzeźbił go z drewna i pomalował czarną pastą do butów. Jak prawdziwy, no nie?

– No – powiedziałem. – Ma nawet otwór w lufie.

Oddałem Igorowi rewolwer.

– Bardzo ładny – pochwaliłem. Podał nam do tyłu gąsiorek z rumem. Walnąłem sobie i oddałem flaszkę Glacy. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Heil Hitler!

Przyjechaliśmy ostatni. Dom był duży i ładny. W drzwiach przywitał nas uśmiechnięty grubasek, który wyglądał, jakby nic nie robił przez całe życie, tylko siedział przy kominku i zajadał kasztany. Jego rodziców chyba nie było w domu. Nazywał się Larry Kearny. Poszliśmy za nim przez całe to domiszcze, a potem w dół długimi, ciemnymi

schodami. Widziałem tylko ramiona i głowę Kearny'ego. Był znakomicie odżywiony i chyba dużo bardziej przytomny niż Glaca, Igor albo ja. „Kto wie – pomyślałem – może jednak czegoś się tu nauczę”.

Wylądowaliśmy w piwnicy. Znaleźliśmy wolne krzesła. Fernster kiwnął głową. Było tam jeszcze siedmiu facetów, których nie znałem. Na podeście stało biurko. Larry wszedł na podest i stanął za biurkiem. Za jego plecami wisiła na ścianie wielka flaga amerykańska. Wyprężył się na baczność.

– Najpierw ślubujemy wierność sztandarowi Stanów Zjednoczonych!

„Boże – pomyślałem – ja tu chyba trafiłem przez pomyłkę!”.

Wstaliśmy i wygłosiliśmy rotę ślubowania, ale ja przerwałem po słowach „ślubuję wierność...”. Nie powiedziałem, czemu mam zamiar dochować wierności.

Usiedliśmy. Larry zaczął przemawiać zza biurka. Powiedział, że jest to dopiero pierwsze spotkanie i wobec tego sam będzie przewodniczył. Kiedy po kilku spotkaniach trochę się poznamy, wybierze się prezesa, jeśli zechcemy. Ale na razie...

– Wolności Amerykanów zagrażają dwa niebezpieczeństwa, komunistyczna plaga i ofensywa czarnych. Komuniści i czarni przeważnie idą ręka w rękę. My, prawdziwi Amerykanie, będziemy się tu zbierać, aby zapobiec tym dwóm plagom i groźbom. Doszło do tego, że porządna biała dziewczyna nie może już spokojnie przejść ulicą, bo zaraz ją zaczepia jakiś czarnuch!

Igor zerwał się z miejsca.

– Zabijemy ich!

– Komuniści chcą rozdzielić między wszystkich majątek, na który od tak dawna pracowaliśmy, na który harowali nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców. Komuniści chcą oddać nasze pieniądze pierwszemu lepszemu czarnuchowi, pedałowi, włóczędze, mordercy i dręczycielowi dzieci!

– Zabijemy ich!

– Trzeba ich powstrzymać.

– Uzbroimy się!

– Tak jest, uzbroimy się! Będziemy się tu spotykać i w końcu ułożymy dalekosiężny plan ratowania Ameryki!

Rozległ się okrzyk aprobaty. Kilku wrzasnęło:

– Heil Hitler!

Potem zaczęła się część towarzyska.

Larry rozdał wszystkim zimne piwo. Staliśmy grupkami i rozmawialiśmy. Zgodnie ustalono, że potrzebny jest nam trening strzelecki, żebyśmy umieli po mistrzowsku strzelać, gdy nadejdzie pora, a poza tym niewiele się mówiło.

U Igora też chyba nie było rodziców, kiedy już tam wróciliśmy. Igor wyjął skądś patelnię, wrzucił na nią cztery małe kostki masła i zaczął je topić. Nalał rumu do dużego garnka i podgrzał.

– Napój prawdziwych mężczyzn – powiedział. Spojrzał na Glacę. – Jesteś mężczyzną, Glaca?

Glaca był już pijany. Wyprężył się na baczność, z rękami na szwach.

– TAK, JESTEM MĘŻCZYZNĄ! – Zaczął szlochać. Łzy płynęły mu po policzkach. – JESTEM MĘŻCZYZNĄ!
– Jeszcze bardziej się wyprężył i wrzasnął: – Heil Hitler!

Łzy dalej płynęły mu po twarzy.

Igor spojrział na mnie.

– A ty jesteś mężczyzną?

– Nie wiem. Gotowy już ten rum?

– Wcale nie mam pewności, czy należy ci ufać. Nie mam pewności, czy jesteś nasz. Nie robisz aby za wtykę? Nie jesteś agentem wroga?

– Nie.

– Jesteś nasz?

– Nie wiem. Wiem tylko jedno.

– Co?

– To, że cię nie lubię. Rum gotowy?

– Widzisz? – powiedział Glaca. – Mówiłem ci, że to ostry facet.

– Zanim noc się skończy, okaże się, kto tu jest najostrzejszy – odparł Igor.

Wlał roztopione masło do wrzącego rumu, zgasił gaz i zamieszał. Wcale go nie lubiłem, ale był zupełnie inny niż wszyscy, a to mi się z kolei podobało. Postawił na stole trzy duże niebieskie filiżanki z rosyjskimi napisami. Wlał do nich rum zaprawiony masłem.

– Dobra – powiedział. – Pijcie!

– Najwyższy czas, kurwa – odparłem i chlapiłem jednym haustem. Rum był trochę za gorący i śmierdział.

Patrzyłem, jak Igor pije. Zobaczyłem jego świńskie oczka tuż nad krawędzią filiżanki. Dał radę jakoś wszystko przełknąć. Kropelki złotego płynu wyciekły mu z kącików tej głupiej gęby. Patrzył na Glacę. Glaca gapił się w filiżankę. Pamiętałem z dawnych czasów, że wcale nie kocha pić.

Igor patrzył na Glacę.

– No pij! – powiedział.

– Tak, Igor, już piję...

Glaca podniósł niebieską filiżankę. Przeżywał ciężkie chwile. Napój był dla niego za gorący i ani trochę mu nie smakował. Połowa wyciekła mu z ust na podbródek, a z podbródka na koszulę. Pusta filiżanka upadła na podłogę.

Igor stanął przed nim i wziął się pod boki.

– Nie jesteś mężczyzną!

– JESTEM, IGOR! JESTEM MĘŻCZYZNĄ!

– KŁAMIESZ!

Igor dał mu w twarz wierzchem dłoni, a kiedy głowa Glacy poleciała w bok, spoliczkował go z drugiej strony, żeby wyprostować. Glaca stał na baczność. Ręce trzymał na szwach.

– Jestem... mężczyzną...

Igor dalej stał przed nim.

– Już ja z ciebie zrobię mężczyznę!

– Ty – powiedziałem do Igora. – Zostaw go.

Igor wyszedł z kuchni. Nalałem sobie jeszcze rumu. Smakował okropnie, ale nie było nic innego.

Wrócił Igor. W ręku trzymał rewolwer, tym razem prawdziwy, stary sześciostrzałowiec.

– Zagramy w rosyjską ruletkę – oznajmił.

– Pierdol się w dupę – powiedziałem.

– Ja zagram, Igor – rzekł Glaca. – Zagram! Jestem mężczyzną!

– Dobra – powiedział Igor. – W magazynku jest tylko jedna kula. Parę razy obróć magazynek i dam ci broń do ręki.

Zakręcił magazynkiem i oddał spluwę Glacy. Glaca wzięła ją i przytknęła sobie do głowy.

– Jestem mężczyzną... Jestem mężczyzną... Nacisnę!
Znowu się rozplakał.

– Nacisnę... Jestem mężczyzną...

Lufa omsknęła mu się ze skroni. Wycelował w powietrze i nacisnął spust. Pstryknęło.

Igor wziął od niego broń, zakręcił magazynkiem i podał mi. Zaraz mu ją oddałem.

– Ty pierwszy.

Igor zakręcił magazynkiem, podniósł broń i patrząc pod światło, zajrzał w magazynek. Przytknęła lufę do skroni i nacisnął spust. Znowu pstryknęło.

– Wielkie mi co – powiedziałem. – Podpatrzyłeś, gdzie w magazynku jest kula.

Igor zakręcił magazynkiem i podał mi broń.

– Twoja kolej...

Oddałem mu rewolwer.

– Wsadź sobie – powiedziałem.

Podszedłem do stołu po dolewkę. Huknął strzał. Spojrzałem na podłogę. Niedaleko mojej stopy pojawił się otwór od kuli.

Odwróciłem się.

– Spróbuj jeszcze raz we mnie wycelować, to cię zabiję.

– Mówisz?

– Żebyś wiedział.

Uśmiechnął się bez słowa. Pomału zaczął podnosić broń. Czekałem. Po chwili spuścił lufę. I na tym właściwie skończył się nocny program. Wyszliśmy do auta i Igor nas odwiózł. Ale po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze w West-

lake Park, wynajęliśmy łódkę i wypłynęliśmy na jezioro, żeby dorznąć rum. Kiedy został pusty gąsior, Igor nabił rewolwer i w paru miejscach przestrzelił dno łódki, czterdzieści metrów od brzegu. Musieliśmy skoczyć do wody i jakoś dopłynąć...

Do domu wróciłem późno. Po starym przelazłem przez porzeczkę i oknem dostałem się do sypialni. Rozebrałem się i położyłem, a w sąsiednim pokoju chrapał mój ojciec.

Rozdział 53

Wracając po zajęciach do domu, schodziłem ze wzgórza Westview. Nigdy nie nosiłem ze sobą książek. Egzaminy zdawałem, bo uważałem na wykładach i odpowiadałem na czuja. Nigdy nie musiałem wkuwać przed sesją. Zawsze jakoś dostawałem to swoje C. Schodząc ze wzgórza, wlałem prosto w wielką pajęczynę. Ciągłe mi się zdarzały takie numery. Zacząłem ściągać z siebie to lepkie świństwo, rozglądając się za pajakiem. W końcu wypatrzyłem wielkiego, czarnego tłuszciocha. Zmiażdżyłem skurwiela. Od dawna nienawidziłem pajaków. Wiedziałem, że kiedy pójdę do piekła, będzie mnie żarł pajak.

Przez wszystkie lata przeżyte w tej dzielnicy wlałem w pajęczyny, dziobały mnie kosy, mieszkalem razem z ojcem. Wieczna szarzyzna, głatwa i beznadzieja. Nawet pogoda była wredna i dawała mi w kość. Albo całymi tygodniami trwał nieznośny upał, albo padało, a wtedy z kolei potrafiło lać przez pięć czy sześć dni. Woda występowała na trawniki i wlewała się do domów. Projektant studzienek odpływowych z pewnością nieźle się obłowił na tym, że zrobił coś, o czym nie miał pojęcia.

Moje własne sprawy wyglądały równie źle i ponuro jak w dniu, w którym przyszedłem na świat. Z tą różnicą, że od czasu do czasu mogłem się już napić, chociaż nie tak często, jak bym chciał. Tylko picie ratowało człowieka przed wiecznym otępieniem i poczuciem, że jest się do niczego. Przez resztę czasu życie stało tylko kłuło i szarpało. Nie widziałem w nim nic ciekawego, nic a nic. Ludzie byli ostrożni, tkwili w wąsko zakreślonych ramach. Nie mieściło mi się w głowie, że do końca życia mam się zadawać z takimi piździelcami. Boże, mieli sraki, narządy płciowe, usta i pachy. Srali, gadali i byli drętwi jak końskie łajno. Dziewczyny z daleka mogły się podobać, kiedy słońce podświetlało ich sukienki i włosy. Ale wystarczyło podejść bliżej i posłuchać, co im wycieka ustami z mózgownic. Człowiek miał wtedy ochotę złapać pistolet maszynowy, wykopać sobie ziemiankę i już z niej nie wychodzić. Wiedziałem, że nigdy nie dam rady być szczęśliwy, ożenić się, mieć dzieci. Nie nadawałem się nawet na pomywacza.

A gdyby tak napadać na banki? Znaleźć sobie jakieś diabelne zajęcie. Coś, w czym jest rozmach i błysk. Żyje się raz, więc po co żyć z mycia okien?

Zapaliłem papierosa i poszedłem dalej. Czyżby tylko mnie dręczył ten zupełny brak perspektyw?

Zobaczyłem kolejnego czarnego pająka, tak samo wielkiego jak poprzedni. Siedział w pajęczynie, która zagradzała mi drogę, mniej więcej na wysokości mojej twarzy. Przypaliłem go petem. Tak podskoczył, że cała ogromna sieć zatrzęsała się i szarpnęła. Aż zadygotały gałęzie krzaka. Pająk dał susa i spadł na chodnik. Pająki to mordercy i tchórze, wszystkie co do jednego. Zdeptałem go. Udany

dzień, zabiłem dwa pająki. Zakłóciłem równowagę w przyrodzie i teraz wszamię nas wszystkich robale i muchy.

Schodziłem coraz niżej. Kiedy byłem już prawie na samym dole, wielki krzak rosnący przy ścieżce zaczął się trząść. Król Pająków czyhał w zasadzce. Ruszyłem mu na spotkanie.

Zza krzaka wyskoczyła moja matka.

– Henry, Henry, nie idź do domu, nie idź do domu, ojciec cię zabije!

– Jakim cudem? Prędeż ja mu dam smary.

– Nie, Henry, on się naprawdę wściekł! Nie chodź do domu, bo cię zabije! Już kilka godzin czekam tu na ciebie!

Oczy miała rozszerzone z przerażenia i nawet piękne – duże piwne oczy.

– Co on robi w domu o tej porze?

– Rozbolała go głowa i wziął sobie wolne na popołudnie!

– Zdawało mi się, że ty też pracujesz, że masz nową pracę?

Matka była gosposią u jakichś ludzi.

– Specjalnie po mnie przyszedł! Jest wściekły! Zobaczysz, że cię zabije!

– Nie bój się, mamo. Niech mi tylko podskoczy, to mu skopię dupsko, słowo daję.

– Henry, on znalazł twoje opowiadania i je przeczytał!

– Nikt go nie prosił.

– Znalazł je w szufladzie i przeczytał wszystkie co do jednego!

Bo rzeczywiście napisałem tymczasem dziesięć, może dwanaście opowiadań. Dać człowiekowi maszynę do pisa-

nia, to zostanie pisarzem. Trzymałem te opowiadania schowane pod papierem, którym wyłożona była szuflada z moimi majtkami i skarpetkami.

– No to co? Grzebał gdzie nie trzeba i sparzył sobie palce.

– Mówi, że cię zabije! Mój syn nie może pisać takich opowiadań, mówi, i żyć ze mną pod jednym dachem!

Wzięłem ją pod ramię.

– Chodźmy do domu, mamó. Zobaczymy, co stary zrobi...

– Henry, on wyrzucił na trawnik całe twoje ubranie, brudną bieliznę, maszynę, walizkę i opowiadania!

– Moje opowiadania?

– Tak, opowiadania też...

– Zabiję go!

Wyrwałem jej się, przeszedłem na drugą stronę Dwudziestej Pierwszej i skręciłem w stronę Longwood Avenue. Matka za mną.

– Henry, Henry, nie wchodź do domu!

Biedna kobieta szarpała mnie z tyłu za koszulę.

– Henry, posłuchaj mnie, wynajmij sobie jakiś pokój! Henry, mam dziesięć dolarów! Weź je i znajdź sobie pokój na mieście!

Odwróciłem się do niej. W wyciągniętej ręce trzymała banknot.

– Nie zawracaj sobie głowy – powiedziałem. – Pójdę bez niczego.

– Henry, weź te pieniądze! Zrób to dla mnie! Zrób to dla matki!

– No, niech będzie...

Wziąłem papier i schowałem do kieszeni.

– Dziękuję. To kupa forsy.

– Mniejsza o to, Henry. Kocham cię, ale musisz odejść.

Poszedłem w stronę domu, a ona pobiegła przede mną. Po chwili zobaczyłem trawnik zawalony moimi rzeczami: czyste i brudne ubrania, otwarta walizka, skarpetki, koszule, piżama, stary szlafrok, wszystko ciśnięte byle jak, porozrzucane po całym trawniku i po ulicy. Zobaczyłem, że wiatr roznosi kartki maszynopisów. Walały się w rynsztoku, wszędzie było ich pełno.

Matka pobiegła alejką do domu. Wrzasnąłem za nią, żeby na pewno usłyszała:

– Powiedz mu, niech tu do mnie wyjdzie, to mu urwę ten zasrany łeb!

Najpierw zacząłem zbierać maszynopisy. Już bardziej podle nie mógł mnie zranić. Czego jak czego, ale moich opowiadań nie miał prawa ruszać. Zbierałem kolejne arkusze z rynsztoka, z trawnika i z jezdni i pomału wracałem do siebie. Zgarnąłem wszystkie kartki, które udało mi się znaleźć, włożyłem do walizki, przycisnąłem butem i poszedłem ratować maszynę do pisania. Wypadła z obudowy, ale wyglądało na to, że nic jej się nie stało. Spojrzałem na porozrzucane łachmany. Zostawiłem brudną bieliznę, zostawiłem piżamę, którą zresztą i tak tylko donaszałem po nim. Niewiele więcej było do pakowania. Zamknąłem walizkę, wziąłem ją w jedną rękę, a maszynę w drugą, i poszedłem sobie. Widziałem, że zza firanki przyglądają mi się dwie twarze. Ale szybko o tym zapomniałem, ruszyłem pod górę Longwood Avenue, przeciąłem Dwudziestą Pierwszą

i wszedłem na znajome wzgórze Westview. Czułem się mniej więcej tak samo jak zawsze – ani na haju, ani w dołku; miałem wrażenie, że życie zwyczajnie toczy się dalej. Miałem zamiar wsiąść w tramwaj W, kupić bilet i dojechać do centrum.

Rozdział 54

Znalazłem pokój na ulicy Temple, w dzielnicy filipińskiej. Pierwsze piętro, trzy i pół dolara tygodniowo. Zapłaciłem gospodyni – blondynce koło czterdziestki – za tydzień z góry. Ubikacja i wanna były na parterze, ale szczać mogłem w pokoju do umywalki.

Zaraz pierwszego wieczoru odkryłem na dole bar, tuż na prawo od wejścia. Spodobał mi się taki układ. Musiałem tylko wejść po schodach i już byłem w domu. W barze siedział cały tłum śniadych ludzików, ale mnie nie zaczepiali. Nasłuchiwałem się rozmaitych historii o Filipińczykach – że lubią białe dziewczyny, a zwłaszcza blondynki, że stale noszą przy sobie sztylety, że wszyscy są tego samego wzrostu, więc zrzucają się po siedmiu na drogi garnitur z wszystkimi dodatkami i noszą go na zmianę, każdy w inny dzień tygodnia. George Raft napisał gdzieś, że Filipińczycy dyktują modę. W mojej dzielnicy stali na rogach ulic i kręcili młynka cienkimi złotymi łańcuszkami; każdy łańcuszek miał osiemnaście do dwudziestu centymetrów długości – dokładnie tyle samo co kutas właściciela.

Barman był Filipińczykiem.

– Jesteś tu nowy, co? – spytał.

– Mieszkam na górze. Jestem studentem.

– Nic na kredyt.

Położyłem na blacie kilka monet.

– Jedno Eastside.

Przyniósł mi flaszkę piwa.

– Skąd tu można wziąć dziewczynę? – spytałem.

Zgarnął część monet.

– Ja tam nic nie wiem – rzekł i poszedł do kasy.

Pierwszej nocy przesiedziałem w barze aż do zamknięcia. Nikt się mnie nie czepiał. Kilka blondynek wyszło z Filipińczykami. Mężczyźni spokojnie popijali. Siedzieli po kilku, głowa przy głowie, i rozmawiali, a co jakiś czas wybuchali śmiechem, ale bardzo cichym. Spodobali mi się. Kiedy zaczęto zamykać i wstałem od stolika, barman powiedział „dziękuję”. W barach prowadzonych przez Amerykanów nigdy się to nie zdarzało, przynajmniej mnie.

Pasował mi ten nowy układ. Potrzebowałem tylko pieniędzy.

Postanowiłem nie rzucać szkoły. W ten sposób miałem gdzie spędzić kilka godzin w ciągu dnia. Mój kumpel Becker wyleciał. Prócz niego za nikim w szkole specjalnie nie przepadałem, może z wyjątkiem naszego antropologa, znanego komunisty. Był to wielki chłop, zawsze na luzie. Dawał się lubić. Akurat antropologii uczył nas niewiele.

– Otóż befszytk wołowy przyrządza się następująco – mówił na zajęciach. – Rozgrzewamy patelnię do czerwono-

ności, strzelamy sobie małą whisky i cienko posypujemy patelnię solą. Rzucamy na nią befsztyk i podsmażamy, ale tylko chwilę. Przewracamy go na drugą stronę, strzelamy sobie drugą whisky, zdejmujemy befsztyk z patelni i natychmiast zjadamy.

Kiedyś leżałem wyciągnięty na trawie przed szkołą. Właśnie przechodził tamtędy antropolog. Przystanął i wyciągnął się obok mnie.

– Chinaski, ty chyba nie wierzysz w te faszystowskie brednie, które lansujesz?

– Nie powiem tak, nie powiem nie. A pan wierzy w te swoje pierdoły?

– Oczywiście.

– No to powodzenia.

– Chinaski, jesteś zwykły kutafon.

Wstał, otrzepał spodnie z trawy i z liści i odszedł...

Dopiero od kilku dni mieszkałem na Temple, kiedy znalazł mnie Jimmy Hatcher. Któregoś wieczoru zapukał do drzwi. Otworzyłem. Stał z jeszcze dwoma facetami, kumplami z fabryki samolotów. Jeden nazywał się Delmore, a drugi Zrywny.

– Dlaczego Zrywny?

– Pożycz mu forszę, to zobaczysz.

– Właście... Jakim cudem mnie znalazłeś?

– Twoi starzy cię namierzyli przez prywatnego detektywa.

– Cholera, ci to umięją człowiekowi zatruć życie.

– Może się o ciebie martwią?

– Niech przyślą trochę szmalu, to będzie po zmartwieniu.

– Mówią, że wszystko przepijesz.

– No to niech się dalej martwią...

Wszyscy trzej weszli i rozsiedli się na łóżku i na podłodze. Przynieśli ze sobą litr whisky i papierowe kubki. Jimmy połał.

– Fajna chata.

– Ekstra. Ile razy wystawię głowę przez okno, widzę ratusz.

Zrywny wyjął z kieszeni talię kart. Siedział na chodniku. Spojrzał na mnie.

– Grasz?

– Codziennie. Zńczyłeś te karty?

– Ty chuju rybi!

– Nie ubliżaj mi, bo powieszę na kominku twoją perukę.

– Słowo daję, stary, karty są czyste!

– Gram tylko w pokera i w oko. Jaka stawka?

– Do dwóch dolców.

– Chodź, przełożymy.

Przełożyliśmy talię i wyszło, że mam rozdawać. Zarządziłem pokera z wymianą kart, bez dzokerów. W grze z dzokerami za dużo zależy od fartu. Po ćwierć dolara do puli. Ja rozdawałem, a Jimmy znowu połał.

– Jak sobie radzisz, Hank?

– Piszę na murzyna prace semestralne.

– Ty to masz łeb.

– No...

– Mówiłem wam, że to geniusz – powiedział Jimmy.

– Aha – rzekł Delmore. Siedział na prawo ode mnie.

Otworzył pulę.

– Cwiartka – powiedział.

Wszyscy dołożyliśmy.

– Trzy karty – powiedział Delmore.

– Jedna – powiedział Jimmy.

– Trzy – powiedział Zrywny.

– Zdrow – powiedziałem.

– Ćwiartka – powiedział Delmore.

Znowu wszyscy dołożyliśmy.

– Sprawdzam – powiedziałem, dokładając jeszcze dwa dolary.

Delmore spasował, Jimmy też. Zrywny spojrzał na mnie.

– A co jeszcze widzisz przez okno oprócz ratusza?

– Graj, nie pierdol. Nie mam czasu na gadułki o gimnastyce ani o krajobrazach.

– Dobra – powiedział. – Pas.

Zgarnąłem pulę i ich karty. Moje leżały dupą do góry.

– Co miałeś? – spytał Zrywny.

– Dołóż, to się dowiesz, a jak ci żal, to się spal – odparłem, zgarniając własne karty. Kiedy tasowałem całą talię, czułem się jak Gable, zanim Bóg mu odebrał siłę w czasie trzęsienia ziemi w San Francisco.

Talia przechodziła z rąk do rąk, ale ja prawie przez cały czas miałem fart. W fabryce samolotów akurat tego dnia była wypłata. Nie daj Bóg przyjąć z grubszą forszą do biedaka. Niewiele ma i tylko tyle może stracić. A z matematycznego punktu widzenia jest możliwe, że uda mu się wygrać wszystko, co masz przy sobie. Z biedakiem i z pieniędzmi to jak z wilkiem, kozą i kapustą.

Czułem, że to mój wieczór. Delmore szybko się splukał i wyszedł.

– Panowie – powiedziałem. – Mam pomysł. Karty są dobre dla cierpliwych. Lepiej po prostu rzucajmy monety. Orzeł bije dwie reszki, reszka bije dwa orły. Stawka dziesięć dolców.

– Dobra.

– Dobra.

Tymczasem skończyła się whisky. Napoczęliśmy moje tanie wino.

– No to jazda – zakomenderowałem. – Jak powiem „hop”, rzucajmy do góry i łapiemy na rękę. Jak powiem „już”, sprawdzamy.

Rzuciliśmy. Monety zawirowały w powietrzu. Złapaliśmy.

– Już! – powiedziałem.

Miałem reszkę, oni orły. Kurwa. Dwadzieścia dolców za fryko.

Wepchnąłem banknoty do kieszeni.

– Hop! – powiedziałem. Rzuciliśmy.

– Już!

Znowu wygrałem.

– Hop!

– Już!

Wygrał Zrywny.

Potem ja.

Po mnie Jimmy.

Potem znowu ja, dwa razy.

– Chwila – powiedziałem. – Muszę się wyszczać!

Podszedłem do umywalki i się odlałem. Wino się skończyło. Otworzyłem szafę w ścianie.

– Mam jeszcze jedną flaszkę – powiedziałem.

Wyjąłem z kieszeni prawie całą forszę i wrzuciłem do szafy. Wróciłem, otworzyłem butelkę i polałem.

– Kurwa – zaklął Zrywny, zaglądając do portfela.
– Jestem prawie goły.

– Ja też – powiedział Jimmy.

– No to kto ma ten cały szmal? – spytałem.

Mieli słabe głowy. Nie służyło im wino z whisky. Już się trochę kiwali.

Zrywny zatoczył się na komódkę i zrzucił popielniczkę. Pękła na pół.

– Podnieś – zażądałem.

– Gównno, nie podniosę – odparł.

– Podnieś, mówię!

– Gównno, nie podniosę.

Jimmy schylił się i podniósł stłuczoną popielniczkę.

– Zjeżdżajcie – powiedziałem.

– Jak będę chciał – rzekł Zrywny.

– Dobra, spróbuj jeszcze raz się odezwać, chociaż otwórz pysk, to za chwilę nie będziesz wiedział, gdzie masz łeb, a gdzie dupę!

– Chodźmy, Zrywny – powiedział Jimmy.

Otworzyłem drzwi. Minęli mnie niepewnym krokiem. Poszedłem za nimi korytarzem aż do samych schodów. Przystanęliśmy.

– Hank – rzekł Jimmy. – Wpadnę jeszcze kiedyś. Trzymaj się.

– Dobra, Jim...

– Ty – powiedział do mnie Zrywny. – Słuchaj...

Strzeliłem go w usta prawym prostym. Poleciał tyłem ze schodów, turlając się i odbijając od stopni. Był mniejszy jak ja – miał metr osiemdzie-

siąt wzrostu i ważył chyba z dziewięćdziesiąt kilo – więc słyszano go pewnie aż na sąsiedniej ulicy. W hallu na dole stała jasnowłosa gospodyni z dwoma Filipińczykami. Patrzyli, jak Zrywny leży, ale nie ruszyli się w jego stronę.

– Zabiłeś go! – powiedział Jimmy.

Zbiegł po schodach i obrócił swojego kumpla twarzą do góry. Zrywnemu krew lała się z nosa i z ust. Jimmy podtrzymał mu głowę. Spojrzał na mnie.

– Hank, to był świński numer...

– No. I co mi zrobisz?

– Chyba tu jeszcze kiedyś przyjdziemy i się z tobą rozprawimy...

– Czekaj.

Wróciłem do pokoju i nalałem sobie wina. Nie podobały mi się papierowe kubki, które przyniósł Jimmy, więc przez cały czas piłem ze słoika po galaretkce. Nawet nie odkleiłem etykiety. Cała była zalana winem i w ogóle brudna. Wyszedłem z powrotem na schody.

Zrywny pomału wracał do siebie. Jimmy pomagał mu wstać. Przewiesił sobie przez kark jego rękę. Stali we dwóch u dołu schodów.

– Powtórz, coś powiedział – zażądałem.

– Jesteś wstrętny, Hank. Przydałaby ci się nauczka.

– Znaczy, nie jestem ładny?

– Znaczy, że obrzydliwie postępujesz...

– Zabieraj stąd swojego kumpla, bo zejść na dół i go skończę!

Zrywny podniósł zakrwawioną głowę. Miał na sobie hawajską koszulę w kwiaty, ale sporo kolorów zniknęło pod plamami krwi.

Spojrzał na mnie. Zaczął coś mówić. Ledwo go było słyszeć, ale jakoś jednak usłyszałem, co bełkocze.

– Zabiję cię... – powiedział.

– Właśnie – przytaknął Jimmy. – Jeszcze ci pokazemy.

– NO TO SUPER, WY CHUJE JEBANE! – wrzasnąłem. – NIGDZIE SIĘ NIE WYBIERAM! W KAŻDEJ CHWILI ZASTANIECIE MNIE POD PIĄTKĄ! CZEKAM! PAMIĘTAJCIE, POKÓJ NUMER PIĘĆ! DRZWI BĘDĄ OTWARTE!

Podniosłem słoik pełen wina, opróżniłem go jednym haustem i cisnąłem w ich stronę. Z całej siły rzuciłem tym chujostwem. Ale nie wcelowałem. Słoik trafił w ścianę klatki schodowej, odbił się i wpadł do hallu, prosto między gospodynię i jej dwóch kolesi Filipińczyków.

Jimmy obrócił Zrywnego w stronę drzwi na ulicę i po mału zaczął go prowadzić. Żmudny, bolesny spacer. Znowu usłyszałem, jak Zrywny ni to jęczy, ni to szlocha:

– Zabiję go... Zabiję...

W końcu Jimmy wyprowadził go za drzwi. Zniknęli.

Blondyna i dwaj Filipińczycy wciąż stali w hallu i patrzyli na mnie z dołu. Byłem boso, nie goliłem się prawie od tygodnia. Włosy też miałem za długie. Cesałem się tylko raz, z samego rana, a potem już sobie tym nie zawracałem głowy. Nauczycielom od wuefu nigdy się nie podobało to, jak się trzymam.

– Cofnij ramiona! Dlaczego patrzysz w ziemię? Co tam widzisz?

Wiedziałem, że nigdy nie będę dyktował mody ani narzucał stylu. Miałem na sobie białą koszulkę zalaną winem,

poprzypalaną papierosami i cygarami, pokrwawioną i zarzyganą. W dodatku była za mała: podjeżdżała do góry, odstawiając brzuch i pępek. Spodnie też miałem za ciasne. Opinały mi uda i kończyły się dobrze nad kostką.

Wszyscy troje patrzyli na mnie bez słowa. Spojrzałem na nich z góry.

– Hej, chodźcie no tu, to się napijemy!

Dwaj malcy spojrzeli na mnie i wyszczerzyli zęby. Gospodyni, kobieta w typie wypłowiałej Carole Lombard, patrzyła z kamienną twarzą. Mówiono na nią „pani Kansas”. Czyżby się we mnie kochała? Miała na sobie czarną sukienkę migoczącą cekinami i różowe buty na wysokich obcasach. Błyszczące kółeczka świeciły mi w oczy. Jej piersi stanowiły widok niedostępny zwykłym śmiertelnikom, godny tylko królów, dyktatorów, innych władców, no i Filipińczyków.

– Macie może fajkę? – spytałem. – Skończyły mi się fajki.

Jeden smagły ludzik stojący obok pani Kansas wykonał lekki ruch ręką w stronę kieszeni marynarki i w powietrzu zawisła na chwilę paczka Cameli. Zgrabnie ją złapał drugą ręką. Niedostrzegalnie puknął palcem w spód pudełka, z którego zaraz wyskoczył papieros, smukły, jak najbardziej autentyczny, jedyny w swoim rodzaju, obnażony – nic, tylko brać.

– O, kurwa, dziękuję – powiedziałem.

Ruszyłem w dół po schodach, źle stąpnąłem, poleciałem w dół, o mało nie runąłem, złapałem się poręczy, podciągnąłem się, ustaliłem współrzędne i poszedłem dalej. Czyżbym się upił? Podszedłem do facecika z paczką Cameli. Lekko się skłoniłem.

Wyjąłem z paczki camela. Pstryknięciem palca podrzuciłem go do góry, złapałem i wetknąłem sobie do ust. Mój smagły koleżka zachował niewzruszony wyraz twarzy, z której znikł uśmiech, kiedy zacząłem schodzić. Pochylił się, dłońmi osłonił płomień i zapalił mi papierosa.

Zaciągnąłem się, wypuściłem dym.

– Słuchajcie, może byście wszyscy troje wstąpili do mnie na górę, tobyśmy się napili?

– Nie – powiedział ten, co mi przypalił fajkę.

– Złapałibyśmy w radiu fajną stację albo jakiegoś Bacha! Widzicie, mam wykształcenie. Jestem przecież studentem...

– Nie – powiedział drugi malec.

Sztachnąłem się potężnie i rzuciłem okiem na Carole Lombard, czyli panią Kansas.

Potem znowu spojrzałem na dwóch małych kolesi.

– Jest wasza. Nie zależy mi na niej. Jest wasza. Chcę was tylko zaprosić na wino. Do miłego pokoiku pod piątką.

Nie było odpowiedzi. Trochę się kiwałem na piętach, bo whisky walczyła o mnie z winem. Papieros dyndał mi w prawym kąciku ust. Unosił się z niego pióropusz dymu. Tak go też zostawiłem, niech sobie dynda.

Wiedziałem to i owo o sztyletach. Krótco tam mieszkałem, ale już dwa razy miałem okazję widzieć, co potrafią. Kiedyś w nocy usłyszałem wycie syren i wyrzuciłem na ulicę. W świetle księżyca zobaczyłem, że tuż pod moim oknem leży obok latarni czyjeś ciało. W jakiś czas potem widziałem innego trupa. Noce sztyletów. Za pierwszym razem był to biały, za drugim – ktoś spośród nich. Zawsze krew lała się po chodniku, prawdziwa krew, płynęła jakby nigdy nic, zalewała chodnik i spływała do rynsztoka, widać było, jak leje

się czerwoną strugą do ścieku, głupio, bez sensu... że też tyle krwi mogło wypłynąć z jednego człowieka.

– No to fajnie, koledzy – powiedziałem. – Bez urazy. Sam się napiję...

Zawróciłem w stronę schodów.

– Panie Chinaski – rzekła pani Kansas.

Obejrzałem się. Wciąż stała między moimi małymi koleśkami.

– Proszę iść do swojego pokoju i się wyspać. Jeżeli dalej będzie się pan awanturował, zadzwonię po policję.

Odwróciłem się i poszedłem na górę.

Nigdzie nie ma życia, nie ma życia w tym mieście, w tej chałupie, w tym nużącym bytowaniu...

Drzwi do pokoju były otwarte. Wszedłem. W butelce została jedna trzecia taniego wina.

Może w szafie jest jeszcze jakaś flaszka?

Otworzyłem szafę. Flaszki nie było. Za to wszędzie wały się dziesięcio- i dwudziestodolarowe banknoty. Między dwiema brudnymi skarpetkami z dziurami w palcach leżała zwinięta dwudziestka; z kołnierza koszuli zwisała dziesiątka; w bocznej kieszeni starej marynarki utknęła następna. Większość poniewierała się na podłodze.

Podniosłem banknot, wsunąłem do bocznej kieszeni spodni, wyszedłem za drzwi, zamknąłem je na klucz i ruszyłem po schodach do baru na dole.

Rozdział 55

W parę dni później zaszedł do mnie wieczorem Becker. Pewnie moi rodzice podali mu adres, a może namierzył mnie przez szkołę. Zgłosiłem swoje nazwisko i adres do szkolnego działu zatrudnienia. Wpisałem się w rubryce „pracownicy niewykwalifikowani”. „Przyjmę każdą pracę, uczciwą albo i nie” – napisałem. Nie było zgłoszeń.

Becker usiadł na krześle, a ja nalałem nam wina. Przyszedł w mundurze piechoty morskiej.

- Czyli cię wkręciło.
- Straciłem pracę w Western Union. Zostało tylko wojo. Podałem mu szklanke.
- Znaczy, nie jesteś patriotą?
- Jeszcze czego.
- Ale czemu właśnie do piechoty morskiej?
- Słyszałem różne historie o obozach rekrutów. Chciałem zobaczyć, czy wytrzymam.
- No i wytrzymałeś.
- Wytrzymałem. Widziałem tam prawdziwych wariatów. Biją się prawie co noc i nikt ich nie rozdziela. Czasem o mało się nie pozabijają.

- To mi się podoba.
- Może się zaciągniesz?
- Nie lubię wcześniej wstawać ani słuchać rozkazów.
- Jak chcesz dać sobie radę w życiu?
- Nie wiem. Kiedy się splotę do reszty, pójdę pod

most.

- Spotkasz tam niezłych popaprańców.
- Tak jak wszędzie.

Nalałem mu wina.

– Najgorsze, że nie bardzo mam kiedy pisać – powiedział.

- Dalej chcesz zostać pisarzem?
- Jasne. A ty?
- No. Ale to beznadziejna sprawa.
- Myślisz, że nie jesteś dosyć dobry?
- To tamci nie są dosyć dobrzy.
- Jak to?

– Czytasz czasopisma? Albo te składanki, „Najlepsze opowiadania roku” i tak dalej? Zawsze wychodzi ich kilka-naście.

- Owszem, czytam...
- A czytasz „New Yorkera”? „Harpera”? „Atlantic”?
- No...

– Mamy rok tysiąc dziewięćset czterdziesty, a oni wciąż drukują dziewiętnastowieczny szajs, ciężki, wysilony, pretensjonalny. Zawsze mnie od niego boli głowa, chyba że przedtem zasnę.

- Co ci się właściwie nie podoba?
- To jeden wielki pic, bajer, środowiskowa gierka.
- Zdaje się, że ci coś odrzucili w jakiejś redakcji.

– Wiem bez pytania, że mnie nie wydrukują. Szkoda forsy na znaczki. Muszę mieć za co pić.

– A ja się przebiję. Jeszcze zobaczysz moje książki w bibliotekach.

– Nie mówmy o pisaniu.

– Czytałem twoje rzeczy – powiedział Becker. – Za dużo w nich goryczy. Nienawidzisz całego świata.

– Nie mówmy o pisaniu.

– Na przykład Thomas Wolfe...

– Niech szlag trafi Thomasa Wolfe'a! Pisze, jakby stara baba nawijała przez telefon!

– Dobra, kogo byś lansował?

– Jamesa Thurbera.

– Banialuki dla wyższych sfer...

– On przynajmniej wie, że na świecie żyją sami wariaci.

– Thomas Wolfe chodzi po ziemi.

– Trzeba być dupą wołową, żeby gadać o pisaniu.

– Czyli jestem dupa wołowa?

– Tak...

Nalałem wina.

– Trzeba być idiotą, żeby dać się wsadzić w mundur.

– Wyzwałeś mnie od dup wołowych i od idiotów. Myślałem, że się przyjaźnimy.

– Dobrze myślałeś. Po prostu uważam, że nie dbasz o siebie.

– A ty? Ile razy cię widzę, masz szklankę w ręku.

– Nie znam lepszego sposobu. Jakbym nie pił, dawno bym sobie gardło poderznął.

– Gówno prawda.

– Wcale nie gówno, bo daje wyniki. Kaznodzieje z Pershing Square mówią o swoim Bogu. A ja mam krew mojego boga!

Podniosłem szklanę i wypłem do dna.

– Po prostu uciekasz przed rzeczywistością – stwierdził Becker.

– Co w tym złego?

– Nigdy nie zostaniesz pisarzem, jeżeli będziesz przed nią uciekał.

– Co ty pieprzysz? Przecież całe pisanie to ucieczka przed rzeczywistością!

Becker wstał.

– Jak do mnie mówisz, to nie podnoś głosu.

– A co mam podnieść, chuja?

– Ty nie masz chuja!

Znienacka rąbnąłem go prawym prostym za ucho. Szklanka wypadła mu z ręki. Zatoczył się. Becker to był kawał chłopca, dużo silniejszy ode mnie. Uderzył się o kant komody, odwrócił się bokiem, a ja walnąłem go prawym prostym w policzek. Zatoczył się aż pod okno. Było otwarte, więc już go nie uderzyłem, bo się bałem, że wyleci.

Jakoś się pozbierał i zaczął potrząsać głową, żeby mu się w niej przejaśniło.

– Dobra – powiedziałem. – Napijmy się jeszcze. Przemoc przyprawia mnie o mdłości.

– W porządku – odparł Becker.

Podszedł do miejsca, gdzie leżała jego szklanka, i ją podniósł. Butelki z tym tanim winiskiem, które zwykle piłem, nie miały korków, tylko zakrętki. Otworzyłem nową flaszkę. Becker podstawił szklanę. Nalałem mu. Potem

naląłem sobie i odstawiłem butelkę na stół. Becker wypił do dna, a ja po nim.

– Bez urazy – powiedziałem.

– Jasne, stareńki – odparł i odstawił szklanke. Nagle wbił mi prawą pięść w bebecz. Zgiąłem się w pół, a on złapał mnie za tył głowy i walnął kolanem w twarz. Padłem na kolana. Krew z nosa zalała mi całą koszulę.

– Stary, nalej mi – powiedziałem. – Trzeba sprawę przemyśleć.

– Wstawaj – rzekł Becker. – To był dopiero pierwszy rozdział.

Wstałem i rzuciłem się na niego. Chciał mnie zaskoczyć kontrą z prawej, ale zablokowałem, uderzył prawą, ale odparowałem łokciem i rąbnąłem go krótkim prawym prostym w nos. Cofnął się. Teraz już obu nam krwawiło z nosów.

Skoczyłem na niego. Młóciliśmy jak wściekli. Udało mi się kilka niezłych wejść, a on jeszcze raz trafił mnie prawą w brzuch. Zgiąłem się, ale zaraz się wyprostowałem i walnąłem go podbródkowym. Było to piękne uderzenie, z dużym fartem. Becker poleciał do tyłu i wpadł na komodę. Rąbnął potylicą w lustro. Rozprysło się w kawałki. Beckera zamroczyło. Był mój. Złapałem go za koszulę i z całej siły huknąłem prawą za lewe ucho. Padł na chodnik i stanął na czworakach. Podeszedłem do stołu i drżącą ręką nalałem sobie wina.

– Becker – powiedziałem. – Ja tu ze dwa razy na tydzień daję komuś wycisk. Po prostu przyszedłeś nie w porę.

Opróżniłem szklanke. Becker wstał. Popatrzył na mnie. A potem runął w moją stronę.

– Becker, posłuchaj...

Wyprowadził prawy prosty, ale tylko dla zmyłki, bo zaraz mnie trzasnął lewą w usta. Znowu się zaczęło. Żaden się specjalnie nie bronił. Grunt to dołożyć drugiemu. Becker pchnął mnie na krzesło. Od razu się rozpląszczyło. Wstałem. Nadział się na moją kontrę. Zatoczył się w tył, a ja jeszcze raz trafiłem go prawym. Poleciał tyłem na ścianę, aż zatrząsł się pokój. Odbił się i rąbnął mnie prawą wysoko w czoło; zobaczyłem światła – zielone, żółte, czerwone... Zasunął mnie lewą w żebra i prawą w twarz. Zamachnąłem się, ale chybiłem.

„Jasna cholera – pomyślałem – nikt nie słyszy tego hałasu, czy co? Dlaczego nikt nie przyjdzie, żeby nas rozdzielić? Dlaczego nie wzywają policji?”

Becker znowu się na mnie rzucił. Chciałem go walnąć hakiem z prawej, ale nie trafiłem, no i koniec pieśni...

Kiedy oprzytomniałem, było ciemno, była noc. Leżałem pod łóżkiem, tylko głowa mi wystawała. Widać się tam wczołgałem. Byłem tchórzem. Cały się obrzygałem. Wyczółgałem się spod łóżka.

Spojrzałem na zbite lustro i połamane krzesło. Stół leżał do góry nogami. Podszedłem i spróbowałem go postawić. Przewrócił się. Dwie nogi ledwo się trzymały. Usiłowałem je jakoś przymocować. Znowu ustawiłem stół. Chwilę powstał i zaraz z powrotem się zawalił. Chodnik był zalany winem i zarzuty. Znalazłem przewróconą butelkę po winie. Trochę w niej jeszcze zostało. Wypiłem i rozejrzałem się po pokoju, czy nie ma więcej. Nie było. Nie miałem co pić. Zamknąłem drzwi na łańcuch. Znalazłem papierosa, zapaliłem i stanąłem w oknie. Patrzyłem na ulicę. Na dworze była przyjemna noc.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Panie Chinaski?

Była to pani Kansas. Nie przyszła sama. Usłyszałem jakieś inne głosy, szepty. Byli z nią jej mali smagli kolesie.

– Panie Chinaski?

– Tak?

– Proszę mnie wpuścić.

– Po co?

– Chcę zmienić pościel.

– Jestem chory. Nie mogę otworzyć.

– Ja tylko zmienię pościel. To długo nie potrwa.

– Nie, nie mogę pani wpuścić. Niech pani przyjdzie rano.

Słyszałem, jak szepczą. Potem zeszli na dół do hallu. Podszedłem do łóżka i usiadłem. Cholernie potrzebowałem się napić. Była sobota, całe miasto pijane.

Może uda mi się jakoś ulotnić?

Podszedłem do drzwi i troszkę uchyliłem. Wyrząłem przez łańcuch. Na górnym podeście zobaczyłem Filipińczyka, jednego z kolesi pani Kansas. W rękę trzymał młotek. Klęczał na podłodze. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i wbił gwóźdź w chodnik, żeby go niby lepiej przymocować. Zamknąłem drzwi.

Naprawdę potrzebowałem się napić. Chodziłem w tę i z powrotem po pokoju. Dlaczego wszyscy ludzie na świecie mogą pić, ile chcą, tylko nie ja? Jak długo jeszcze będę musiał siedzieć w tym cholernym pokoju? Znów otworzyłem drzwi. Bez zmian. Filipińczyk spojrział na mnie, uśmiechnął się i wbił w podłogę następny gwóźdź. Zamknąłem drzwi.

Wyciągnąłem walizkę i wrzuciłem do niej te parę ciuchów.

Z wygranej zostało mi jeszcze sporo forsy, ale wiedziałem, że nie dam rady zapłacić za szkody. A zresztą nie miałem zamiaru.

Przecież to nie była moja wina. Dlaczego nas nie rozdzielili? A w ogóle to Becker zbił lustro...

Byłem spakowany. W jednej ręce trzymałem walizkę, w drugiej futerał z maszyną do pisania. Chwilę postąłem pod drzwiami. Wyjrzałem. Filipińczyk ciągle tam siedział. Ostrożnie zdjąłem łańcuch z drzwi. Potem otworzyłem je nagle i wyskoczyłem na korytarz. Pobiegnęłam w stronę schodów.

– Hej! Ty gdzie? – zawołał człowieczek. Zaczął wstać, ale jeszcze klęczał na jednym kolanie. Podniósł młotek. Zamachnąłem się maszyną do pisania i całej siły walnąłem go w skroń. Rozległ się okropny dźwięk. Zbiegłem ze schodów i przez hall wyrwałem za drzwi.

Możliwe, że go zabiłem.

Pobiegnęłam ulicą. Zobaczyłem taksówkę. Była wolna. Wskoczyłem.

– Wzgórze Bunker – powiedziałem. – Ale gazem!

Rozdział 56

W oknie jakiegoś domu z pokojami do wynajęcia zobaczyłem tabliczkę z napisem, że są wolne miejsca. Kazałem taksjarszowi stanąć. Zapłaciłem mu, wszedłem na ganek od frontu i zadzwoniłem. Miałem podbite oko, rozciętą powiekę drugiego, spuchnięty nos, obrzmiałe usta, a lewe ucho jaskrawoczerwone. Kiedy go dotykałem, za każdym razem przenikał mnie dreszcz jak od elektryczności.

Otworzył mi starszy facet w podkoszulku, oblanym chyba fasolą z sosem chili. Włosy miał szpakowate i rozczochrane, był nieogolony i palił wilgotnego papierosa. Papieros śmierdział.

– To pan jest gospodarzem? – spytałem.

– Aha.

– Szukam pokoju.

– Pan gdzieś pracuje?

– Jestem pisarzem.

– Nie wygląda pan.

– A jak powinien wyglądać pisarz?

Nie odpowiedział.

Po chwili rzekł:

- Dwa i pół dolara za tydzień.
- Mogę obejrzyć?

Beknął i powiedział:

- Pan idzie.

Poszliśmy długim korytarzem. Na podłodze nie było chodnika. Deski skrzypiały i uginały się pod stopami. Z któregoś pokoju usłyszałem męski głos:

- No, bierz do mordy, ty ściero!
- Trzy dolary – odpowiedziała kobieta.
- Trzy dolary? Uważaj, bo się zaraz posrasz na czerwono!

Trzasnął ją w twarz. Krzyknęła. Poszliśmy dalej.

– Z tyłu jest osobny domek – rzekł gospodarz – ale może pan korzystać z ogólnej łazienki.

Za domem stała buda z czterema drzwiami. Gospodarz otworzył te z numerem pierwszym i weszliśmy. W środku była prycza, koc, komódka i mały stolik. Na stoliku maszynka elektryczna.

- Ma pan tu maszynkę – powiedział gospodarz.
- To miło.
- Dwa i pół dolara z góry.

Zapłaciłem.

- Rano dam pokwitowanie.
- W porządku.
- Jak się pan nazywa?
- Chinaski.
- A ja Connors.

Zdjął klucz z kółka i dał mi go.

– Dotąd zawsze był tu spokój. Chcemy, żeby tak to zostało.

– Oczywiście.

Zamknąłem za nim drzwi. Pod sufitem wisiała goła żarówka. Pokój był nawet całkiem czysty. Nieźle. Wstałem i wyszedłem na dwór. Zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem przez podwórko do najbliższej ulicy.

Pomyślałem, że niepotrzebnie podałem prawdziwe nazwisko. Przecież nie wiadomo, czy nie zabiłem małego smagłego kolesia z ulicy Temple.

Długie drewniane schody prowadziły ze stromego wzgórza na ulicę. Całkiem romantycznie. Szedłem, póki nie zobaczyłem sklepu z alkoholem. Chciałem kupić coś do picia. Kupiłem dwie butelki wina, a ponieważ byłem głodny, wziąłem do tego dużą torbę frytek.

Po powrocie rozebrałem się, wlałem do łóżka, oparłem się o ścianę, zapaliłem i nalałem sobie wina. Fajnie. Za domem spokój, cisza. Nie słyszałem, żeby ktoś się ruszał w sąsiednich pokojach. Chciało mi się szczać, więc wstałem, wciągnąłem slipy, poszedłem za budę i się odlałem. Z góry widać było światła miasta. Los Angeles było dobrym miastem, nie brakowało tam biedaków, łatwo mogłem zniknąć wśród nich. Wróciłem do środka i wlałem z powrotem do wyrka. Póki człowiek ma wino i papierosa, jakoś sobie poradzi. Dokończyłem szklanekę i nalałem drugą.

Może jakoś dam sobie radę sprytem. Ośmiogodzinny dzień pracy był zupełną niemożliwością, a jednak prawie wszyscy leżli w to jarzmo. No i wojna, wszyscy mówili o europejskiej wojnie. Nie ciekawiła mnie historia świato-

wa, tylko moja własna. Jaki to wszystko szajs. Rodzice rządzą człowiekiem, póki dorasta, ciągle mu szczają na głowę. A jak już jest gotów stanąć na własnych nogach, zgłaszają się tacy, co chcą go wpackować w mundur, żeby można mu było odstrzelić jaja.

Wino smakowało wspaniale. Nalałem sobie jeszcze.

Wojna. Przecież byłem prawiczkim. Miałbym dać sobie odstrzelić fiuta ku chwale ojczyzny, zanim się choćby dowiem, jak to jest z kobietą? Albo przejadę się własnym wozem? Czego właściwie bym bronił? Kogoś innego. Kogoś, kto sra na moje bezpieczeństwo. Ludzie zawsze ginęli na wojnach i jakoś to nie zapewniło pokoju.

Dam sobie radę. Mogę wygrywać zawody w picciu. Grać w karty na pieniądze. Może czasem uda mi się jakiś skok. Nie mam wielkich potrzeb, niech się tylko wszyscy ode mnie odczepią.

Obaliłem jedną flaszkę i zacząłem drugą.

Dopiłem ją do połowy i wyciągnąłem się na wznak. Pierwsza noc w nowym miejscu. Obleci. Zasnąłem.

Obudził mnie zgrzyt klucza w zamku. Ktoś pchnął drzwi od zewnątrz. Usiadłem na pryczy. Jakiś facet zaczął wchodzić do pokoju.

– WYPIERDALAJ STĄD W CHOLERĘ! – ryknąłem.

Zaraz się zmył. Słyszałem, jak ucieka.

Wstałem i zatrzęsnałem drzwi.

Takie rzeczy się zdarzały. Ktoś wynajmował pokój, przestawał płacić czynsz, ale nie oddawał klucza, a potem się zakradał, żeby się przespać, jeżeli nikt nowy jeszcze się

nie wprowadził, albo ukraść wszystko pod nieobecność nowego lokatora. No, ten już więcej nie przyjdzie. Wie, że jak jeszcze raz spróbuje, tu go nieźle obsłużę.

Wróciłem do wyrka i jeszcze się napiłem.

Byłem trochę zdenerwowany. Trzeba się będzie postarać o kawałek noża.

Dokończyłem wino, nalałem sobie jeszcze jedną szklankę, wypłem i z powrotem zasnąłem.

Rozdział 57

Któregoś dnia po angielskim pani Curtis kazała mi chwilę zostać.

Miała świetne nogi i sepleniała i jedno z drugim jakoś mnie cholernie grzało. Mogła mieć ze trzydzieści dwa lata, była kulturalna i szykowna, ale tak samo jak wszyscy wyznawała ten cholerny liberalizm, a to nie wymagało specjalnej oryginalności ani zapału do walki: jeszcze jedna wielbicielka Frania Roosevelta. Mnie Franio też się podobał, bo w czasie kryzysu powymyślał te różne programy pomocy ubogim. No i miał klasę. Tak naprawdę to ubodzy pewnie go ni cholery nie obchodzili, ale był świetnym aktorem, miał świetny głos i kogoś, kto mu pisał świetne przemówienia. Ale chciał, żebyśmy przystąpili do wojny, to on wtedy wyląduje w podręcznikach historii. Prezydenci, za których kadencji kraj prowadzi wojnę, dostają większą władzę, a potem więcej stron w podręcznikach. Pani Curtis była po prostu kalką naszego starego Frania, tylko z dużo lepszymi nogami. Biedny Franio nogi miał do niczego, ale za to fantastyczny łeb. W jakimś innym kraju byłby z niego potężny dyktator.

Kiedy ostatnia osoba wyszła z klasy, podszedłem do biurka pani Curtis. Uśmiechnęła się do mnie. Przez wiele godzin gapiłem się na jej nogi, a ona to zauważyła. Wiedziała, czego chcę. Wiedziała, że niczego już mnie nie nauczy. Powiedziała tylko jedno zdanie, które zapamiętałem. Od razu było widać, że sama go nie wymyśliła, ale i tak mi się spodobało:

– Nie sposób przecenić głupoty ogółu.

– Panie Chinaski – rzekła tym razem. – Niektórzy nasi studenci są strasznie przemyślani.

– Taaaa?

– Naszym najzdolniejszym studentem jest pan Felton.

– Aha.

– Co pana gnębi?

– Słucham?

– Widzę, że coś... coś pana gnębi.

– Możliwe.

– To pański ostatni semestr, prawda?

– Skąd pani wie?

Patrzyłem na jej nogi, wiedząc, że się z nimi żegnam. Stwierdziłem, że szkoła to tylko kryjówka, przechowalnia. Co więksi nałogowcy spędzali w niej całe lata. W ogóle studia czy nauka to był jeden wielki miękisz. Nikt nie mówił człowiekowi, co go może spotkać w prawdziwym świecie. Wbijali mu do głowy same teorie, a nigdy nie mówili, jak twardo jest na ulicy. Wykształcenie mogło człowieka okaleczyć do końca życia. Książki mogły go rozmiękczyć. Kiedy je wreszcie odkładał i wychodził tam, gdzie toczy się prawdziwe życie, okazywało się, że potrzebne jest właśnie to, o czym nikt mu nigdy nie mówił. Postanowiłem po tym

semestrze rzucić szkołę i odtąd trzymać się Śmierdziela i tej całej bandy. Może poznam jakiegoś faceta z jajami, z którym uda się zrobić skok na sklep z alkoholem albo jeszcze lepiej na bank.

– Wiedziałam, że pan skończy na tym semestrze – powiedziała cicho.

– Raczej dopiero zacznę.

– Będzie wojna. Czytał pan „Żeglarza z Bremy”?

– To, co drukuje „New Yorker”, w ogóle na mnie nie działa.

– Trzeba czytać takie rzeczy, jeśli chce się zrozumieć, co się właściwie dzieje w dzisiejszych czasach.

– Chyba niekoniecznie.

– Buntuje się pan przeciw całemu światu. Jak pan zamierza przetrwać?

– Nie wiem. Już teraz jestem zmęczony.

Pani Curtis długo patrzyła w biurko. Potem znów na mnie spojrzała.

– Tak czy inaczej zostaniemy wciągnięci w tę wojnę. Pójdzie pan do wojska?

– Nie wiem. Może tak, może nie.

– Byłby z pana dobry marynarz.

Uśmiechnąłem się. Pomyślałem, żeby może zostać marynarzem, potem odrzuciłem ten pomysł.

– Jeżeli zostanie pan na jeszcze jeden semestr – powiedziała – dostanie pan, co tylko pan zechce.

Patrzyła na mnie, a ja dokładnie wiedziałem, o czym mówi, i ona też wiedziała, że wiem.

– Nie – odparłem. – Odchodzę.

Ruszyłem do drzwi. W drzwiach przystanąłem, odwróciłem się do niej i kiwnąłem głową na pożegnanie, szybko i zdawkowo. Znalazłem się na dworze. Szedłem wzdłuż szpaleru drzew, które rosły przy szkole. Na każdym kroku natykałem się na młode parki. Pani Curtis siedziała sama przy biurku, a ja szedłem dalej. Cóż by to był za triumf. Po-całować te sepleniące usta, rozchylić te świetne nogi, kiedy Hitler połyka Europę i łypie okiem na Londyn.

Skreśliłem w stronę sali gimnastycznej. Chciałem wy-garnąć swoje rzeczy z szafki. Nigdy więcej gimnastyki. Tyle się gada o zdrowej, czystej woni świeżego potu. Ludzie szukają wymówek. Jakoś nikt nie mówi o zdrowej, czystej woni świeżego gówna. A przecież nie ma nic wspanialszego niż porządne gówno po piwie – kiedy człowiek wypije na noc dwadzieścia, dwadzieścia parę piw, a rano się wysra. Smród takiego piwnego gówna rozchodzi się po całej okolicy i nie znika przez dobre półtorej godziny. Człowiek przynajmniej czuje, że żyje.

Trafiłem do swojej szafki, otworzyłem ją i wyrzuciłem do śmieci kostium gimnastyczny i tenisówki. Aha, jeszcze dwie butelki po winie. Ktoś po mnie odziedziczył tę szafkę. Powodzenia. Może zostanie burmistrzem Boise w stanie Idaho. Szyfrowaną kłódkę też wyrzuciłem do śmieci. Nigdy nie lubiłem tego szyfru: 1, 2, 1, 1, 2. Bez cienia inteligencji. Moi rodzice mieszkali pod numerem 2122. Wszędzie ten minimalizm. Może kiedyś awansuję i trafi mi się wreszcie jakaś piątka.

Wszedłem z szatni i ruszyłem na skróty przez boisko. Jakiś naprędce pozbierany skład grał tam w klepanego. Skreśliłem w bok, żeby ich ominąć.

Wtem usłyszałem, że Glaca mnie woła:

– Hej, Hank!

Spojrzałem. Siedział na trybunie z Montym Ballardem. Monty to był nikt. Miał tylko tę zaletę, że milczał nie pytany. Ja go nigdy o nic nie pytałem. Patrzył na życie spod brudnej słomianej grzywki i marzył o tym, żeby zostać biologiem. Machnąłem im ręką i poszedłem dalej.

– Chono tu, Hank! – wrzasnął Glaca. – Jest sprawa!

Podszedłem.

– Jaka sprawa?

– Siadaj. Popatrz na tego klocka w kostiumie gimnastycznym.

Usiadłem. Tylko jeden facet miał na sobie kostium gimnastyczny. Był niski, ale za to szeroki, cholernie szeroki. Miał niebywałe bicepsy, ramiona, gruby kark, masywne i krótkie nogi. Brunet, twarz z przodu prawie całkiem płaska, małe usta, nos jak pięć minut, a oczy schowane nie wiadomo gdzie.

– Słyszałem coś o tym koleśiu – powiedziałem.

– Patrz, co on wyrabia – rzekł Glaca.

Grali po czterech w drużynie, z wychodzącymi bramkarzami. Któryś się schylił i rzucił piłką w tył spomiędzy nóg. Rozgrywający wyłapał i cofnął się, żeby podać do przodu. King Kong junior grał w obronie, cofnięty mniej więcej do połowy. Jeden napastnik atakującej drużyny pobiegł pod samą bramkę, drugi został trochę w tyle. Srodkowy blokował. King Kong junior pochylił byczy kark i runął na tego napastnika, który biegł wolniej. Staranował go, wbijając mu ramię w bok i brzuch, po prostu wdeptał w ziemię. Potem się odwrócił i truchtem pobiegł na swoje miejsce. Piłkę dostał napastnik, który tymczasem stał już pod samą bramką.

– Widziałeś? – spytał Glaca.

– King Kong...

– King Kong w ogóle nie gra w futbol. Jemu chodzi tylko o to, żeby w każdym zagraniu komuś dołożyć.

– Nie wolno atakować zawodnika bez piłki – powiedziałem. – Takie są przepisy.

– A kto mu o tym powie? – spytał Glaca.

– Powiesz mu? – spytałem Ballarda.

– Nie – przyznał Ballard.

Drużyna King Konga wybiła spod własnej bramki. Tym razem Kong miał już prawo blokować. Podbiegł do najmniejszego na boisku i go zmaltretował. Tak mu przyłożył, że mały dosłownie nakrył się nogami i nieprędko wstał.

– Ten King Kong jest jakiś nienormalny – powiedziałem. – Jak on w ogóle zdał do tej szkoły?

– Przecież tu nie ma egzaminów, tylko zapisy.

Drużyna King Konga stanęła na pozycjach. W przeciwnej drużynie najlepszy był Joe Stapen. Chciał zostać psychiatrą. Był wysoki i szczupły, miał metr osiemdziesiąt pięć i niezłe jaja. Joe Stapen i King Kong ruszyli na siebie. Joe nawet niezłe się spisał. Nie dał się zbić z nóg. W następnym zagraniu znów się zderzyli. Tym razem Joe odbił się od Konga i trochę się cofnął.

– O, kurwa – zaklął Glaca. – Joe się łamie.

Następnym razem Kong uderzył jeszcze mocniej, aż Joe zawirował w miejscu. Małpołud jeszcze go potem odepchnął o kilka metrów, wbijając mu ramię w plecy.

– Ohyda! – powiedziałem. – Sadysta pierdolony!

– Myślisz, że to sadysta? – spytał Glaca Ballarda.

– Pierdolony sadysta – przytaknął Ballard.

W następnym zagranu Kong zajął się tym najmniejszym. Po prostu się po nim przebiegł i jeszcze go potem przygniótł całym ciężarem. Mały przez chwilę w ogóle się nie ruszał. Potem usiadł i złapał się za głowę. Wyglądało na to, że jest skończony. Wstałem.

– No to wchodzę – oświadczyłem.

– Załatw skurwysyna! – powiedział Glaca.

– Jasne – odparłem.

Zszedłem z trybuny na boisko.

– Potrzebujecie zawodnika, panowie?

Mały wstał i zaczął schodzić z boiska. Kiedy mnie mijiał, przystanął.

– Lepiej tam nie idź. Jemu chodzi tylko o to, żeby kogoś zakatrupić.

– Przecież gramy w klepanego – powiedziałem.

Akurat była nasza piłka. Szybko się naradziłem z Joem Stapenem i jeszcze dwoma niedobitkami.

– Jaki jest gryplan? – spytałem.

– Nie dać się zabić, kurwa – odparł Joe Stapen.

– A wynik?

– Chyba prowadzą – powiedział Lenny Hill, czyli środkowy.

Pobiegliśmy na pozycje. Joe Stapen stał w głębi boiska i czekał na piłkę. Patrzyłem na Konga. Nigdy przedtem go nie widziałem w szkole ani pod szkołą. Pewnie stale się kręcił koło męskiego kibla przy sali gimnastycznej. Wyglądał na takiego, co nałogowo wacha gównem. I zżera płody.

– Przerwa! – zawołałem.

Lenny Hill miał już pójść do Stapena, ale z powrotem się wyprostował. Dalej patrzyłem na Konga.

– Jestem Hank. Hank Chinaski z dziennikarstwa.

Kong nie odpowiedział. Patrzył na mnie bez słowa. Skórę miał białą jak u trupa. W oczach najmniejszego blasku życia.

– Jak się nazywasz? – spytałem go.

Dalej nic nie mówił, tylko się gapił.

– Co jest z tobą? Łóżysko płodowe wlało ci w zęby?

Kong wolno podniósł prawą rękę. Wyprostował ją i wycełował we mnie palec. Potem opuścił rękę.

– Chuj ci w dziąsło – powiedziałem. – Co mi pokazujesz?

– Dobra, grajmy – zawołał ktoś z jego drużyny.

Lenny schylił się z piłką i rzucił ją pomiędzy nóg. Kong runął w moją stronę. Nie bardzo mogłem skupić na nim wzrok. Kiedy mnie rąbnął, zobaczyłem, że trzęsą się trybuny, drzewa i narożnik gmachu chemii. Przewrócił mnie na wznak i obiegnął dookoła, machając rękami jak skrzydłami. Wstałem. Kręciło mi się w głowie. Najpierw Becker mnie nokautuje, a potem ten małpolud sadysta. Cuchnący śmierdziel; wredny skurwiel w każdym calu.

Tamci nie przechwycili rzutu Stapena. Staaliśmy, żeby się naradzić.

– Mam pomysł – powiedziałem.

– No? – spytał Joe.

– Ja będę rzucał, a ty blokuj.

– Lepiej niech już zostanie, jak jest – odparł Joe.

Rozbiegliśmy się. Lenny schylił się z piłką i rzucił pomiędzy nóg do Stapena. Kong natarł na mnie. Nadstawiłem ramię i popędziłem mu naprzeciw. Był dla mnie za silny. Odbiłem się od niego i wyprostowałem, a wtedy znowu natarł i wbił mi ramię w brzuch. Upadłem. Zaraz się poder-

wałem i usiadłem, ale nie spieszyło mi się ze wstawaniem. Ciężko mi się oddychało.

Stapen posłał celnego loba. Trzeci raz z rzędu piłka nasza. Nie ma co się naradzać. Lenny znowu rzucił, a Kong i ja popędziliśmy na spotkanie. W ostatniej chwili odbiłem się i staranowałem go całym ciężarem. Dostał w szyję i w głowę, aż stracił równowagę. Kiedy padał, kopnąłem go prosto w podbródek, ile tylko miałem siły. Obaj leżeliśmy. Wstałem pierwszy, on dopiero po chwili. Miał czerwony siniec na policzku i krew w kąciku ust. Pobiegliśmy z powrotem na stanowiska.

Następnego rzutu Stapena też nie wyłapali. Czwarty raz piłka nasza. Stapen cofnął się i wykopał. Kong też się cofnął, żeby asekurować swojego bramkarza. Bramkarz wyłapał piłkę i obaj pocwałowali w naszą stronę. Kong torował drogę, a ten drugi biegł z piłką. Wyszedłem im naprzeciw. Kong myślał, że znowu pójdę górą. Ale ja dałem nura i go podciąłem. Zarył mordą w ziemię. Był chyba ogłuszony, bo leżał z rozrzuconymi rękami. Podbiegłem i ukląknęm. Złapałem go za kark i z całej siły ścisnąłem. Wbiłem mu kolano w kręgosłup i przygniotłem, ile mogłem.

– W porządku, stary?

Nadbiegła reszta.

– Chyba coś sobie zrobił – powiedziałem. – Niech któryś mi pomoże sprowadzić go z boiska.

Stapen podparł go z jednej strony, a ja z drugiej, i zesłiliśmy na aut. Przed samą linią niby to się potknąłem i przy okazji wbiłem mu w kostkę lewy but.

– Oj – jęknął. – Już nie chcę...

– Stary, przecież ja ci tylko pomagam.

Za linią boczną puściliśmy go. Klapnął na ziemię i otarł zakrwawione usta. Schylił się i obmacał kostkę. Była obdarta ze skóry, gotowa spuchnąć. Pochyliłem się nad nim.

– Kong, chodź dokończymy mecza. Prowadzicie czterdzieści dwa do siedmiu. Daj nam szansę, to was dogonimy.

– Nie, zaraz mam zajęcia.

– Nie wiedziałem, że to szkoła hycli.

– Idę na wstęp do literatury angielskiej.

– Czyli wszystko się zgadza. Słuchaj, zaprowadzę cię do szatni i wstawię pod gorący prysznic, co?

– Nie, lepiej już zejść ze mnie...

Kong wstał. Nieźle go urządziłem. Obwisły mu potężne ramiona, twarz miał brudną i pokrwawioną. Przekuśtykał parę kroków.

– Ty, Quinn – powiedział do jednego ze swoich kumpli. – Pomóż mi...

Quinn wziął go za ramię i wolno poprowadził przez boisko do szatni.

– Kong! – krzyknąłem za nim. – Mam nadzieję, że zdążysz na zajęcia! Pozdrów Billa Saroyana!

Reszta chłopaków stała niedaleko, nawet Glaca i Ballard, którzy tymczasem zeszli z trybuny. No i proszę: odstawiłem życiowy numer, a tu jak okiem sięgnąć ani jednej ładnej dziewczyny.

– Ma który fajkę? – spytałem.

– Mam chesterfieldy – powiedział Glaca.

– Dalej palisz babskie szlugi?

– Ja zapalę – rzekł Joe Stapen.

– Ja też – zgodziłem się. – Skoro nie ma nic innego.

Zapaliliśmy.

– Dosyć nas jeszcze zostało, żeby zagrać mecz – zaproponował któryś.

– Chuj z meczem – odparłem. – Nie cierpię sportu.

– Ale Konga nieźle załatwiłeś – powiedział Stapen.

– No – przytaknął Glaca. – Od początku się przyglądałem. Tylko jednego nie rozumiem.

– Czego? – spytał Stapen.

– Kto tu właściwie jest sadystą?

– No, trzeba się zrywać – powiedziałem. – Wieczorem zabieram swoją dupę na film z Cagneyem.

Ruszyłem przez boisko.

– Dupę, czyli prawą rękę? – krzyknął za mną któryś.

– Obie ręce – rzuciłem przez ramię.

Idąc przez boisko, minąłem gmach chemii i wyszedłem na trawnik przed szkołą. Byli tam wszyscy, faceci i dziewczyny. Siedzieli z książkami na ławkach, pod drzewami, na trawniku. Książki były zielone, niebieskie, brązowe. A oni rozmawiali, uśmiechali się, czasem ktoś wybuchał śmiechem. Skręciłem w stronę pętli V, które kończyło trasę tuż obok szkoły. Wsiadłem, kupiłem bilet, poszedłem na sam koniec, usiadłem jak zwykle na ostatniej ławce i zacząłem czekać.

Rozdział 58

Czasem dla wprawy chodziłem podpatrywać kloszardów, żeby się przygotować na spotkanie z przyszłością. Nie podobali mi się. Nie byli odważni, niczym nie błyszczeli, i to niezależnie od płci. Chcieli tego samego co wszyscy. Wielu miało wyraźne zaburzenia psychiczne, ale nikt im nie zabraniał chodzić po ulicy. Zauważyłem, że na obu krańcach drabiny społecznej – wśród bogaczy i zupełnych nędzarzy – szaleńcy często mogą się swobodnie poruszać. Zdawałem sobie sprawę, że brak mi którejś klepki. Od dzieciństwa wiedziałem, że jestem dziwny. Jakby sądzone mi było zostać mordercą, bandytą, świętym, gwałcicielem, mnichem, pustelnikiem. Potrzebowałem odosobnienia, kryjówki. Kloszardi żyli ohydnie. Życie przeciętnego, w pełni przytomnego człowieka było drętwe, gorsze niż śmierć. Ale nie widziałem innych rozwiązań. Studia też wydawały mi się pułapką. Ta odrobina wykształcenia, na którą sobie pozwoliłem, wzmogła moją podejrzliwość. Kim byli lekarze, prawnicy, uczeni? Ludźmi, którzy dali sobie odebrać zdolność samodzielnego myślenia i działania. Wróciłem do swojej budy i znowu się upiłem...

Kiedy tak siedziałem nad flaszką, zacząłem myśleć o samobójstwie, ale czułem jakąś dziwną sympatię do swojego ciała, do życia. Jedno i drugie było całe pokancerowane, ale za to moje. Patrzyłem w lustro nad komodą i uśmiechałem się do siebie, myśląc: „Skoro już masz odejść, to równie dobrze możesz zabrać ze sobą dziesięciu albo i dwudziestu...”.

Była sobotnia grudniowa noc. Siedziałem w swoim pokoju. Wypiłem dużo więcej niż zwykle. Paliłem papierosa za papierosem, myśląc o dziewczynach, o tym mieście, o takiej albo innej pracy, o czekających mnie latach. Kiedy wybiegałem myślą w przyszłość, mało co mi się podobało. Nie byłem mizantropem ani mizoginem, ale lubiłem być sam. Dobrze było siedzieć samemu w ciasnym miejscu, palić i pić. Zawsze odpowiadało mi własne towarzystwo.

Nagle zza ściany usłyszałem radio. Ktoś je za mocno rozkręcił. Grało jakąś piosenkę o miłości, nic tylko się porzygać.

– Hej, koleś! – wrzasnąłem. – Weź no trochę przykręć!
Nie było odpowiedzi.

Podszedłem do ściany i wałnąłem pięścią.

– Przykręć trochę to kurewstwo, mówię!

Radio wciąż grało tak samo głośno.

Wyszedłem na dwór i stanąłem pod drzwiami tamtego faceta. Byłem w samych slipach. Podniosłem nogę i kopnąłem drzwi. Otworzyły się raptownie. Na wyrku leżało dwoje ludzi, stary grubas i stara gruba baba. Pierdolili się. W pokoju paliła się świeczka. Facet był na wierzchu. Przerwał na

chwilę i się obejrzał. Kobieta spojrzała spod niego. Pokój był bardzo miły: firanki, dywanik.

– Oj, przepraszam...

Zamknąłem drzwi i wróciłem do siebie. Było mi strasznie głupio. Biedacy mają przecież prawo się pierdolić, żeby jakoś przetrwać złe sny. Seks, picie, może miłość – to wszystko, co im pozostaje.

Usiadłem i nalałem sobie wina. Drzwi zostawiłem otwarte. Wpadało przez nie światło księżycy, a z nim dźwięki całego miasta: szafy grające, auta, przekleństwa, szczekanie psów, radia... Wszyscy jechaliśmy na jednym wózku. Wszyscy razem gotowaliśmy się w wielkim garze gówna. Nie było ucieczki. Czekaliśmy tylko, aż nas splucze do ścieku.

Nadszedł mały kotek. Stał przed moimi drzwiami i zajrzał do środka. W jego ślepiach odbijał się księżyc: czysta czerwień, żywy ogień. Takie cudowne oczy.

– Kici, kici – powiedziałem, wyciągając rękę, jakbym w niej trzymał coś do jedzenia. – No chodź, kici, kici...

Kot poszedł dalej.

W sąsiednim pokoju ktoś wyłączył radio.

Dopiłem i wyszedłem. W samych slipach, tak samo jak przedtem. Podciągnąłem je i poprawiłem klejnoty, które trochę się wymykały. Stałem przed tamtymi drzwiami. Zamek był wyrwany od mojego kopnięcia. Przez dziurę padał blask świeczki. Drzwi były czymś podparte od środka, pewnie krzesłem.

Cicho zastukałem.

Nikt się nie odezwał.

Zastukałem jeszcze raz.

Usłyszałem jakiś szmer. Drzwi się otworzyły.

Stanął w nich ten stary grubas. Twarz obwisła mu ciężkimi fałdami smutku. Cały składał się z brwi, wąsów i dwojga smutnych oczu.

– Proszę pana – powiedziałem. – Bardzo przepraszam za to, co zrobiłem. Może by pan wpadł do mnie ze swoją dziewczyną napić się wina?

– Nie.

– To może wam przyniosę po szklance?

– Nie trzeba – odparł. – Proszę dać nam spokój.

Zamknął drzwi.

Obudziłem się z takim kacem, jakie rzadko miewałem. Zwykle sypiałem do południa. Tym razem jakoś nie mogłem. Ubrałem się, poszedłem do dużego domu i w łazience zrobiłem toaletę. Potem zawróciłem do schodów i zszedłem nimi po stromym zboczu na ulicę.

Niedziela, najbardziej upierdliwy dzień.

Poszedłem na Main Street. Po drodze mijałem bary. Przy samych drzwiach siedziały podpuchy. Miały podkasane spódnice i machały nogami w butach na wysokich obcasach.

– Kotku, chodź no tu do nas!

Main Street, Wschodnia Piąta, Wzgórze Bunker. Szamba całej Ameryki.

Nie było gdzie iść. Wszedłem w pasaż z automatami do grania. Chodziłem tu i tam, patrzyłem, jak ludzie grają, ale żaden automat mnie nie nęcił. Nagle zobaczyłem żołnierza piechoty morskiej przy bilardzie elektrycznym. Facet oburącz ścisnął stół i wił się, jakby myślał, że od tego zależy, którądy potoczy się kulka. Podszedłem i złapałem go za kołnierz i pas.

– Becker, żądam rewanzu, do cholery!

Puściłem go. Odwrócił się do mnie.

– Nic z tego – powiedział.

– Dam ci fory.

– A gównu. Chodź, to ci postawię.

Wyszliśmy z pasażu na Main Street. Z któregoś baru zawołała podpucha:

– Ty, wojak, chodź się napić!

Becker przystanął.

– Wchodzę – oświadczył.

– Nie rób tego – powiedziałem. – Przecież to ludzkie robactwo.

– Dopiero co dostałem żołąd.

– Dziewczyna pije herbatę z kieliszka, a tobie podają rozcieńczoną whisky. Płacisz podwójnie i nigdy więcej nie widzisz tej dziewczyny na oczy.

– Wchodzę.

No i wszedł. Jeden z najlepszych pisarzy amerykańskich jeszcze przed debiutem, zabójczo wystrojony na spotkanie śmierci. Wszedłem za nim. Stał przed którąś dziewczyną i coś powiedział. Podciągnęła spódnicę, machnęła nogą i się roześmiała. Poszli razem do boksu w rogu sali. Barman podszedł i przyjął zamówienie. Druga dziewczyna siedziała przy barze. Spojrzała na mnie.

– Nie lubisz się bawić, kotku?

– Owszem, ale tylko wtedy, kiedy to ja prowadzę zabawę.

– Coś ty, cykor czy pedał?

– Jedno i drugie – powiedziałem i usiadłem przy drugim końcu baru.

Między nami jakiś facet siedział z głową opartą o blat. Jego portfel gdzieś się ulotnił. Wiedziałem, że kiedy gość się obudzi i zacznie narzekać, barman albo sam go wyrzuci, albo ściągnie policję.

Becker i jego podpucha dostali to, co zamówili. Barman wszedł z powrotem za bar i ruszył w moją stronę.

– Co ma być?

– Nic.

– Nic? No to po co tu siedzi?

– Czekam na kolegę – kiwnąłem głową w stronę boksu w rogu sali,

– Żeby tu siedzieć, trzeba pić.

– Dobra. Wody.

Odszedł i wrócił ze szklanką. Postawił ją przede mną.

– Ćwierć dolara.

Zapłaciłem.

Dziewczyna przy barze powiedziała do barmana:

– To pedał albo cykor.

Barman nie odpowiedział. Becker machnął na niego, więc poszedł przyjmując zamówienie.

Dziewczyna spojrzała na mnie.

– Dlaczego nie jesteś w mundurze?

– Nie lubię się ubierać tak samo jak wszyscy.

– A może masz jeszcze jakieś inne powody?

– To już moja sprawa.

– Chuj ci w dupę – powiedziała.

Wrócił barman.

– Pora na drugą szklankę – rzekł.

– Dobra.

Pchnąłem mu po blacie ćwierć dolara.

Becker i ja wyszliśmy z powrotem na ulicę.

– No i jak? – spytałem.

– Dwie whisky plus marża. Razem trzydzieści dwa dolce.

– Jezu, ja bym za te pieniądze dwa tygodnie nie trzeźwiał.

– Pod stołem złapała mnie za chuja i zaczęła miętosić.

– A co mówiła?

– Nic. Tylko miętosiała.

– Ja bym wolał sam sobie wymiętosić chuja i zostać przy trzydziestu dwóch dolcach.

– Kiedy ona była taka piękna.

– Jasna cholera. Idę w nogę z kompletnym idiotą.

– Kiedyś o tym wszystkim napiszę. Trafię na półki bibliotek: BECKER. Ci, co się nazywają na B, to słabi ludzie, potrzebują pomocy.

– Za dużo gadasz o pisaniu – powiedziałem.

Przy dworcu autobusowym znaleźliśmy następny bar. Żadnych dziwek. Tylko barman i pięciu czy sześciu podróżnych, sami mężczyźni. Becker i ja usiedliśmy.

– Ja stawiam – powiedział Becker.

– Flaszkę Eastside.

Zamówił dwie. Spojrzał na mnie.

– Zaciągnij się, stary. Wstąp do piechoty morskiej.

– Udawanie męczyzny ani trochę mnie nie rajcuje.

– Przecież co chwila się z kimś nawalasz.

– To tylko tak, dla zabawy.

– Zaciągnij się. Przynajmniej będziesz miał o czym pisać.

– Becker, zawsze jest o czym pisać.

– No to co będziesz robił?

Wskazałem palcem butelkę. Wzięłem ją do ręki.

– Jak sobie poradzisz w życiu? – spytał Becker.

– Wydaje mi się, że od urodzenia słyszę to pytanie.

– Nie wiem jak ty, ale ja spróbuję wszystkiego! Będzie wojna, kobiety, podróże, małżeństwo, dzieci, wszystko jakoś się zmieści. Swoją pierwszą samochód rozbiorem do ostatniej śrubki i poskładam z powrotem. Chcę wiedzieć, jak wszystko działa! Chciałbym zostać korespondentem w Waszyngtonie. Chciałbym być tam, gdzie dzieją się wielkie rzeczy.

– Becker, przecież to tylko ten stołeczny szajs.

– A kobiety? Małżeństwo? Dzieci?

– Szajs.

– Tak? No to czego właściwie chcesz?

– Schować się.

– Ty biedny pojebańcu. Chyba musisz się jeszcze napić.

– Chętnie.

Barman przyniósł nam piwo.

Siedzieliśmy w milczeniu. Czułem, że Becker odleciał i wyobraża sobie życie w wojsku, życie pisarza, myśli, jak to będzie, kiedy wreszcie zwali jakąś dupę. Byłby chyba z niego dobry pisarz. Buchał entuzjazmem na wszystkie strony. Miał pewnie wiele różnych miłości: sokoła w locie, ten cholerny ocean, księżyc w pełni, Balzaca, mosty, sztuki teatralne, nagrodę Pulitzera, fortepian, no i tę cholerną Biblię.

W barze stało małe radio. Grało akurat jakąś znaną piosenkę. Piosenka urwała się w pół słowa i spiker ogłosił: „Właśnie otrzymaliśmy biuletyn nadzwyczajny. Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Powtarzam. Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Cały personel wojskowy przoszony jest o natychmiastowy powrót do baz!”.

Spojrzelismy po sobie, nie bardzo rozumiejąc, co spiker właściwie powiedział.

– No – cicho rzekł Becker. – To już.

– Dokończ piwo – powiedziałem.

Dziabnął sobie.

– Jezus, a jak jakiś głupi skurwiel wyceluje we mnie z cekaem i pociągnie za spust?

– To się może zdarzyć.

– Hank...

– Co?

– Pojedziesz ze mną autobusem do bazy?

– Nie mogę.

Podszedł do nas barman, mniej więcej czterdziestopięcioletni facet z brzuchem jak dynia i zamglonymi oczami. Spojrzał na Beckera.

– No i co, żołnierzu? Chyba musisz wracać do bazy?

Szlag mnie trafił.

– Daj mi spokojnie dopić, grubasie.

– Jasne, jasne... Wypijesz na koszt firmy, żołnierzu?

Może szklaneczkę dobrej whisky?

– Nie – odparł Becker. – Nie trzeba.

– Śmiało – powiedziałem. – Napij się. On myśli, że zginiesz, broniąc jego baru.

– Dobra – rzekł Becker. – Napiję się.

Barman spojrzał na niego.

– Ma pan wrednego kolegę...

– Przynies mu whisky i nie gadaj – powiedziałem.

Pozostali klienci gadali o Pearl Harbor, strasznie napaleni. Przedtem w ogóle się do siebie nie odzywali. Ale teraz nastąpiła mobilizacja. Plemię było zagrożone.

- Becker dostał swoją whisky. Podwójną. Wypił do dna.
- Nigdy ci nie mówiłem – rzekł – ale jestem sierotą.
 - O, cholera – powiedziałem.
 - Odprowadzisz mnie przynajmniej na dworzec?
 - Jasne.

Wstaliśmy i poszliśmy do drzwi.

Barman wycierał ręce w fartuch. Tak się podpalił, że aż zmiął go w kłębek.

- Powodzenia, żołnierzu! – krzyknął.

Becker wyszedł. Przystanąłem w drzwiach i obejrzałem się na barmana.

- Pierwsza światowa, co?
- Aha, aha... – odparł radośnie.

Dogoniłem Beckera. Prawie biegiem dotarliśmy na dworzec. Zaczynali już ściągać żołnierze w mundurach. Panowało ogólne podniecenie. Przebiegł obok nas jakiś marynarz.

- UTŁUKĘ SOBIE JAPONCA! – wrzasnął.

Becker stanął w kolejce po bilet. Jednego z żołnierzy odprowadzała dziewczyna. Gadała, płakała, obejmowała go i całowała. Biedny Becker miał tylko mnie. Stałem trochę z boku i czekałem. Długo to trwało. Podszedł do mnie ten sam marynarz, który przedtem tak krzyczał.

– Nie pomożesz nam, stary? Co tak będziesz stał? Dlaczego się nie zaciągniesz?

Zionął whisky. Miał piegi i wielki nos.

- Spóźnisz się na autobus – powiedziałem.
- Chuj w dupę pierdolonym japońcom! – zawołał.

Becker kupił wreszcie bilet. Odprowadziłem go do autobusu. Znowu stanął w kolejce.

– Coś byś mi poradził? – zapytał.

– Nic.

Ogonek pomału znikał w autobusie. Dziewczyna wciąż płakała, cicho i pospiesznie przemawiając do swojego żołnierza.

Becker stał już w drzwiach. Puknąłem go pięścią w ramię.

– Nie znałem fajniejszego faceta.

– Dziękuję, Hank...

– Do zobaczenia...

Poszedłem stamtąd. Na ulicy nagle zaroilo się od aut. Wszyscy jeździli byle jak, przejeżdżali na czerwonych światłach i wymyślali sobie. Wróciłem na Main Street. Ameryka znajdowała się w stanie wojny. Zajrzałem do portfela: miałem dolara. Policzyłem drobne: sześćdziesiąt siedem centów.

Dalej szedłem Main Street. Podpuchy dziś nie zarobią. Szedłem przed siebie. W końcu dotarłem do pasażu z automatami. Nikogo tam nie było. Tylko właściciel stał w swojej budce na podwyższeniu. W pasażu panował mrok i śmierdząło szczyną.

Przeszedłem między popsutymi automatami. Nad wejściem do pasażu wisiał napis: GRA ZA GROSZ, ale większość gier kosztowała piątkę, a niektóre dziesięć centów. Zatrzymałem się przy swoim ulubionym automacie z bokserami. Dwóch metalowych ludzików stało w szklanej gablocie. Każdy miał na brodzie guzik. W obudowie były dwa uchwyty, takie jak kolby pistoletów. Kiedy się nacisnęło cyngiel, bokser zaczynał walić z obu rąk podbródkowym jak opętany. Można

go było cofać, popychać do przodu i na boki. Jak któryś oberwał w guzik, walił się na wznak. Nokaut. Byłem mały, kiedy Max Schmeling znokautował Joego Louisa. Wybiegłem na ulicę i zacząłem szukać kumpli, wołając:

– Słuchajcie, Max Schmeling znokautował Joego Louisa!

Nikt mi wtedy nie odpowiedział, nikt nic nie mówił, wszyscy odeszli ze zwieszonymi głowami.

Do gry w bokserów potrzeba było dwóch, a nie miałem zamiaru grać z właścicielem pasażu, tym zboczeńcem. Zobaczyłem małego Meksykanina. Mógł mieć osiem, dziewięć lat. Przechodził między automatami. Miły, inteligentny chłopak.

– Ty, mały!

– Słucham?

– Zagrasz w bokserów?

– Za darmo?

– Jasne. Ja stawiam. Wybieraj.

Obszedł automat dookoła, zaglądając przez szybę. Miał bardzo poważną minę.

– Dobra, biorę tego w czerwonych spodenkach – rzekł w końcu. – Robi najlepsze wrażenie.

– W porządku.

Chłopiec stanął po drugiej stronie automatu, za swoim zawodnikiem. Patrzył przez szybę, najpierw na swojego boksera, potem na mnie.

– Nie wie pan, że jest wojna? – spytał.

– Wiem – odparłem.

I staliśmy dalej.

– Trzeba wrzucić monetę – powiedział chłopiec.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytałem. – Dlaczego nie siedzisz w szkole?

– Przecież jest niedziela.

Wrzuciłem dziesięć centów. Chłopiec zaczął naciskać swoje cyngle, a ja swoje. Okazało się, że źle wybrał. Jego bokser lewą rękę miał zepsutą. Nie sięgał nią do samej góry. Nie było mowy, żeby trafił w guzik na brodzie mojego boksera. Musiał walczyć tylko prawą. Uznałem, że nie ma co się spieszyć. Mój zawodnik miał niebieskie spodenki. Popychałem go w tę i z powrotem, więc na przemian raptownie szarżował i się wycofywał. Mały Meksykanin był świetny, nie dawał za wygraną. Spisał na straty lewą rękę i naciskał tylko cyngiel prawej. Posłałem niebieskiego do morderczego ataku, naciskając oba cyngle naraz. Chłopiec wciąż dusił swój przycisk, a jego bokser w czerwonych spodenkach wymachiwał prawą pięścią. Nagle niebieski padł. Runął z blaszonym stukotem.

– Załatwiłem pana – powiedział chłopiec.

– Wygrałeś – przyznałem.

Mały był strasznie podniecony. Nie odrywał wzroku od niebieskiego, który wciąż leżał na dupie.

– Chce pan rewanż?

Sam nie wiem czemu, ale nie od razu odpowiedziałem.

– Skończyły się panu pieniądze?

– Nie, skąd.

– No to walczymy.

Wrzuciłem dziesiątkę i niebieski zerwał się na równe nogi. Mały zaczął naciskać swój jedyny cyngiel, a czerwony młócił prawą ręką. Przez chwilę trzymałem niebieskiego w głębi ringu, żeby miał czas do namysłu. Potem kiwnąłem

chłopcu głową i pchnąłem swojego zawodnika do ataku. Wymachiwał obiema rękami jak cepami. Czuję, że muszę wygrać. Okropnie mi na tym zależało. Sam nie wiedziałem czemu i po cichu wciąż zadawałem sobie pytanie: „Dlaczego mi się to wydaje aż takie ważne?”.

A jakiś inny głos we mnie odpowiadał: „No bo jest ważne, i już”.

Nagle niebieski znowu padł, z tym samym metalicznym szczękiem. Przez chwilę patrzyłem, jak leży na wznak, rozplaszczony na macie z zielonego pluszu.

A potem odwróciłem się i wyszedłem.